Piotr Chełchowski

SAGA RODZINNA

Część I

Ku pamięci
ukochanej matki
tę powieść mojego
życia poświęcam.

1 dopisek wstęp -2-

Wieś

Na skraju Puszczy Białej i bagien nadnerwiańskich zwanych tutaj Pulwy, powstała nieduża osada z bezplanowo rozmieszczonymi zabudowaniami gospodarskimi. Cywilizacja docierała tu powoli. Najbliższe miasto znajdowało się okilnaście wiorst drogi po przez lasy poprzecinane pasmami bagien. Mieszkańcy tej osady musili być samowystarczalni, to też każda rodzina to nie tylko rolnicy ale cieśle, stolarze, pszczelarze, rzeźnicy, skórnicy, przęśniczki, tkaczki, hawciarki i wszystkie inne spacjalności jakie są potrzebne w naszym życiu codziennym, to jest pewnego rodzaju uniwersjonalizm rzemiosła. Zabudwania, narzędzia, meble, to wszystko praca rąk własnych. Drewno i len lub wełna były podstawowymi surowcami aby zabezpieczyć niezbędne potrzeby człowieka. Żelazo zaczęło tu dopiero docierać w sensie ogólnego użytku. Nie rzadko można było jeszcze spotkać wozy na drewnianych osiach a pługi miały tylko lemiesze ze stali. Sierpy a gdzie niegdzie kosy które zaczęły wchodzić do użytku. Żelazo było szanowane i używane tylko w narzędziach służących do obróbki drewna. Taki stan był jeszcze w drugiej połowie dziewiętnastego wieku.

Zaciekawi nas napewno, co kroniki podają na temat tej wsi. Zadziwiające są one swoimi szczegółami z jednej strony dokładnie wyliczają wszystkie świadczenia zamieszkałej tu ludności. Tereny te należały do dóbr biskupów płockich administrowanych przez kanonię pułtuską. Co na ten temat podaje Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich. Wydanie. Warszawa. Nakładem Filipa Sulimierskiego i Władysława Walewskiego. Druk „Wieku", Nowy Świat 59 rok 1881. /tekst dostępny/

— Nazwa: Gródek - pozycja 9 - G. wieś zamieszkana w liczbie kurpiowskich przez pola /w Puszczach Mazowieckich/, pow. pułtuski, gm. i par. Obryte. Dobra G., składające się z folwarku wsi i wójtostwa G., Ciołkowo i Gładczyn, wsi Wielgolas i pozostałej z końcem zeszłego stulecia osady Kąty Lutry, wchodziły w skład dóbr biskupów płockich. Po zabraniu dóbr biskupich na rzecz skarbu, dobra Gródek weszły do ekonomii Obryte w 1855 r. Zaś dodawszy do nich wieś i folwark Skorzenice z ekonomii Gołądkowo oddano Gródek ks. Gorczakowi na czas trwania towarzystwa kredytowego, zaciągniętego na utworzonym i nadanym księciu Gorczakow w tymże roku majoracie Obryte. We wsi G. egzystowało kiedyś wójtostwo; przywilejem z 8 czerwca 1796 r. Hilary Krzysztof Szembek bisk. płocki

nadaje go małżonkom Taraszewiczom
w używalność addies vitae za 2 zTp czynszu
rocznego; czynszem, po przejściu dóbr biskupich
na rzecz skarbu, podwyższano za czasów
pruskich na 73 zTp. 18 gr. pół szel. Przy powstaniu
obecnego stulecia we wsi znajdowało się 4 osad.
trzydniowych, 12 dwudniowych, 1 jednodniowy
i czynszownik i 6 ogrodników; oprócz tego do
wsi Gr. zaliczano znajdującą się w pobliżu
osadę Kąty Ludry. Każda osada trzydniowa
odrabiała rocznie 78 dni sprzężajnych i tyleż
pieszych, dwudniowa 52 sprz. i 52 pieszych,
jednodniowa 26 dni sprz. i 26 piesz.; nadto
każda osada, bez względu na nazwę, odrabiała
rocznie 6 dni tłoki w żniwa i 16 dni stacyjnych
/poza żniwami/ i oddawała do dworu z kapteny
3 takie przędzy, kurę i 2 zT 18 gr. za robienie
kaszy; oprócz tego osady trzydniowe płaciły
po 20 gr. czynszu, 23 zTp 20 gr 1 sz. dziesięciny
do dworu i 15 jaj; dwudniowe i jednodniowe
po 10 gr. czynszu, 10 zTp 8 gr 1 sz /jednodniowe
tylko 5 zTp 8 gr. 1 sz./ dziesięciny do dworu i 8 jaj;
czynszownik ponosił też same ciężary co
osady trzydniowe, ale był wolny od pańszczyzny.
Nadto cała gromada płaciła 37 zTp. 24 gr.
kyberny i dziesięcinę duchowieństwa, podnaszą
„sepu" /uwaga autora - zsypu/ t. j. z każdej
osady trzydniowej i czynszowej po 8 gar. żyta
i 8 gar. owsa, z dwudniowej po połowie.

Zagrodniey byli wolni od wszelkich prestacyj. Za czasów pruskich naturalia zamieniono na pieniądze i pozostawiono paniszczyznę; paniszczyznę włościanie odrabiali do miejscowego folwarku, czynsze oddawali do nadzierżawcy ekonomii Obryte. W 1822 r. we wsi G. znajdujemy 5 osad trzydniowych z których 3 wysiewało 1 owsem 4 korce jarzyny 4 korce ozim., inne 5 korcy jarz. i 3 ozim. 12 osad dwudniowych po 3 korce jarz. i 3 ozim. i 5 jednodniowych z których dwie wysiewało po 1 i pół korca jarz. i tyleż ozim. inne po 1 korcu jarz i 1 ozim; karczma. Osady jednodniowe powstawały z dawnych zagrodniczych, paniszczyzna z osad pozostała taż sama, co przedtem, tylko osady jednodniowe zamiast dawniejszych 16 dni stacyj i 6 tłoki odrabiają 8 dni tłoki. Czynsz za naturalia i prestanda wynosił 487 złp. 11 gr. Było wtedy 22 męż., 21 kobiet, 17 syn. i cór. młodych od 10 lat, 9 synów i 6 cór starszych nad 10 lat; 11 parobków i 20 dziewcząt, ogółem 129 mk. /z tąd 7 żyd., w powyższych liczbach nie jest zaliczone wójtostwo i folwark/ Gromada posiadała 18 koni 38 wołów, 32 krów 35 jał., 39 świń, 44 owiec. W 1827 r. w całej wsi 32 dm. 122 mk. W czasie urządzenia majoratu Obryte w 1846 r. W/ś G. urządzono kolonialnie. Wójtostwo zniesiono; część jego gruntów wcielono do folwarku, część oddano na korzyść gromady.

Folwark otrzymał 746 mr. wieś 1313 mr.;
we wsi utworzono 27 osad rolnych, /po 37-40 mr./
karczemną i komalską po 1 i pół mr., osadę
35-morgową dla strażnika leśnego i 3 os.
po 30 mr. dla strzelców. Pańszczyznę zniesiono
i ustanowiono czynsz czysty, po odtrąceniu
wszelkich wydatków wynosił 321 rs. 18 i półkop.
Obcenie 2059 mr. na folw. i wsi. — Tyle
podaje słownik geograficzny. Jeżeli na
chwilę zastanowimy się nad tą drugą
stroną medalu, to zadziwia nas drobiazgowość
i ścisłość danych na te czasy ewidencji. Ponadto
przerażający haracz jakim obciążeni byli
mieszkańcy tej wsi. Do początku dwudziestego
wieku dotrwał jeszcze zwyczaj zsypu na
rzecz kościoła, co prawda już nie obowiązkowy
ale zwyczajowy był praktykowany. Pozostały
jeszcze inne relikty tej przeszłości, t.z.
„szarwarki" na rzecz administracji miejscowej
gdzie ludzie i zaprzęgi konne pracowali
przy naprawach dróg lub mostów, praca
ta była obowiązkiem bez wynagrodzenia. Taki
stan tej wsi dotrwał do końca dziewiętnastego
wieku to jest do czasu w którym rozpoczyna
się moje opowiadanie. Jak daleko wstecz
sięga historia tej osady trudno jest dzisiaj
powiedzieć ale z podań miejscowej ludności
i śladów archeologicznych wynika, że dość
często zaglądali do Likwini zwani przez ludność
saracenami a czasy najazdów szwedzkich

krążą w baśniach ludowych. Wojny Napoleońskie i obydwa nasze powstania opowiadane są jako konkretne przypadki. Gródek, zagubiona głucha wieś Puszczy Białej leży przy trakcie w widłach Bugu i Narwi biegnącym z Pułtuska na kierunek Białystok, Grodno, Mińsk, Smoleńsk, Moskwa, przez tereny o najmniejszej ilości przeszkód naturalnych, to też dawnymi czasy trak ten był używany do przemarszu wojsk wypraw i najazdów. Sam trak jest niepozorny, droga piaszczysta w śród lasów i pól, poprzez wąskie pasma bagniste z małymi mostami a czasem przez płytkie brody rzeczne. Z układu geograficznego wydawałoby się, że nic tu nie może zakłócić spokoju, który osłania sama puszcza, bo i ona przetrwała dość długo, a jednak kataklizmy wojenne Europy nie ominęły ani razu tej wsi. Wyprawy litewskie powtarzające się co kilkadziesiąt lat, co spowodowało budowę osady obronnej, z tąd Gródek, przemarsze wojsk szwedzkich, przemarsze wojsk napoleońskich w wyprawie na Moskwę, przemarsz wojsk rosyjskich dla stłumienia powstania listopadowego, przemarsz wojsk rosyjskich w pierwszej wojnie światowej, armia Samsonowa. W roku 1920 armia Tuchaczewskiego w natarciu na Warszawę. W drugiej wojnie światowej dwa razy linia frontu przetaczała się przez tę miejscowość. Każdy z tych eksodusów wojennych pozostawiał zniszczenia a nie rzadko

a nie rzadko wyniszczał całą ludność. Jakgdyby na przekór tym nieszczęściom wieś pozostaje w tym samym miejscu a stan ludności jest dziesięciokrotnie większa w stosunku do podanych liczb przez kroniki. Ośrodkiem wsi była karczma. Z tąd rozchodziły się drogi na cztery zasadnicze kierunki. Na zachód szła zasadnicza droga na Pułtusk a od karczmy za wąskim pasmem mokradeł zabudowania folwarczne istniejące od czasu powstania folwarku, za nim droga na Zamski i Cygany. Na wschód droga na Rzęśnik dalej Białystok, to stary trakt. Na tym kierunku zabudowania były skupione rozmieszczone nieregularnie, raczej bezładnie. Tuż za karczmą na tym kierunku stał pojedyńczy budynek mieszkalny zwany wartownią. Za nim w niedużej odległości stary budynek, to dawne lokum wójtostwa, a dalej skupione zabudowania i ta część nazywana była Koszary. Ma to pewne uzasadnienie. W tym rejonie kwaterowały przez jakiś czas wojska napoleońskie przy wyprawie na Moskwę. Należy przypuszczać, że był to okres chłodów, gdyż w opowiadaniach ludowych francuzi skupiali się wokół pieców. Ten akcent został przeniesiony na karaluchy trzymające się ciepłych pieców i tu nazywają się one francuzami. W tych czasach powstała tu anegdota. Kiedy Napoleon

jechał przez wieś, wyszedł chłop na przeciw i zapytał: Dokąd jedziesz panie? Na Moskwę odpowiedział Napoleon. Na to chłop: Ale uważaj panie na swoje tyły. Kiedy ta anegdota powstała to niewiadomo, przed klęską czy po klęsce Napoleona pod Moskwą. Z tego okresu pozostały pewne zarysy umocnień polowych tuż za wsią zwane okopami. Na kierunku południowym od karczmy droga na Sadykierz i Pniewo, to kierunek Warszawy. Wzdłuż tej drogi gospodarstwa rozlokowane regularnie po jednej stronie drogi i ta część wsi zabudowana była systemem kolonialnym, o czym wspomina Słownik Geograficzny. Ciąg ten był poprzecinany wąskimi pasmami bagnistymi co utrudniało komunikację, szczególnie w okresie wiosennym w zimie zaś miało to specyficzny urok gdyż dzieciarnia masowo korzystała ze ślizgawki. Po obydwóch stronach drogi, pola uprawne ciągnące się równoległymi zagonami aż do lasów, które stanowiły początek Puszczy Białej, która dzisiaj stanowi tylko nazwę historyczną, chociaż są jeszcze zwarte masywy leśne. Dawnymi czasy był to wielki masyw leśny, królowała brzoza ztąd biel puszczy i nazwa Puszcza Biała, z czasem wyparta przez sosnę, tylko na żyźniejszych terenach był dąb i grab. W miarę przybywania

ludności, najszybciej ginęła brzoza. Drewno to używano w pierwszym rzędzie na opał, z którego korzystała również Warszawa. Większość narzędzi rolniczych wyrabiano z brzozy, również używano ją na płoty. Zwierzyna dzika miała tu idealne warunki rozwoju i była obfita, źródło mięsa i futer, dla okolicznych miast i miejscowej ludności. Istniały tu ośrodki myśliwskie o czym świadczą nazwy miejscowości jak Psary, Obryte. Tu gnieździły się Tury, Łosie, jelenie, dziki i inna zwierzyna. Zwierzostan puszczy zginął bardzo gwałtownie, prawdopodobnie bezpośrednią przyczyną była bitwa pod Grunwaldem, mięso tej puszczy było podstawowym żywieniem wojsk. Pracowity to był okres dla myśliwych puszczy ale spowodował zniszczenie zasadniczego zwierzostanu prawie kompletnie. Pozostała tylko zwierzyna drobna i ptactwo, które również ubywało w miarę osuszania terenów. Miejscowa ludność w większym stopniu zmuszoną była zajmować się rolnictwem i pszczelarstwem, powstawały pasieki, popularne było bartnictwo. Do początku dwudziestego wieku można było spotkać w lasach barcie. Barć drzewo z wydłubaną wnęką dla pszczół na wysokość ~~około 5~~ kilku metrów nad poziomem ziemi. ~~W lasa~~ Pszczelarze mieli swoje rejony za które płacili świadczeniami biskupom płockim

Puszcza była warsztatem pracy i środkiem utrzymania egzystencji miejscowej ludności. Forma ta trwała przez wiele wieków, do dziś niedawnego, że wśród ludności ukształtowała się pewna forma poczucia własności. Tak wychowane kilkanaście pokoleń wyciskało pewne piętno a ślady tego stosunku do puszczy można było zauważyć jeszcze w początkach dwudziestego wieku. Branie drzewa z lasów nie uważano za kradzież, bo przecież to są lasy. Gwałtowny wzrost stanu ludności przyszedł w okresie zniesienia pańszczyzny. Ludność przybywała z różnych okolic i obejmowała gospodarstwa, oczywiście nie za darmo, lecz płaciła rublami na rzecz rządu rosyjskiego. Paradoks, ci którzy uważali tę ziemię za własną i polską musieli płacić haracz na rzecz Rosji, to też z zasady ludność odnosiła się wrogo do zaborcy. Przekształcał się charakter środowiska ludność miejscowa nie stanowiła zwartej masy. Napływowi wnosili nowe zwyczaje i inne ubiory. Powstaje z tej mieszaniny nowa sztuka ludowa. Pierwsze objawy, to rozwój zdobnictwa budowlanego ozdobne kalenice, drzwi, okiennice i inne części budynków. Najistotniejsze zmiany nastąpiły w ubiorze kobiet. Ubiory mężczyzn nie przechodziły takiej ewolucji. Odzież wierzchnią i samodziałów odrazu przejęli na ubiory podobne do miejskich ubiorów z najprostszej

formie. Przemysł zaczął zaspakajać te potrzeby chociaż w dużej mierze dominowały samodziały lniane i wełniane. Ubiory kobiet poszły po zupełnie innym rozwoju. Dawne białe, sine lub czarne okrycia stało zdobione kasienkami i cekinami, przekształciły się w jaskrawo kolorowe okrycia, bogato zdobione i haftowane. Bielizna kobiet była tylko lniany mężczyzn również. Górna część bielizny kobiet od pasa w górę, była z płótna cienkiego obficie haftowana czerwonym kolorem. Koszula miała haftowany kołnierz zakończony koronką w formie krzyży i tak samo haftowane mankiety rękawa. Często stosowano haft na rękawach poniżej barku. Dolna część koszuli poniżej pasa była z grubszego płótna lnianego bez zdobień. Trzeba w tym miejscu nadmienić, że kobiety nie nosiły majtek ani bieliźniarki. Na koszulę nakładano spódnicę zwaną kiecką. To była najważniejsza część okrycia i najbardziej ozdobna. Był to cały kunszt sztuki ludowej. Od pasa w górę - kabat bez rękawów, sznurowany na piersiach lub zapinany na haftki, przylegał dokładnie do klatki piersiowej, uwypuklał piersi i w pewnym stopniu zastępował biustonosz. Kabat na przodzie i wokół barków zdobiony bardzo obficie kasienkami i cekinami. Od pasa w dół spódnica do pół łydki, ułożona w gęste fałdy zszyta z kabatem. Na wysokości około 20 cm

od dolnego skraju, szedł szeroki pas ozdób z tasiemek i cekinów. Cała kiecka, jak i inne wierzchnie okrycia to samodział utkany z wełny lub włóczki o pasach pionowych grający różnymi kolorami ale zasadnicze kolory to jaskrawo zielony i jaskrawo czerwony, inne kolory to tylko dodatek dla stworzenia barwnej kompozycji. Na przodzie zapaska gładka zwana fartuchem, zrobiona tak samo jak kiecka o pasach poziomych. Fartuch wokół na krawędziach zdobiony tasiemkami i cekinami z tyłu wiązany wstążką w formie kokardy. W dni chłodne i dżdżyste kobiety nosiły fartuch w formie peleryny, lekko sfałdowany z takiej samej tkaniny jak kiecka lecz trochę grubszej. Na głowie chusteczka kolorowa w kwiaty, przemyślnie i z fantazją wiązana. Włosy splatane w warkocz, czasem zwijane w kok. Chodziły przeważnie boso, ale na wszelkie oficjalne wystąpienia i w porze zimowej, zakładały trzewiki sznurowane do pół łydki i pończochy dziane z nici. Tak ubrane kobiety tworzyły barwny korowód w drodze do kościoła lub na wszelkiego rodzaju wiejskich uroczystościach. Niektórzy badacze folkloru ludowego lub etnografowie zaliczają ludność miejscową do grupy Kurpiów, nawet sama ludność miejscowa, stroje ludowe kobiet nazywa kurpiowskimi, ale jest to nazwa ostatnich czasów, dawnie nie używano

tutaj tego rodzaju określeń. Nazywano te ubiory strojem chłopskim. Włączanie osiadłej tu ludności do grupy etnograficznej kurpiów, jest nie uzasadnione. Regionalne wpływy ludności Puszczy Myszynieckiej, nie miały tu żadnego dostępu, gdyż te dwa rejony są szczelnie od siebie odizolowane przeszkodami terenowymi. Rzeka Narew wraz z bagnami Pulwy, w owym czasie, stanowiły przeszkodę nie do przebycia. Kultura ludowa w tych rejonach kształtowała się zupełnie odrębnie. Najstarsze nazwiska to Łada - jeszcze staro-słowiańskie, dal Podlasin, Deptuła, Stworzyjanek, Książak - to przybysz z Łowickiego, to są nazwiska chłopskie. Najwięcej jednak spotyka się tutaj nazwisk szlacheckich z końcówką wski lubski. To szlachta uboga, która chcąc poprawić swoją egzystencję, nabywała tu osady. Szlachta ta przybywała z prawego brzegu Narwi. Część tych przybyszów to powstańcy z powstania Listopadowego i Styczniowego, ścigani przez władze rosyjskie. Do tych rejonów władze te docierały z trudem i dużą ostrożnością. Legenda miejscowa podaje taki wypadek: Pewnego razu zjawili się kozacy, było ich kilkunastu, zajechali przed karczmę - wtedy właścicielem jej był żyd - uwiązali konie przy płocie, popuściwszy popręgi. Kozacy weszli do karczmy na popicie okowity.

W karczmie było pełno chłopów, którzy już trochę tej okowity wychilili. Żyd przyjął kozaków uprzejmie, kłaniając się nisko. - Popatrz jak im bije czołem - zagadnął któryś z chłopów. Kozacy odpędzali gawiedź od bufetu, co nie podobało się chłopom. Odsunęli się pod ściany, ale okowita już szumiała w głowach a odważniejsi zaczęli okazywać swoje niezadowolenie z przybyszów. Rozpoczęło się od popchnięć, dalej poszły w ruch pięści. W karczmie zrobiło się kłębowisko ludzkie, było ciasno, nie można użyć szabli. Cała ta masa ludzka wylała się przed karczmę. Poszły w ruch kołki z płotu, kłonice, nie pomogły szable. Kozacy wskakiwali na konie i uciekali na groblę w stronę Pułtuska. Nie wszyscy zdążyli dopaść grobli i niektóre konie ugrzęzły w bagnie, ci najwięcej byli poszkodowani, pozostawili czapki, ratując się ucieczką. Bitwa chłopów z kozakami wygrana. Legenda nie mówi jakie były konsekwencje tej utarczki. Od tego czasu kozacy w tych stronach się nie pojawiali. Żandarmi rosyjscy, którzy mieli siedzibę w Obrytem, też rzadko się pokazywali ale z nimi nikt się nie liczył. W okresie porozbiorowym, życie we wsi biegło monotonnie, swoistą od lat utartą drogą i zwyczajami przekazywanymi z pokolenia na pokolenie. Każdy

gospodarz starał się zapewnić utrzymanie swojej rodzinie i zapewnić minimalny start dla swoich potomnych. Zwiększający się stan ludności powodował dzielenie gospodarstw, powstawały gospodarstwa małorolne, czasem nie zabezpieczające egzystencji rodziny, ziemia tu piaszczysta, nie dawała wysokich plonów a sposób gospodarowania przechodził z ojca na syna więc i postępu nie było. Stąd wędrówki za zarobkiem szczególnie do Niemiec. Atrakcje, jakimi żyła ta społeczność to ślub, jarmark, odpust i święta religijne. Nie znaczy to aby ludność nie dążyła do wiedzy lecz nie było skąd jej czerpać. Nauczycielem był z zasady ojciec, jeżeli sam umiał czytać i pisać. Szkół, w tej innych wsiach nie było a najbliższa szkoła na okolicę znajdowała się w Obrytem. Gazety w języku polskim, bo innych nikt nie czytał, docierały tu bardzo rzadko i tylko sporadycznie. Do szkoły daleko, aż cztery kilometry, a w zimie zaspy uniemożliwiały dotarcie do niej. Większość to analfabeci szczególnie płeć żeńska mniej zainteresowana potrzebami wiadomości ze świata. Często do nauki czytania posługiwano się modlitewnikami. Krążyły dowcipy, że ta lub inna panna czytała modlitewnik w kościele do góry nogami. Ludność jednak chciała się uczyć. Zaczęto

organizować szkołę polską, na własną rękę. W okresie zaboru nie wolno było organizować szkół polskich a szkoła w Obrytem prowadzona była w języku rosyjskim. Zorganizowana tu szkoła polska była ciekawym przypadkiem nie spotykanym w innych okolicach. Naukę traktowano jako tajną i strzeżoną przed ewentualnym najściem żandarmów. Szkoła nosiła charakter wędrowny. Ci którzy deklarowali się aby dzieci ich uczęszczały do tej szkoły, zobowiązywali się oddać mieszkanie do nauki, na przeciąg tygodnia oraz dać mieszkanie i wyżywienie dla nauczyciela. I tak nauka rozpoczynała się na jednym końcu wsi a kończyła na drugim. Wszyscy uczniowie uczyli się w jednej izbie, podzieleni na dwie grupy, jakby klasy, początkujących i zaawansowanych. Klasa początkująca używała podręcznika ABC i uczyła się systemem sylabizowania. Klasa zaawansowana posługiwała się podręcznikiem „Snopek." Matematyki uczono się z podręcznika „Rachunki." W izbie jedna grupa pisała inna w ~~międzycz~~ w tym czasie czytała głośno, po godzinie następowała zmiana. To też zwykle słychać było chóralne em a em a - mama -, lub be a be a baba. Tak więc od litery do litery, przechodziło się cały alfabet. Dopier koniec elementarza

zawierał krótkie proste czytanki. Druga klasa czytała głośno czytanki lub recytowała, wyuczone na pamięć, wierszyki. Rachunki - to cztery zasadnicze działania. Innych przedmiotów, jak historia, geografia, przyroda, nie było. Może nawet nauczyciel w tych przedmiotach nie był zaawansowany. Nauczycielem był pan, dość niskiego wzrostu, krępy, ba nawet otyły, przy tym lekko sparaliżowany, więc posługiwał się laską i z pewną trudnością wymawiał słowa ale był dobrym pedagogiem. Popularnie nazywano go „Melion". Dlaczego tak go nazywano, nikt tego nie wiedział. Mogła to być pochodna imienia lub właściwe nazwisko. Tuż przed pierwszą wojną światową zorganizowano we wsi szkołę w języku rosyjskim. Wieś żyła swoim życiem. Ludzie się rodzili, żenili umierali zawsze z tym samym ceremoniałem. Ośrodkiem atrakcji była wiejska karczma. Tu można było dowiedzieć się, co dzieje u sąsiadów, w świecie bliskim i dalszym. Można tu było popić piwa, zjeść kawałek kiełbasy oraz poczynić niezbędne na codzień potrzebne zakupy, od tytoniu do mydła. Karczma, tłumacząc na dzisiejsze słownictwo, była jak gdyby domem wiejskiej kultury. Podchmieleni dobrym piwem chłopi rozpoczynali śpiewy. Piosenki ludowe, narodowe, patriotyczne.

Przez otwarte okna ~~głos~~ śpiew rozchodził się na łąki zarośla, wylewał się poza karczmę. Rozpoczynało się od - Hej tam w karczmie za stołem siadł przy dzbanie Jan stary, otoczyli go kołem on tak prawił do wiary. - Albo: Bartoszu, Bartoszu oj nie traćwa nadziei. Dalej - Tysiąc walecznych. Kończono: Jeszcze Polska nie zginęła. Nie brakowało tu również większych pijatyk i bójek, szczególnie jak pjawiali się ludzie z poza tego rejonu często w okresie odpustów, jarmarków, wesel przejezdnych. Czasem zatrzymywali się tu podróżni przejezdni aby dać koniom wypoczynek i zjeść jakiś posiłek. Wiejskie wesela i chrzciny odbywały się w domach. Styp pogrzebowych nie urządzano. Zmarłych ze śpiewami żałobnymi odprowadzano do krańca wsi, gdzie z zasady stała jedna lub więcej figur religijnych i tu kończyła się ceremonia, reszta to kościół i cmentarz w Obrytem. Obyczaje ludowe występowały najwidoczniej przy urządzaniu wesel, chociaż wszystkie święta kościelne wiązały się również z pewnymi zwyczajami ludowymi. Obrzędy weselne rozpoczynały się równolegle u pana młodego i panny młodej. Parę dni przed ślubem, panna młoda z drużkami i pan młody z drużbami, chodzili do domów,

bliżej z rodzinami związanych i zapraszali na wesele. W dniu ślubu drużki i goście schodzili się do domu panny młodej i tak samo odbywało się u pana młodego. Od tej chwili rozpoczynało się małe przyjęć powiedzmy poczęstunek. W domu panny młodej wrzały przygotowania, to było główne miejsce ceremonii. Kobiety przygotowywały pannę młodą do ślubu. Chłopcy przygotowywali zaporę dla młodego, który musiał wykupić pannę z domu. Oczywiście było to wszystko proforma. Następowały przyśpiewki, przekomarzanie się ko radości weselników. Po przełamaniu wymyślnych oporów przybyli goście wchodzili do izby i następowało przygotowanie do rozpleciu. Na środku izby sadzano na krześle pannę młodą a obok niej dwa rzędy dziewcząt rozplatając warkocze śpiewały piosenki weselne, oczywiście nieodzowna piosenka o chmielu. Tu występował najwyższy kunszt komponowania piosenek adresowany do wywoływanych kawalerów, a każdy z nich miał obowiązek dać datek pieniężny dla panny młodej. Młodzieńcy droczyli się żądając nowych przyśpiewek. Cała ta ceremonia trwała dość długo, wywołując śmiechy, bo dowcipów też nie było brak a przyśpiewek również. Ten obrzęd weselny był najbardziej

barwną część weselną. Dalej następowało ubranie panny młodej w strój weselny z niedźwiedzim kożuchem na głowie od którego spływał welon. Przed odjazdem do ślubu, błogosławieństwo rodziców. Barwny korowód udekorowanych wozów, żegnany marszem przez przez muzykantów ruszał w drogę. Czasem muzykanci jechali razem z orszakiem. Pozostała część gości rozchodziła się do domów, a powracała dopiero po przyjęciu zaślubieniu. W tej domowej przerwie weselnej, muzycy mieli odpoczynek, jeśli pozostali w domu, tylko od czasu do czasu zagrali coś dla dzieci. W skład „muzyki" wchodziły skrzypce, bas, bębenek lub bębenek harmonia i bęben. Nie było to instrumentów regionalnych. Jedynie można było tylko gajdy, które można nazwać instrumentem regionalnym. Sposób gry odbywał się tak jak na flecie. Były to rurki mniejsze o długości około 50 cm. z odpowiednio wyciętymi otworami, ale bez klawiszy. W jednym z takich zespołów był taki flecista. W takiej przerwie weselnej chłopcy kręcili się obok fleciśty, wyraźnie zainteresowani tym instrumentem, taki prosty a tak trudne można na nim grać melodie. Muzyk wyczuł jak zainteresowanie. Wyjął swój flet z za cholewy, uderzył nim w dłoń parę razy, jakby się namyślał, przyłożył do

do ust i jakby od niechcenia, przebiegł parę akordów, jakieś trele, szepty i rozpoczął melodię jemu tylko znaną. Siedział na przyźbie. Przed nim łąka ubarwiona kwiatami a dalej pasmo drzew zamykało ten barwny kwietnik dając mu zieloną oprawę. Można było sobie wyobrazić stado owiec pasących się na tej łące, łączących muzykę z tym pejzażem. Grał. Ciche szepty fletu przechodziły w melodię liryczną, to znowu barwną, czasem figlarną. Melodia płynęła na łąki, tam zawisła jak mgła wiosenna, czasem się wznosiła to znów opadała, wreszcie echem powracała do słuchaczy. Tylko mocniejsze ostre tony, jakby nawoływania lub szczekanie psów zakłócała tę piękną melodię. On grał. Chłopcy zatrzymani w bezruchu, oczarowani melodią, słuchali, po ich myślach ~~bła~~ snuły się obrazy im tylko znane. Jak długo to trwało, trudno jest powiedzieć, ocknęli się kiedy korowód weselny, powrócił z kościoła. Para młodych wziąwszy się za ręce, szli do domu, gdzie oczekiwali ich rodzice z chlebem i solą a wokół całe grono weselników. Ojciec lub matka w paru słowach powitali młodożeńców i od tej chwili rozpoczynała się biesiada weselna przeplatana tańcami i przyśpiewkami. Trwało to do białego rana aż wszyscy umęczeni rozchodzili się na krótki odpoczynek.

W następnym dniu, to oczepiny, zdjęcie wianka a nałożenie czepka i przy tej okazji okolicznościowe przyśpiewki i datki dla młodej pary. Jeżeli wesele trwało parę dni, a często się to zdarzało, to w ostatnim dniu, był tak zwany „kulawy". Panna młoda udawała utykanie w tańcu a każdy kto z nią tańczył, rzucał datki na tacę. Ten przywilej mieli starsi, no i zamożni, najczęściej spokrewnieni. Na któryś dzień wesela przenosiło się do domu pana młodego, wraz z nowożeńcami i wianem panny młodej. ~~Wes~~ a tam znowu tańce i biesiada. Wesela takie trwały kilka dni i świadczyły o zamożności domu. Zdarzały się wypadki że wesele trwało dwa tygodnie. Atrakcji rozrywkowych we wsi nie było zbyt dużo, więc wykorzystywano wszystkie ku temu okazje. Były inne uświęcone tradycją obyczaje, jak Boże Narodzenie – chodzenie z kolędą i królem Herodem; półpoście – rzucanie garnków z popiołem do domów; Wielkanoc – wykonywanie pisanek i pająków ozdobnych z bibułki i słomy do zawieszania pod sufitem. W czasie świąt Wielkanocnych dominowały wszekiego rodzaju wypieki ciast. Wszystko to odbywało się w domowym piecu chlebowym. W każdym domu był taki piec związany ściśle z kuchnią. Nad kuchnią okap przejmujący dymy wychodzące z pieca. Płyta pieca podniesiona nad kuchnią około 10cm. Rozmiary pieca

różne, zależne od potrzeb. Górna część pieca zamknięta w formie łuku. Cegła, użyta do budowy, musiała być pierwszej jakości a spajana dobrze wyrobioną gliną. Front zamykany drzwiczkami żelaznymi, lub zasłaną z drzewa. Nad drzwiczkami mały otwór do wnętrza pieca zakrywany cegłą, pozwalający regulować temperaturę wewnątrz pieca. Całość obudowana cegłą dla zatrzymania ciepła, tworzyła bryłę o prostokątnych bokach. Na tych piecach suszono owoce, grzyby a czasem len. Ciasto do wypieku chleba przygotowywano w drewnianej, dużej misie. Najpierw rozczyn. Trochę mąki, trochę kwasu przygotowanego na żurek, dodatek drożdży. Mąka przeważnie żytnia zmielona w domach lub na wiejskim młynku. Dzieżę okrywano poduszkami, pierzynami aby zatrzymać ciepło dla lepszego wyrośnięcia zaczynu. Kiedy już widocznie rozpoczął się fermentacja dodawano mąkę, przesiane ziemniaki i wyrobiono ciasto. Ponownie okrywano dzieżę i czekano aż ciasto wyrośnie do pełnej dzieży. W międzyczasie rozpalano ogień w piecu, palono tylko drzewem. Ogień utrzymywano tak długo aż w piecu nie było sadzy a cegła była czerwona. Wymiatano resztki ognia i smarowano parę cienkich placków z ciasta, były to smakołyki dla dzieci. Dalej nastąpiło formowanie bochenków

układanych na liściach chrzanu lub na podsypce z mąki. Tak przygotowane bochenki wrzucano do pieca przy pomocy łopaty drewnianej. Trzeba było pilnować aby bochenki nadmiernie się nie rumieniły, do tego służył wentyl nad drzwiczkami. W połowie czasu wypieku, bochenki wyjmowano i smarowano na wierzchu białkiem z jaj lub tylko wodą dla nadania połysku. Bochenki ponownie szły do pieca do czasu zakończenia wypieku. Zakończenie wypieku określano, przez wydawany dźwięk przy stukaniu palcami w spodnią część bochenka. Teraz wyjmowano chleby i układano na słomie aż do zupełnego ich ostygnięcia. Cóż to był za chleb! Świeżość jego utrzymywała się przez cały tydzień. Pieczono również placki z mąki pszennej ale to miało trochę inny przebieg. Jak już zaznaczałem, samowystarczalność wsi obejmowała wiele zawodów. Prawie każdy dom, to warsztat rzemieślniczy. Robiono wozy, szyto uprzęże dla koni, robiono przedmioty gospodarstwa domowego, jak konewki, niecki, łyżki drewniane zwane kopystkami, wyplatano kosze, robiono narzędzia rolnicze jak grabie, brony, drewniane widły i inne. Budowano domy i zabudowania gospodarskie, poszywano dachy słomą. Tylko kowal był rzemieślnikiem dla całej wsi, a był nim żyd. Wogóle we wsi było trzy rodziny żydowskie zamieszkujące na stałe. Czasem przybywały

lub ubywały inne rodziny zajmujące się handlem. Handel był w ręku żydów. Karczma to wypadek odosobniony ale o tym później. Wspomnieliśmy pokrótce o rzemiośle uprawianym przeważnie przez mężczyzn. A kobiety? One poza zajmowaniem się gospodarstwem domowym oraz drobnym inwentarzem, całą zimę przędły len lub wełnę, tkały płótna lniane na bieliznę oraz tkały pasiaki kolorowe na ubrania kobiet lub haftowały swoje koszule. Przez całą zimę w każdym domu słychać było pracę krosien. Godzin pracy nikt nie liczył, dzień pracy zaczynał się o świcie a kończył nocą. W pracy nikt się nie śpieszył ale dóbr przybywało a żywności nie brakło. Wyjątek stanowił okres pierwszej wojny światowej kiedy niemcy prowadzili intensywną rekwizycję. Lato - to praca w polu. Pracowała cała rodzina, nie rzadko siedem osób, nawet dzieci miały swoje określone zadania, zasadniczo, pasły bydło. Maluchy wędrowały w płachtach zawieszonych przez plecy, na polach układano je w zacisznym miejscu, spało od posiłku do posiłku karmione piersią matki. Wieczorem wszyscy ciągnęli do domów. Obrządek przy inwentarzu, kolacja i odpoczynek nocny. To był zwykły dzień. ~~Dzień~~ Niedziela miała zupełnie odmienny przebieg. Już od

wczesnego ranka, po śniadaniu rozpoczynało się mycie lub kąpiel dla dzieci. Do kuchni wnoszono balię, w której odbywała się kąpiel. Zmiana bielizny wyprasowanej żelazkami na węgiel lub duszę nagrzewaną w kuchni. Nakładano najlepsze ubrania. Kobiety nakładały najpiękniejsze koszule i kiełki, barwne mieniące się kolorami i cekinami. Następował wymarsz do kościoła. Szli grupkami prowadząc rozmowy o ostatnich wydrzeniach we wsi, to był tygodnik ostatnich wydarzeń. Niektórzy jechali wozami, konie tu doborowe z dostatnią uprzężą z zasady chomąta ozdabiane mosiężnymi ozdobami. Droga z Gródka do Obrytego mieniła się barwami na przestrzeni czterech kilometrów. Każdy ubrany dostatnio chciał się pokazać znajomym z jak najlepszej strony i chciał wykazać swój dostatek. Przed kościołem ustawiały się wozy czasem bryczki. Młodzież skupiała się w grupki. Tu był przegląd urodziwych panien lub kawalerów. Starsi wchodzili do wnętrza kościoła aby oddać się modlitwie. Kościół nie duży chociaż dominujący na okolicę. Najstarsza notatka dotycząca tego rejonu mówi o wsi Obryte, gdzie podano: kościół parafialny murowany erygowany w 1242 roku. Obecny kościół jest z 185 roku. i w tym czasie była również szkoła - mówiąc na wiasem

kościół ten został kompletnie spalony w pierwszej wojnie światowej. Sygnaturka kościelna dawała znak rozpoczęcia się Mszy Świętej. Ława ludzi ruszała w stronę wejścia do kościoła. Wewnątrz ścisk, pod naporem jak fala morska, posuwało się wszystko w stronę ołtarza. Zaczynała się msza. Organista rozpoczynał melodię dając tonację jednym klawiszem organów i wszyscy rozpoczynali pieśń. Pożal się Boże z tymi głosami, zawodzenia kościelne są znanym powiedzeniem. W środku mszy kazanie a kościelny albo wiekary zbierali datki na kościół w śród wiernych. Utarł się zwyczaj, że wewnątrz kościoła kobiety zajmowały prawą stronę, mężczyźni lewą, młodzież pod chórem przy drzwiach wejściowych. Po zakończeniu mszy, nie śpieszno było wracać do domów to też znowu powstawały grupki dla przeglądu lub spotykali się znajomi, krewni dla podtrzymania znajomości lub więzi rodzinnej. Tłum rozchodząc się we wszystkie strony, wracał do domów. Mężczyźni po drodze wstępowali do karczmy na popicie piwa a nie rzadko pozostawali do wieczora. Czasem powstawały konflikty i trzeba było rozdzielać bardziej zacietrzewionych. Młodzież szła na „muzykę", ot potańcówka wiejska. Izba zapełniała się tańczącymi, ciasno tu

było i gorąco. Wnętrze nagrzane przez tańczących, robiło wrażenie parnika, mimo otwartych drzwi i okien. Gdzieś w rogu pomieszczenia siedziało paru muzykantów a środek to wirujące koło. Królował oberek lub polka, w tańcu starano wykazać kunszt sprawności i wdzięk. Na tych zabawach poznawała się młodzież, zawierano przyjaźnie a często kojarzyły się pary. Co ciekawsza dzieciarnia zaglądała przez okna a co odważniejsi próbowali uczyć się tańca poza izbą zabawy. Streściłem tu w wielkich skrótach, życie ludności tej właśnie wsi. W dalszych opisach będę powracał do tych utartych zwyczajów lub brał je będę za tło opisu. Czy takie życie środowiska ludzkiego jest nudne? Trudno na to odpowiedzieć jednoznacznie. Jednak ci ludzie od dzieciństwa wychowani w takim środowisku są zadowoleni z życia a może szczęśliwi. Nawet ci niespokojni powodowani różnymi przyczynami, którzy opuścili te miejsca, chętnie wracają, pragną tego spokoju, chcą być ludźmi nad którymi nie ciąży rygor uciążliwy dla każdego charakteru. Swoboda poruszania się, swoboda w wyborze pracy tworzy człowieka wolnego. Pola, łąki, lasy, przenikają jego osobowość, on czuje się szczęśliwym. Nawet ciężka praca na roli nie jest dla niego ciężarem a często przyjemnością kiedy widzi owoce swej pracy.

Dom rodzinny

W jakiej to scenerii sielankowo wiejskiej i w jakiej to wsi osiadła rodzina Chełchowskich. Co było przyczyną, że jeden z jej członków przywędrował w te okolice, trudno jest ustalić. Może nieporozumienie rodzinne, może prześladowania zaborcy a może poszukiwanie dziedziczna? Wszystko jest możliwe. Sprawy egzystencji nie wchodziły w rachubę. A może powtarzający się cykl jakiegoś prawa, że trzecie pokolenie opuszcza dom rodzinny i to często bez jakiejkolwiek przyczyny, która mogłaby zmusza do wędrówki poza dom rodzinny. Bezpośredni ród zamieszkiwał we wsi szlacheckiej Batogowo koło Różana. Posiadłość dość duża i zasobna. Trzech synów było, jeden z nich wywędrował na lewy brzeg Narwi. Po Powstaniu Styczniowym posiadłość ta została im zabrana przez rosjan a otrzymał ją jakiś putkownik rosyjski. Dochodzenia przez rodzinę o rewindykację trwało przez długie lata po powstaniu ale nie dało rezultatu, gdyż cała rodzina brała udział w Powstaniu Styczniowym. Jeden z tych braci osiedlił się w Ośrodku w ośrodku Lutry, tak ta część wsi nazywana. Trudno dociec dlaczego ta nazwa została przyjęta, gdyż nie było tu protestantów a cały ten ośrodek, to jedno gospodarstwo

którego właścicielem był Wawrzyniec Chełchowski. Po majoracie, ubył gospodarstwo w Gródku które odziedziczył syn Jan. Tę część wsi zabudowano systemem kolonijnym. Idąc od karczmy drogą piaszczystą poprzeinaną pasmami mokradeł z mizernymi mostkami, zwracamy uwagę na gospodarstwo z wyglądu dostatnie tak oceniamy po zabudowaniach i wyróżniającym się porządku w samym gospodarstwie. To właśnie osiedle Jana. Dom szczytem zwrócony do drogi, dwa okna od drogi i jedno od podwórza. Okna obramowane malowanymi okiennicami, przed domem od strony drogi ogródek kwiatowy, wspaniały rząd barwnych malw. Za domem podwórze a dalej obszerne zabudowania gospodarskie, stodoły, stajnie, ś. pichlerz, obory i wozownia a obok murowana z kamienia piwnica wpuszczona w ziemię i obsypana ziemią, wyglądała jak nie duży kopiec, jedno wejście i wentylatory na górze. Dom skromny, dwie izby i obszerna komora służąca w okresie letnim za sypialnię dla dziewcząt a równocześnie przechowalnię odzieży i pościeli. Obszerniejsza izba to miejsce gdzie skupiało się całe życie rodzinne. Kuchnia, piec chlebowy, na środku stół nad którym zwisała lampa

naftowe, wokół szafy i łóżka. Na ścianach pod sufitem obrazy świętych. Mniejsza izba zwana alkierzem była sypialnią rodziców. Rodzina o przeciętnej w tych czasach wielkości, rodzice i pięcioro dzieci. Trzech synów i dwie córki. Zajęcia rodziny w gospodarstwie i w domu stanowiły pewien szablon utarty przez lata i zależny od pór roku i pracy w polu. Okresy zimowe, to najwięcej wolnego czasu. Długie wieczory dawały okazję do nauki dzieci. Szkoły nie było więc całą naukę pobierało się w domu. Jan był człowiekiem wymagającym i nie lubił powtarzać dwa razy polecenia. Już sam wygląd zewnętrzny predysponował go jako pana domu. Wygląd zewnętrzny i zachowanie się, pozwalało oceniać go, że jest z pochodzenia szlachcicem. Zresztą sam przywiązywał do tego dużą wagę i uważał sobie za obowiązek aby dzieci jego miały jakieś tam wykształcenie. Sam się uczył wszystkiego od ojca więc i on chciał tę swoją wiedzę przekazać potomnym. Szczególnie miał na uwadze chłopców i im stawiał największe wymagania. W długie wieczory zimowe, część niewieścia siadała do kołowrotków lub krosien, chłopcy zaś zasiadali przy stole pod lampą i w zależności od wieku zdobywali swoją wiedzę zaczynając

od czytania i pisania. Najstarszy pisał w zeszycie, młodsi mozolili się pisząc pierwsze litery na tabliczkach łupkowych. To też słychać było skrzyp rysików, to znów ścieranie gałgankiem, aż w końcu przybierał należnego kształtu pożądany znak literowy lub słowo. Dziewczęta wykonując swoją pracę zaglądały przez ramię chłopcom i tak dochodziły również do umiejętności czytania. Zbliżał się koniec dwudziestego wieku. Najstarszy syn Andrzej zwany w domu Jędrek wchodził w okres zainteresowań chłopięcych, to też stawiał pytania ojcu odnośnie jego przeżyć własnych lub chciał wyjaśnień zasłyszanych opowiadań. Takich faktów było dużo, bo żyli ludzie którzy bezpośrednio brali udział w Powstaniu Styczniowym, ba byli jeszcze ludzie którzy pamiętali Powstanie Listopadowe. Jędrek jako chłopiec interesował się już wojnami bitwami i kto z rodziny brał udział w tych wojnach i on odczuwał te ambicje szlacheckie. W jednym z takich wieczorów, Jędrek odczuł dobry humor ojca i chciał już postawić jakieś pytanie ale wnet usłyszał głos - Siadać do nauki. Uczeni z was nie będą ale może wasze dzieci a może dopiero wnuki, to łatwo nie przychodzi i na to potrzeba dużo czasu i pieniędzy. Chociaż w naszym rodzie byli uczeni a jeden

był sekretarzem królewskim. Ale najwięcej było żołnierzy i to dobrych żołnierzy. Opowiadał mi ojciec że jego dziadek brał udział w Powstaniu Listopadowym jako rotmistrz w pułku ułanów. - To nic dziwnego, że ja tak lubię konie - rzekł Jędrek. Natychmiast wykorzystał tę okazję i zagadnął - Powiedzcie jak to było z tym Powstaniem Styczniowym? - Jan chwilę namyślał się sam dla siebie chciał ocenić to powstanie, chciał wybrać co najważniejsze aby przekazać synowi, ale może to jeszcze za wcześnie dla niego, chociaż są fakty które pozostaną mu w pamięci. - Ja tam daleko nie sięgam - zaczął ojciec - ale tu u nas organizował kompanię powstańców pan Bartuł, wiesz który, już obecnie nie żyje ale żyje jego żona. Jako mały chłopiec wraz z ojcem wemknąłem się na takie zebranie. Była zima. Pełna izba ludzi, wszystko w kożuchach w ręku strzelby przypasas szable na stołach kubki z okowitą. Bartuł spostrzegł ojca i zawołał, a ty Wawrzyniec czego, na to ojciec: panie komendancie, ja też szlachcic; ten chwilę poślał i rzekł: dobrze będziesz naszym furażerem, bo do lasu wiek ci nie pozwala, ale w tych swoich bagnach i lasach będziesz mógł przechowywać rannych i chorych, a żywność zawsze ci powiem gdzie będziesz dostarczał. W tym momencie zauważono mnie w izbie

i zostałem wyrzucony. Często jeździłem z ojcem z żywnością, czasem przywoziliśmy rannych lub chorych których przetrzymywaliśmy na Lutrach, ba nawet samego Bartułta przetrzymywaliśmy, był ciężko chory i zmarł. Do powstańców jeździliśmy nocą i wracaliśmy nocą tak aby nikt nas nie widział, trzeba było zachować ostrożność. Z początku czułem się nieswojo w nocy w lesie ale potem czułem się jak na swim polu. Jak był wiatr to las huczał tak jakby przemawiał do nas ale to był swój las nasz las, znaliśmy każdą dróżnę a nawet ścieżki wydeptane przez jagodziarzy i grzybiarzy. - O Bartułcie krążą różne opowiadania, podobno był bardzo srogi - zagadnął Jędrek. - Tak - odpowiedział ojciec. - Trzymał w rygorze całą okolicę, czasem za mocny był ten rygor. Kiedy leżał chory, dziewczęta powróciły z kościoła, zapytał ich co ksiądz mówił na kazalnicy. Jedna z nich opowiedziała treść kazania z którego wynikało, że ksiądz potępił powstanie. Bartułt mocno się rozgniewał, kazał przywołać powstańców i wysłał ich do parafii aby proboszczowi wymierzyli 25 batów w dupę. - To pewno ksiądz musiał bardzo płakać - zauważył Jędrek. - Nie tylko płakał ale i krzyczał - dodał ojciec. - W każdym razie powstańcy po powrocie zdali relację o przebiegu wymierzania kary. Podobno prze parę dni gospodyni robiła kompresy.

W czasie choroby Bartuś był bardzo nerwowy i robił czasem bardzo przykre powstrzęcia i tak kazał wkarać dwie dziewczyny, które wyraziły się nieprzychylnie o powstaniu. Kazał zakopać je do ziemi. Bardzo cierpiały. — A czy były bitwy z rosjanami? zapytał Jędrek. — Tak, były, przywieźliśmy rannych — ciągnął dalej ojciec. — Lokowaliśmy ich po ukrytych chatupach a jak było ciepło to w szałasach w lesie lub na kępach w bagnach. Taki to temat rozwinął się tego wieczoru. Po takich opowiadaniach kobiety zwykle przestawały stukać krosnami udając, że poprawiają osnowę, bo same były ciekawe tych opowiadań. Każdy z wieczorów obejmował inny temat. Czasem o królach polskich, czasem o innych państwach i narodach a często o własnych przeżyciach. Każdy jednak wieczór obejmował odrębny temat. Jeden z takich wieczorów przywołał pamięć z czasów zamieszkiwania na Łukach. Dokuczył on wilków. Temat dla dzieci frapujący, przywołujący grozę a czasem strach. — Dawniej wilki nawiedzały nas dość często, szczególnie w zimie — zaczął Jan — przychodziły całymi stadami ze wschodu. Pewnego razu wysłał ojciec chłopca do parafii Obryte po jakieś zakupy. Chłopiec dosiadł konia i pojechał. Po jakimś czasie powrócił pieszo, usiadł pod piecem i nie mógł mówić, twarz przerażoną prawie żółta, wzrusza się pytają co się z nim stało

wreszcie po pewnym czasie, łapiąc powietrze wyrzekł: konia zjadły wilki - jakto się stało pytają - napadło stado, a było tak dużo, że wyszedłem po ich grzbietach, musiały być głodne. Natychmiast zebrano wszystkich zabrano widły i kosy, ruszono na miejsce wypadku na drodze zastano tylko plamę krwi, reszta zabrana przez wilki, które odeszły w lasy. Mieliśmy również inne wypadki nawet w lecie. W domu była klacz ze źrebięciem a zawsze uciekała do lasu z pastwiska, trzeba był ją pętać aby daleko nie odchodziła. Dopiero wieczorem wracała do zagrody. Pewnego razu nie powróciła, zaintrygowani, rozpoczęliśmy poszukiwania. Idziemy lasem na kierunek gdzie najczęściej odchodziła. W pewnym momencie widzimy konia, ale biały a ona była gniada. O dziwo, to ona pokryta pianą źrebię pod brzuchem, pod pętem leży nieżywy wil, zębami porwany na strzępy. Trzeba było ją uspakajać, zdjęliśmy pęta i z trudem odprowadziliśmy do domu. Od tego czasu już nigdy nie uciekła do lasu. Widocznie wilk chciał zabrać źrebię, które kryło się pod brzuchem matki i w tym czasie jak wilk podchodził pętem został przyduszony do ziemi i tak zginął. W zimie nocami wilki podchodziły pod stajnie, robiły podkopy, aby je odstraszyć, paliło się ogniska albo urządzało się hałas przez bicie w narzędzia żelazne.

każdy taki wieczór odmieniał czas który niemiłosiernie postępował. Każda pora roku miała swoje zwyczaje, uroki i tworzyła charakter życia tej rodziny. Tu i ówdzie wesele lub chrzciny, odpusty jarmarki lub odwiedziny rodzinne. Siostry Jana zamieszkiwały w innych wsiach i przy okazji trzeba było je odwiedzić. Zaprzęg wyjazdowy prezentował się wspaniale, chomąty ozdobne a konie wspaniałe, gospodarz nie lichy to i prezentować musiał się dobrze. Czterdzieści morgowe gospodarstwo, wymagało siły roboczej, ~~dodać~~ szczególnie jak dzieci były jeszcze małe, to też w okresach żniwnych trzeba było podnajmować siły dodatkowe. Najstarszy syn Andrzej dochodził wieku poborowego do wojska i trzeba było poczynić starania o jego zwolnienie. Udało się pozostał w domu, chociaż nęcity go przygody wojskowe ale ojciec był innego zdania i dyskusji na ten temat nie można było nawet zaczynać. Andrzej dojrzał do stanu matrymonialnego, kawalerkę prowadził zresztą był przystojny, silny wioś i panienki chętnie do niego lgnęły a przy tym jeszcze zamożny, więc trzeba było dobierać odpowiednią partię. Proponowana ta lub inna nie zawsze odpowiadała ojcu a do zaślubin to znów nie tadna lub rodzina nie odpowiednia.

W końcu ustalono, zgoda rodziców i Jędrka. Dawicka Wiktoria, Wikcią pospolicie nazywaną. Ładna, zgrabna, pracowita a rodzina cieszy się ogólnym szacunkiem, posag będzie też nie lichi. Zapadła wspólna rodzinna zgoda na ten wybór. Jan jeszcze krążył po izbie czasem wyglądał przez okna, coś myślał, coś medytował, twarz miał skupioną, jakby jeszcze medytował nad swą decyzją. W końcu zwrócił się do wszystkich. – Rodzina Dawickich pochodzi ze szkotów z klanu David, taka to szlachta szkocka. Dziadek Wikci jeszcze nosił czapę szkocką, w końcu zmienił nazwisko na Dawicki. Dzisiaj jego wnuczka nie zna ani jednego słowa szkockiego, to już polacy, dobrzy polacy. –
Na tym rozmowa została zakończona i nikt nad tym się dalej nie zastanawiał. W najbliższą niedzielę Jędrek zaprosił Wikcię na muzykę, a dorował jej cały czas w końcu wyznał jej swoje zamiary małżeńskie. Uzyskał zgodę, przycisnęli się do siebie, Cała otaczająca młodzież nie istniała, oni widzieli tylko siebie. Tak również było na następnych zabawach. Zaczęto szeptać, że kojarzy się nowa para. Którejś niedzieli Ojciec z Jędrkiem udali się do domu Dawickich. Jan nie lubił pośredników w formie swatów, wolał sam sprawę zagaić. Powitanie, ót, normalne zgodne ze zwyczajem, jakby nic ważnego nie miało nastąpić. Młodzi odeszli do innej izby

pozostawiając ojców samych sobie. Rozmowę zagaił Jan. - Zapewne wiecie /z uszanowania zwracano się w liczbie mnogiej do rozmówcy/ że nasze dzieci mają się ku sobie. To też przyszedłem aby sprawę tę omówić jeśli na to się zgodzicie. Dawicki jakgdyby był już przygotowany na tę odpowiedź, uśmiechnął się i odrzekł: - Tak, Wikcia zdradziła się już matce i jesteśmy zgodni na to małżeństwo. Wobec tego pozostaje nam sprawa wiana. Przecież ci młodzi muszą mieć z czego zastartować. Podaj tu trochę okowity - zwrócił się do żony - będzie łatwiej rozmawiać. A jakie są wasze propozycje? Jan już miał swoją decyzję i rzekł: - jako najstarszemu daję połowę swojej ziemi, reszta pozostanie dla młodszych, będzie tylko musiał dawać ordynarię dla rodziców, ale to zaznaczymy w zapisie. Chciałbym teraz wiedzieć co wy proponujecie dla córki. Dawicki myślał chwilę, ważył co może dać, bo to też najstarsza i trzeba ją wyposażyć należycie, a ponadto lubił Wikcię więc trochę było mu przykro, że odejdzie z domu a ponadto zauważy, że matka ukradkiem ociera łzy. Zwrócił się do Jana i rzekł: - Sam co mogę. Kupuję od Żołędzia ogród karczemny i wybuduję tam dom, resztę sami będą musieli się dorabiać. Założę karczmę, a to daje dobry dochód. To może być więcej a niżeli

daje moje gospodarstwo. - Wobec tego zgoda - odpowiedział Jan. Podali sobie ręce. Teraz wszyscy zasiedli do stołu, przywołali młodą parę i podali im swoją decyzję. Nikcia i Jędrek uścisnęli rodziców i przysiedli się do stołu. - Trzeba jeszcze ustalić terminy - rzekł Dawicki - myślę, że załatwimy wszystko w tym karnawale. Trochę do ślubu musimy się przygotować. Ustalono dzień wyjazdu do zapisu rejentalnego, zapowiedzi oraz czas wesela. Okowita i zakąski stały na stole, starsi popijali a młodzi przyciśnięci do siebie w alkierzu, marzyli o swojej przyszłości. Wesele odbyło się w końcu karnawału, jak zwyczaj miejscowy nakazywał, trwało cały tydzień. Był to początek dwudziestego wieku. Pewnej niedzieli Jan wyszedł na obchód gospodarstwa, zwykł był czynić to dość często. Dzień pogodny i ciepły lekki wiatr kołysał łanami zboża, fale kolorowe snuły się aż podlas. Na końcu pól był jednomorgowy zagajnik, przez niego założony. Cieszyły oko młode sosenki uszeregowane rzędami, tu obfitość jagód a jesienią grzybów, mówiło się, że można je kosą zbierać. Podszedł do zagajnika, zebrał trochę jagód i usiadł na kępie mchu dla odpoczynku. Odurzony zapachem lasu sosnowego i barwami pól, położył się i zasnął. Pewnie ~~trwało~~ sen trwał dość długo. Kiedy obudził się odczuł uciążliwe bóle prawej strony ciała, oraz

szczupłość ręki i nogi. Rozcieranie kończyny
ale bóle były bardzo dokuczliwe. Nakłonność
skierować się do domu, nie było daleko ale
każdy krok to wielki wysiłek, pot pokrył
mu czoło. ~~Pot~~ Zmuszony był położyć się
do łóżka na parę tygodni ale niedowład
ręki i nogi pozostał. Do końca życia poruszał
się laską. Tak gwałtowne przerwanie sprawności
fizycznej, przeżywał bardzo głęboko. Zmuszony
był jednak przekazać prowadzenie gospodarstwa
synom. Najpierw zajmował się całym biegiem
prac Zydrek a potem młodszy Władek, gdyż
Zydrek zajął się budową pomieszczeń na
ogrodzie kaszerowanych. Jako młody człowiek
pragnął życia samodzielnego, chciał już sam
dysponować swoim samodzielnym życiem.
Myślał już o swojej rodzinie tym bardziej
śpieszył się i przynaglał prace budowlane, gdyż
pierwsze dziecko było w drodze. Myślał, że
będzie syn w swej podświadomości był pewny
syna. Rzeczywiście przyszedł syn lecz wkrótce
dziecko umarło. Zmartwienie duże ale nie
odwołalne. Po jakimś czasie przyszło drugie
dziecko również syn, nadano mu imię Piotr.
Teraz dziadkowie z obydwóch stron dokładali
wszelkich starań aby dziecko utrzymać przy
życiu. Dziecko było wątłe ale rozwijało się
normalnie, może ta opieka dziadków sprawiła
że pierwsze kroki następiły dość wcześnie

a pierwsze słowa takie. Wszystko wskazywało że dziecko się utrzyma. Wówczas wieś nie opierała się na lekarzach, lecz tylko na doświadczonych „babkach". Zdarzał się czas przeprowadzki na nowe miejsce, jak do własnego nowowybudowanego domu na ogrodzie karczemnym. Wóz drabiniasty stanął przed domem naładowany różnym sprzętem na wierzchu leżała kolorowa miednica. Trzyletni Piotrek stał przed domem i przyglądał się tej farsy, widział tylko tę kolorową miednicę, tego zainteresowało, reszta to jakaś gmatwanina różnych sprzętów. Ten obraz pozostał mu w pamięci do końca życia. Reszta przeprowadzki nie pozostawiła żadnego śladu. Wkrótce zmarł Jan. Pogrzeb nie różnił się od innych. Spoczął na cmentarzu w Obrytem. Młodszy brat Jędrzeja Władek objął drugą część gospodarstwa po ojcu. Przejmął istniejące zadłużenia na swoją część gruntów. Dom rodzinny został rozebrany. Trzy pokolenia które tu się rodziły żyły i umierały zamknięte zostało w jednym z powtarzających się cyklów. Pozostała tylko studnia z żurawiem i korytem do pojenia bydła. Trochę drzew owocowych i górka za drogą z której widać było całe gospodarstwo od końca do końca. Jak się przekonamy w dalszej części naszego opowiadania, górka ta miała bardzo bogatą przeszłość historyczną. Zmienił się obraz na tym wąskim skrawku pasie ziemi, ale pola i tęki żyły swoim niezmiennym życiem.

Karczma

Karczma położona przy rozstajnych drogach obok bagiennego pasa z mostem na drodze do Pułtuska, była, można tak powiedzieć, pępkiem tej osady. Stary trakt w widłach Bugu i Narwi, wyprowadzał na Białystok, ~~Obecnie był on już~~ poprzez Puszczę Białą. Obecnie był on już mało uczęszczany. Droga piaszczysta i uciążliwa nie przyciągała podróżnych. Zresztą sam układ geograficzny i administracyjny nie powodował naturalnych ciągów ruchu, W tej to karczmie Jędrzejowie założyli nowy dom rodzinny. Główny element zabudowań, to dom karczemny. Obok zabudowania gospodarskie oddzielnie usytuowane otoczone wysokim ścisłym płotem. Przy jdnej ścianie płotu gołębnik na wysokim słupie. Całość nie robiła wrażenia jakiegoś obiektu handlowego ale stwarzało charakter miejsca gdzie można się zatrzymać i dostać coś do zjedzenia i popicia. Drzwi i okna przeważnie otwarte stanowiły jak gdyby zachętę dla podróżnych. Dom karczemny kryty dachówką, unikat we wsi, wewnątrz posiadał cztery izby. Największa z nich, to izba karczemna. Wokół ławy stoły i taborety. W rogu nieodzowny duży bufet. Przylegała do tej dużej izby, mała izba karczemna dla gości specjalnych. Oddzielnie dwie izby mieszkalne i wędzarnia. Za domem ule i ogród owocowy. Każdy dzień to normalna praca w karczmie przy wyszynku piwa i sprzedaży na codzień potrzebnych artykułów.

Ponadto praca na gospodarstwie rolnym otrzymanym od rodziców Jędrzeja. Utarł się z czasem zwyczaj, że w każdy piątek wyjeżdżano po zakupy do Pułtuska, sobota to przygotowanie i wędzenie wędlin a niedziela to tłum gości i różnych interesantów. Czasem odbywały się tu tranzakcje handlowe, przeważnie koni a zatym trzeba było opić litkup. Podchmieleni goście nucili -Hej tam w karczmie za stołem- Jędrzeju piwa, tylko wyszkowskie - ktoś wołał. Pompa piwna przy bufecie syczała i co raz to nowe antałki wyciągano z piwnicy. Ale pieśń nie ustawała. Czasem zjawił się jakiś muzykant, poprostu bawiono się beztrosko. Od czasu do czasu zdarzały się drobne awantury ale zwykle zalewane były piwem. Taki gwar trwał do późnej nocy. Poniedziałek to generalne porządki. ~~Główny~~ Ten utarty zwyczaj programu tygodnia zmieniał się jeśli w ciągu tygodnia był jarmark w Pułtusku lub Zambskach albo wypadał odpust w jednym z pobliskich kościołów. To była dodatkowa praca no i korzyść. Główny wysiłek w prowadzeniu domu ponosiła Wikcia. Nie nadążała sama, bo to i karczma i gospodarstwo i dzieci, to też zawsze miała pomoc służącej. Jędrzej zajmował się stroną handlową i pracą w polu. Również i on nie mógł podołać wszystkiemu to też miał do pomocy parobka. Tak prowadzony, można powiedzieć interes, dawał znaczne dochody, to też dobrobyt rósł. Karczma tętniła życiem, tu wymieniano

wiadomości. Czasem docierały tu gazety. Opowiadano tu przeżycia. Czasem zjawiał się ktoś z Powstania Styczniowego, nawiązywał opowiadania o historii Polski. Innym razem uczestnik wojny Rosyjsko Japońskiej, który dzielił się swoimi przeżyciami i spostrzeżeniami z dalekich krajów. Stół zastawiony kuflami piwa, uczestnicy oparci łokciami o blat, dumali, przenosili się myślą w dawne czasy w inne kraje. Jeden z nich zwrócił się do naratora wojny japońskiej, bo to najbliższe. – Powiedźcie Franciszku, jak wojowaliście z tymi japońcami? – Ten chwilę myślał jak zagaić opowiadanie, pociągnął łyk piwa i znowu myślał, odtwarzał sobie cały ten obraz przeszłych przeżyć. – Ot – rzekł – Na wojnie człowiek żyje albo umiera. Miałem szczęście, żyję. Wojna to ciekawe przeżycie. Japońcy, dzielny żołnierz, bitny, małe to ale sprytne. Mieli takie mitraliezy strzelały tak pu, pu, pu, – tu naśladował strzały broni maszynowej. – Dużo ludu poległo, musieliśmy się cofać. Raz szliśmy „na sztyki" znaczy na bagnety, ustawiliśmy się „cepami" oni też. Ruszyliśmy, krzycząc „hura," oni też jakoś krzyczeli ale inaczej. Biegliśmy do siebie, myślałem, że to już mój koniec, że to będą jatki ludzkie, modliłem się w myśli, daj mi Boże wyjść cało. Już jestem na długość karabinu, widzę tylko dwuch japońców, odbijam ich bagnety i przelatuję przez ich szeregi, do około słyszę szczęk uderzanych karabinów

ze strachem oglądam się na boki, masa ludzi wymachująca karabinami, myśmy przelecieli więc zwyciężyliśmy. - A oni? - ktoś zagadnął - oni też przelecieli, więc pewno też zwyciężyli. My poszliśmy w swoją stronę a oni w swoją. Pewno dużo było zakłutych - znowu ktoś zagadnął - Na polu został tylko jeden ranny. - Czytelnik napewno nie da wiary tym opowiadaniom. Psychologia wojny potwierdza takie wypadki, szczególnie jeśli żołnierz bierze pierwszy raz udział w bitwie, gdzie myśl jego jest skupiona tylko na obronie. To też w działaniach wojennych przywiązuje się duże znaczenie do udziału żołnierza w pierwej bitwie. Przełamanie pierwszego strachu bitwy jest niezmiernie ważne, obciąża ono dalsze przeżycia żołnierza i wyciska znaczące piętno. Żołnierz staje się odważny albo tchórzliwy, po takim przeżyciu. A oto inny przykład charakterystyczny w psychologii wojny. Dwa oddziały nieprzyjacielskie zbliżają się do siebie nie wiedząc o sobie wzajemnie. Zbieg okoliczności spotykają się czołem na zakręcie drogi, zasłonięte wzniesieniem terenowym. Kompletne zaskoczenie po obydwuch stronach. Odległość paru kroków. Reakcja? Zamiast użyć broni, żołnierze chwytają kamienie i prowadzą walkę na kamienie aż do wycofania. To jest pewnego rodzaju panika niczym nie wytłumaczona, jak również nie objęta jakimiś zasadami psychologii. To jest panika,

nad którą można zapanować, dopiero po pewnym czasie. Najczęściej po kompletnym zmęczeniu. Wróćmy jednak do naszej karczmy. Rodzina Jędrzejów powiększała się. Najstarszy Piotrek miał parę lat urodziła się dziewczynka nadano jej imię Maria. Pierwsza choinka na Boże Narodzenie. To utkwiło w pamięci Piotrka. Świeczki, świecidełka, cukierki, jakieś zabawki, to było piękne. Była to jednak chwila. Najbardziej interesowały go konie, może to rodzinne. Lubił patrzyć na konie, wchłaniał ich piękno, podziwiał siłę, szybkość. Pierwsza jazda z ojcem na prudnim łęku, była przeżyciem, wydawało mu się, że jest bardzo wysoko a każdy ruch konia może spowodować spadnięcie, szybko jednak przyzwyczaił się do tych ruchów i zaczynał pierwsze samodzielne jazdy, miał odczucie, że staje się mężczyzną. Życie jego jednak nie biegło bez komplikacji. Miał towarzystwo innych chłopców, udawano jazdę konną z kijami brany między z szablami wystruganymi z drzewa. Cięli chwasty udając szarże. Przy jednej z takich zabaw po nadmiernym spoceniu się zachorował na zapalenie płuc. Stan był prawie beznadziejny matka i babcia już pocichu opłakiwały. Zawiezienie do lekarza, było ryzykiem, droga daleka. W bliskości była medyczka udzielająca pomocy i to dość skutecznie. Piotrek umieszczony w pierzynach prawie nieprzytomny dojechał do lekarki. Choroba została rozpoznana natychmiast.

Lekarka podała lekarstwo i nałożyła plaster na piersi. Po tym zabiegu, po jakiejś chwili Piotrek chciał pić, podano herbatę i suchą bułkę. W tak krótkim czasie nastąpił gwałtowny zwrot w chorobie. Piotrek usiadł o własnych siłach. W drodze powrotne do domu już siedział. Ale smak lekarstwa z anyżkiem i tej suchej bułki, pozostał mu na całe życie, lubił anyżek. Ślady tej choroby pozostały również na długie lata. Wikcia była dobrą matką, kochała dzieci, dbała o nie mimo dużego obciążenia pracą, nadążała wszystkim obowiązkom. Staranna opieka nad Piotrkiem doprowadziła go do normalnego zdrowia. Jędrzej poza prowadzeniem karczmy często zajmował się handlem koni, zresztą po temu było dużo okazji, jarmarki a i żydowscy handlarze końmi mieszkali obok, to dawni posiadacze karczmy. Pewnego razu kupił konia, w przypadkowej okazji, od oficera rosyjskiego, który został przeniesiony z Pułtuska do Moskwy i musiał zlikwidować swoją stajnię. Był to koń krwi arabskiej. Piotrek nie odchodził od niego, pilnował aby go nie sprzedano, posługiwał się nawet protekcją matki, to jednak nie pomogło, nawet płacz nie pomógł. Jędrzej konia sprzedał. Zarobek był zbyt nęcący, koń poszedł za potrójną cenę zakupu. Z tego powodu Piotrek miał żal do ojca. Lecz cóż koń ten był mało użyteczny w gospodarstwie a dla własnych potrzek można było jeździć każdym z posiadanych koni.

karczma tętniła życiem. Tygodnie i miesiące powtarzały się przyjętymi zwyczajami, tu czas płynął wolno a dzieci, nie mając szkoły i obowiązków związanych z nauką, bawiły się na łąkach i drogach. Piotrek rósł chociaż był budowy wątłej ale cechowała go duża wytrwałość wysiłku. W gronie rówieśników uprawiał różne gry i starał się w nich przodować. Najpopularniejszą była piłka do palanta a więc palant, podrzucany, piłka do dołka, to te najpopularniejsze. Drugą ulubioną grą to kręgi. Krąg taki zrobiony z drzewa, ucięty poprzecznie z kloca na grubość około 2 cm. w środku wywiercona dziura o średnicy około 3 cm. tworzył rodzaj koła. Cała gra polegała na puszczaniu kręga po równej murawie lub ścieżce. Dwa zespoły lub pojedyńczy gracze z kijami do zatrzymywania kręgu. Po jednym rzucie z jednej strony, następował rzut ze strony przeciwnej. Zatrzymany krąg kijami oznaczał miejsce zkąd można było go rzucać w stronę przeciwników. Wynikiem był zdobywany teren. Inna grupa chłopców, to przyszli technicy. Robili wiatraki, grzechotki i inne wymyślne zabawki. A dziewczęta? haft od najprostszych ściegów do skomplikowanych wzorów. Zima, to sanki, łyżwy sobie robione. Ślizgawka na jednej łyżwie drewnianej podkutej drutem. Wiosna, to pływanie w balii na wylewiskach, zbieranie jagód w lasach, plecienie wianków. Lato, praca

chłopcy zachwycali się lotami balonów, ciągnących po niebie z zachodu na wschód. Może nie jeden marzył o takim locie.

w polu. Jesień, grzybobranie, ogniska na kartofliskach i pieczenie kartofli. To wszystko stanowiło urok wsi. Czasem zabierano dzieci do miasta, najczęściej po kupno ubrania. Na jeden z takich wyjazdów do Kyszkowa, rodzice zabrali ze sobą Piotrka aby pokazać mu kolej. Ojciec opowiadał jak to ten pociąg wygląda ale to wszystko nie trafiało do jego wyobraźni. Pytał - jak ten pociąg sam jedzie bez koni?
- Tak, bez koni i ciągnie dużo wagonów.
Zbliżyli się do miasta. Na torach okazał się sunący pociąg, buchający dymem i parą, był cały czerwony. To towarowy - rzekł ojciec.
- Ależ tato, on wygląda jak gąsienica - zawołał Piotrek. Pociąg był jeszcze dość daleko i rzeczywiście robił wrażenie barwnej gąsienicy. Ta pierwsza i inne wyprawy wytworzyły w nim chęć do samodzielnych wojaży. Lubił samotność więc do wypraw nie potrzebował kolegów, samotnie przechodził obszary leśne nie czując leku, lubił las, nigdy nie zabłądził. Czasem ojcu wykradał broń udając myśliwego, nie miał jednak okazji strzelać do zwierzyny. W domu zwykle była różna broń, strzelby, rewolwery, chociaż nie było na nie zezwoleń. Z reguły w tych okolicach myśliwi nie mieli zezwoleń na broń, władze rosyjskie wydawały je niechętnie. Jędrzej od czasu do czasu również polował, chociaż z miernymi wynikami. Popularnie używane były kapiszonki,

W jednym z takich polowań, prawdopodobnie podsypał za dużo prochu lub zbyt mocno przybił, strzelba rozerwała się tuż przy podtrzymującej ręce. Zamiast kuropatw przyniósł krwawiącą rękę na temblak a twarz mocno posiekana nie spalonym prochem. Przeleżał kilka dni w łóżku a proch z twarzy wyłuskiwał przez kilka tygodni. Piotrek kończył siedem lat. W domu ojciec poduczał go rozpoznawać litery a nawet czytać poszczególne wyrazy i pisać na tabliczce łupkowej, tak jak on sam był uczony przez swojego ojca. Czasu jednak nie było, wieczory, okazja do nauki, to zajęcia w karczmie. Postanowił oddać Piotrka do szkoły „Meliona". Wziął syna ze sobą by udać się na koniec wsi gdzie już rozpoczęła się nauka. Formalność krótka. Przedstawił nauczycielowi syna i omówił koszta, to wszystko. Nauczyciel usadził Piotrka na najbliższej ławce, kazał rozłożyć przyniesiony elementarz i powtarzać ze wszystkimi. - Em a, em a, mama. W izbie panował zaduch i ciasnota. Przyzwyczajony do świeżego powietrza i przestrzeni, ciężko przeszedł ten pierwszy dzień, następne były łatwiejsze, wszedł w tę gromadę dzieci i przyzwyczaił się do rygoru szkolnego. Rodzice dostarczyli odpowiednie książki materiały do pisania oraz nieodzowny piórnik i tornister. Tak zaczęła się jego edukacja, która trwać miała wiele lat i przebiegać z wielu przeszkodami. Chciał się uczyć,

Do tej wędrownej szkoły polskiej Piotrek uczęszczał przez dwie zimy. W trzecim roku swojej nauki poszedł do nowozorganizowanej szkoły wiejskiej w języku rosyjskim. Tu nauka rozpoczynała się od „sławetności" cara i carowej. Jedna z nich brzmiała: -zpolszczone- -ewo imperatorskije wieliczestwo gosudar imperator Mikołaj wtoroj Aleksandrowicz i t.d. - Następnie bukfy, czytanki, wiersze i tłumaczenia z rosyjskiego na polski język. Szkoła ta trwała tylko przez jedną zimę. Zbliżały się lata brzemienne w skutkach o czym nie śniło się mężom stanu a cóż mówić o ludziach na głuchej wsi, żyjących swoim zamkniętym życiem. Sierpień 1914 roku. Karczma zapełniała się jak zwykle. Chłopi popijali piwo i dyskutowali, przywozili gazety, czytali i dyskutowali, kto kogo pobije. Widnokręgi się poszerzały, Państwa, stolice konflikty, cała Europa. Dotychczas dla nich osiągalna była Warszawa. Co mógł obchodzić ich świat, dla nich światem był Gródek, no kościół i najbliższe miasta. O wojnach słyszeli, najbliższa japońsko-rosyjska, ba nawet spotykało się uczestników tej wojny. Słyszeli, że Polska kiedyś prowadziła wojny, że wojny są straszne ale nikt sobie nie wyobrażał jak wojna wygląda. Sierpień. Ogłoszono mobilizację. Rezerwiści otrzymali powołanie do pułku w Pułtusku. Odprowadzani z płaczem kobiet, szli w niewiadomą może przeżyją a może już nigdy nie wrócą. Jędrzej nie podlegał mobilizacji, bo wogóle nie służył w wojsku, lecz brat Władysław odszedł na wojnę.

We wsi zapanowała cisza. Gdzie niegdzie po domach kobiety opłakiwa swoich najbliższych. Z wieści napływających z Pułtuska, można było wywnioskować, że zmobilizowane wojska poszły w kierunku Ciechanowa i Mławy. Teraz zaczęto interesować się gazetami uczono się czytać mapy. Krąg zainteresowań gwałtownie się poszerzał. Wiadomości napływały jak lawina, Serbia - Serajewo, to pierwsza rewelacja. Mapa Europy nabierała barw czerwieni. Austria przeciw Serbii, Rosja przeciw Austrii, Niemcy przeciw Rosji, Francja i Anglia ~~przeciw~~ a nawet Włochi przeciw Niemcom i Austrii. Już cała Europa w ogniu. Najbliżej interesującym był front rosyjsko-niemiecki, wiadomości mgliste, wydawało się jednak, że nie pomyślne. W końcu wiadomo było, że Samsonow poniósł klęskę w Prusach. Następowało tak zwane prostowanie frontu. Na okres zimowy, najbliższa linia walki, utknęła w rejonie Ciechanowa. Ludność miejscowa nie odczuwała jeszcze skutków wojny. Pokazały się pierwsze samoloty niemieckie. Zwiększyły się wojskowe zakupy żywności i paszy dla koni. Wyładowywane transporty wojskowe na stacji kolejowej w Łapach, ciągnęły traktem na Pułtusk, masy taborów i furmanek podwód ciągnęły w jedną lub drugą stronę, to zaopatrzenie dla frontu. Rodzina Jędrzejów zaczęła dotkliwie odczuwać te ruchy wojsk. Dom okazały przy trakcie z zasady zajmowano na kwatery dla oficerów.

Było udręką dla gospodarzy, bo zwykle wojsko wykorzystywało kuchnię i izby, co zakłócało normalny bieg życia domowego. Po takim zakwaterowaniu trzeba było całkowicie dom czyścić i wietrzyć, bo dziegciem pachniało wszędzie. Handlu w karczmie nie było, zakaz wyszynku piwa, szczególnie dla wojska, okna szczelnie zasłaniane w okresie nocy aby nie zdradzać ruchu wojsk. Jędrzejowie nie nawiązywali rozmów z wojskowymi aby nie być posądzonym o szpiegostwo. Rodziny żydowskie mieszkające naprzeciwko, zostały ewakuowane. Jakoby sprzyjały niemcom. Z czasem te ruchy wojsk i te uciążliwe kwatery stały się normalnym porządkiem dnia. Rok 1916 rozpoczął się ruchem wojsk rosyjskich na wschód. Teraz dniem i nocą ciągnęły formacje wojskowe, tabory, tabory i jeszcze raz tabory. Przyszły ścisłe zakazy sprzedaży piwa wojsku jak również zasłaniania okien. Samoloty niemieckie pokazywały się co raz częściej, ale nie ostrzeliwały ani nie rzucały bomb, to też nikt się przed nimi nie krył, nawet wojsko. Najwięcej samolotami interesowali się chłopcy, było to dla nich coś nieosiągalne i nie zrozumiałe, to był jakiś cud techniki. Pokazały się również pierwsze samochody. Przejechały traktem pozostawiając tumany kurzu i zapachy spalin. Tak przyzwyczajano się do skoku wielkiej techniki. Techniki która miała służyć do zabijania ludzi.

Front się zbliżał. Niecierpliwi ludzie wychodzili z domów słuchając kanonady artyleryjskiej. Jędrzej został powołany na komisję poborową. Od powołania do wojska uchronić się okazerową ręką i rublami. Podobno lekarze z komisji poborowej upychali worki banknotami rublowymi. Po kilku dniach Jędrzej powrócił do domu. Po przewalaniu się masy taborów, nastała jakgdyby cisza, pojedyńczy gońcy konni mknęli po trakcie. Odgłosy walki stawały się bliższe, już można odróżniać pojedyńcze wybuchy pocisków. Od początku wojny, propaganda prasa rosyjska dawała opisy wojskowych zbrodni niemieckich, przerażające opisy walk, dodeż u tych prostych ludzi stworzył się obraz jakiejś katakumby, prawie końca świata. Nic też dziwnego, że ludność szukała schronienia, gdzie tylko się dało. Jędrzej zadecydował, że trzeba odsunąć się od frontu, bo tu napewno będą bitwy. Zaopatrzono się niezbędnymi rzeczami i żywnością, gotowi każdej chwili do opuszczenia domu. Nikt nie był przeciwny wyjazdowi. Rzekł - Stryj Jędrzej, nie będziemy opuszczać naszego domu, nie pójdziemy na tułaczkę. Co będzie to będzie. Chociaż wyjedziemy, to kiedyś ten front musimy przekroczyć, do Rosji nie pojedziemy. Jak przyjdzie nam umrzeć to na swojej ziemi. - Nikt nie wątpił w słuszność

entuzjastyczną pracę, tu spędziła młode jeszcze lata, tu urodziła i wychowała czworo swoich dzieci, tu czuła się szczęśliwą. Cała jej jaźń związana była z tym miejscem, nie wyobrażała sobie, że może to miejsce opuścić. A może jakaś podświadomość nakazywała pozostać.

- Nikom ja też nie chcę z tąd wyjeżdżać - rzekł Jędrzej - ale jak będzie bitwa, usuną nas z tąd. Mieszkamy przy trakcie, wojsko tędy musi iść a więc bitwa jest prawdopodobna. Jeżeli będę widział, że jest coś groźnego, odjedziecie na koniec wsi, tam powinno być spokojnie, sam zostanę jak będzie ciężko dołączę do was. Pod wieczór dały się słyszeć bliskie strzały karabinowe, powtarzane echem w olszynach zarastających pas bagienny. Usadzono dzieci na wozie zabrano inwentarz, pozostały tylko gołębie w gołębniku. Jędrzej odprowadził wóz do krewnych a sam powrócił do domu. Błąkał się po mieszkaniach i zabudowaniach gospodarczych, jakiś żal ścisnął mu serce, poczuł się samotnym w tym otoczeniu. Późnym wieczorem dołączył do rodziny. Zamierzał rano ponownie udać się do domu. Wczesnym rankiem na drugi dzień, weszło do domu dwóch żołnierzy rosyjskich. Pomyszkowali po pustej zagrodzie, złapali błąkającą się kurę. Weszli do większej izby mieszkalnej, gdzie wisiał obraz Chrystusa.

- Co tak na nas patrzysz - zaczęli się naigrawać - zrobimy ci ciepło. - Wyrzucili słomę na środek izby i podpalili. Płomienie szybko objęły izbę.

Patrzyli na obraz i śmiali się wołając: - No zrób Boże aby płomień zgasł. - Ich śmiech wypływał przez otwarte okna na trakt, docierał aż do olszyn. Był to złowieszczy śmiech. Byli to tak zwani podpalacze, niszczyli wszystko co było po drodze. Tak samo podpali dom pożydowski po drugiej stronie drogi a dalej następne zabudowania wiejskie. Wieś płonęła. Dom karczemny ogarnięty dymem szumiał już płomieniami, ogień przerzucał się na strych. Snopy iskier wydobywające się z dachu, wiatr przerzucił na zabudowania gospodarskie. Gołębie przestraszone pożarem, poderwały się stadem, wzbiły wysoko i jakiś krążyły wokół pożaru aż zmęczone odleciały szukać nowego siedliska. Tego dnia Jędrzej przyszedł do lecz zastał tylko ~~zgli~~ dopalające się zgliszcza i sterczący komin, świadka tego nieszczęścia. Rosyjanie, wycofując się palili wszystko po drodze, szczególnie na terenie Polski. Stosowano system wojen napoleońskich, pozostawiając spaloną ziemię. Jędrzej żałował, że opuścił dom. Mógł go uratować, nie brakowało pieniędzy a przekupstwa były nagminne. Jędrzej powrócił do rodziny, przygnębiony i zrezygnowany. Opanowała go psychoza uciekania od wojny. Założył konie do wozu i razem z innymi uciekinierami, posuwali się wraz z wycofującymi się wojskami. Mijano Wyszków, Łochów, Sokołów Podlaski, Drohiczyn i dalej na Prużany. Do tej ostatniej miejscowości nie dotarli. Po drogach szło wojsko, tabory, różne eszelony

ewakuacyjne, nawet zgrupowania parowych maszyn do wałowania dróg. Szły na własnych kołach marszem ślimaczym, po drodze rąbiąc drzewo w lasach do opalania kotłów. Na ostatnim postoju w lasach przed Prużanami, cała ta grupa uciekinierów zdecydowała wracać do domów, widząc bezsens tej ucieczki. W tym czasie nadjechał patrol kozaków, nie przynaglał do odjazdu, Jeden z jeźdźców zamienił konia swojego na konia Jędrzeja, wskazali gdzie są już niemcy i odjechali. Wozy uciekinierów jede za drugimi ruszyły w stronę niemców, niosąc białe flagi na przodzie. Tak, z wielkim strachem dotarła ta grupa do pierwszych linii niemieckich. Niemcy byli już okopani, według wszelkich zasad taktyki walki, mimo, że przybyli tu przed paru godzinami. W momencie przekraczania pozycji niemieckich, przyszły dwie serje pocisków artyleryjskich tuż przy okopach. Były to ~~poci~~ strzały ze strony niemieckiej. Natychmiast wystrzelono rakiety sygnalizacyjne, co zatrzymało ogień. Obserwator pomylił się, widząc tumany kurzu za wozami, i konie, posądzał, że to jakaś szerża. Pociski wybuchały również blisko wozów. Powstało zamieszanie. Piotrek stał przy swoim wozie, bez jakiegokolwiek strachu, nie bał się. To pierwsze odczucie pola walki, pozostało mu na całe życie. Nigdy nie bał się ognia artylerii. Po przekroczeniu pierwszych linii frontu, niemcy ponownie zabrali Jędrzejom konia a w zamian dali białą odparzoną chabetę. Powrót do domu odbywał się tą samą drogą przez te same miasta.

Kozy ucikinierów toczyły się szeregiem po szutrowanych lub brukowanych drogach, zdążając do pozostawionych domów. Na Jędrzejów wozie czwórka dzieci Piotrek, Maria, Stanisław i najmłodsze Czesław. Dzieci spały, podrzucane trzęsącym się wozem, może miały wrażenie kołyski? Najstarszy Piotrek siedział na koźle obok rodziców, obserwował wszystko co się wokół niego dzieje. Cofał się myślą do przeżytych dni, które ciążyły nad nim jak koszmar. Jak to jest myślał: Tam rosyjanie, tu niemcy, a przecież my jesteśmy w Polsce. Z tej całej podróży utkwił mu w pamięci jeden obraz który zmienił jego dziecinną jaźń. Na jednym z postojów jeszcze w czasie podróży na wschód, dołączył do grupy żołnierz rosyjski, Polak. W czasie rozmowy z ludźmi rzucił karabin i rzekł: dajcie mi ubranie cywilne, nie będę walczył za Rosję, ja Polak, mam swój kraj i o nim trzeba myśleć. W tym momencie nastąpiło całkowite odwrócenie jego pojęć. Zrodziła się świadomość, jestem Polakiem, jest Polska i o nią trzeba walczyć. Wszystkie naloty rusycyzmu zniknęły w tym momencie. Jędrzejowie powrócili do rodzinnej wsi, mówiło się do domu, ale jak wiemy domu nie było. Zamieszkali czasowo u krewnych. Jędrzejowie jeszcze młodzi i pełni sił, zabrali się do budowy nowego domu. W pierwszym rzędzie trzeba było przygotować budulec. Ściągano drzewo z lasu, jeszcze można to było robić bezkarnie. Całą zimę pracowali tracąc

Z wiosną przystąpiono najpierw do budowy domu. Wszystkie czynności podejmowano z myślą, że karczma zostanie ponownie uruchomiona. Jednak niemiecka okupacja nie sprzyjała temu. Niemcy bezlitośnie eksploatowali ludność. Nakładali kontygenty, przeprowadzali rekwizycje, różne nakazy, zakazy, były wielkim ciężarem dla ludności. Zamknięto wiatraki wiejskie, niszczono żarna, o uboju nawet nie można było myśleć. Ale żyć trzeba było. To też nocą śmigi wiatraków się obracały a ukryte żarna szumiały obracanymi kamieniami. Mięso było w ukrytych chlewikach. Mimo tej zaradności, bieda wyglądała ze wszystkich kątów. Brak mydła powodował różne choroby. Na pierwszym miejscu świerzb i owrzodzenia a przede wszystkim wszy. Z tymi trudnościami też trzeba było sobie radzić. Mydło robiono sposobami domowymi a zielarstwo dawało leki. Świadczenia na rzecz folwarków administrowanych przez niemców stawały się uciążliwe, powodowały bunty. Jeden z chłopów nazwiskiem Piątkowski odmówił tych posług. Ulokował się na strychu swojego domu, zgromadził kamienie i cegły jako swoją amunicję. Zabarykadował wejście na strych beczkami obciążonymi kamieniami i czekał na interwencję niemców. Przybyła grupa niemców dozorujących folwarka aby zmusić chłopa do posługi. Bitwa trwała cały dzień. Na dole niemcy z karabinami na górze chłop z kamieniami. Ostrzeliwali strych ale nie robiło to wrażenia na obrońcy. Wyrwano bosakami deski szczytowe,

chłop otwór zabarykadował beczką. Którykolwiek z niemców starał się podejść do budynku dostawał kamieniem lub cegłą. Pod wieczór chłop się poddał kiedy zabrakło mu jego amunicji. Za ten występ, niemcy nałożyli kontrybucję na wieś a chłopa zamknęli we więzieniu. Po różnych staraniach ludności miejscowej i zapłaceniu kontrybucji, chłop został zwolniony z więzienia. W tym okresie niemieckiej okupacji uruchomiono we wsi polską szkołę ze stałym nauczycielem z podziałem na klasy. Język niemiecki był jako przedmiot. Piotrek od początku założenia szkoły zaczął do niej uczęszczać. Wyróżniał się nauką w śród swoich rówieśników. W okresach wolnych od nauki pomagał rodzicom w odbudowie gospodarstwa, dając również wkład do budowy domu. To był już jego nowy dom. Myślał o swoim własnym pokoju obiecanym przez ojca. W śród dzieci przybyło piąte dziecko do rodziny, dziewczynka Wanda. O wiadomościach z frontów można było zasięgnąć wiadomości z gazet. Mówiono o stabilizacji frontu na zachodzie, o walkach na froncie włoskim oraz o rewolucji rosyjskiej. Z tej ostatniej napływały mgliste wiadomości. Czasem przechodzili polacy powracający z armii rosyjskiej i opowiadali o tragediach jakie przynosiła ze sobą ta rewolicja.

Niepodległość

Listopad 1918 roku. W tym czasie była we wsi grupa żołnierzy niemieckich wykonująca rekwizycje. Wyznaczyli dostawy byli jednak niespokojni, na kwaterach wykazywali dużą ostrożność. W nocy przyjechał goniec z Pułtuska. Cały oddział załadował się na podwody i odjechał pozostawiając zarekwirowaną żywność. W grupie tych podwód, jedną z furmanek prowadził Jędrzej. Już na moście na Narwi przed wjazdem do miasta, czekali uzbrojeni polacy. - Stój wysiadać oddać broń - zawołał jeden z nich. Niemcy bez oporu złożyli broń, ustawili się w szeregu. Eskorta odprowadziła ich do miasta. W mieście pełno ludzi na ulicach, poprostu tłoczno. Tu i ówdzie prowadzono rozbrojeni niemcy, przez ~~po~~ uzbrojonych powstańców z biało czerwonymi opaskami na rękawach. Po powrocie Jędrzej opowiadał o scenach odbywających się w mieście a nawet o znajomych biorących w nich udział. - Tacy byli potulni - mówił - ci butni ludzie oddawali broń i szli do niewoli bez żadnego oporu, nawet oficerowie, to naprawdę była radość. Tym znanym gorszym niemcom wygrażano pięściami, ale strzałów w mieście nie było. - Chłopi jeszcze stawiali mu pytania dociekając szczegółów. - Teraz mamy wolną Polskę - zakończył Andrzej. Nikt z obecnych nie wyobrażał sobie jak ta wolna Polska będzie wyglądać ale to będzie wolna Polska. Chłop uciskany pańszczyzną, gnębiony

przez rosjan, następnie niemców, przetrwał w swojej formie narodowej do czasu odzyskania niepodległości. Z gazet czy opowiadań wiedziano o Legionach, Piłsudskim, POW, i innych ruchach niepodległościowych. Wszystko to jednak nastąpiło gwałtownie, mówiono - Wybuchła Polska. Rzeczywiście była to eksplozja niepodległości, po półtora wieku niewoli. Chłop wszystko przetrwał i nie utracił nic ze swej polskości. Należało teraz sięgnąć do tych zasobów. Element zdrowy moralnie, moralnie, twardy, o głębokim poczuciu narodowym, stanowił podstawę do budowy państwa. Chłop zaczął myśleć o nauce, dzieci szły do szkoły, którą musiano rozszerzyć. Zaczęła napływać prasa, książki, ludzie się uczyli nawet starsi wiekiem. Trzeba było nadrobić zaniedbania. Teraz ze wszystkich stron napływały wiadomości. Mówiono o oddziałach Hallera, o tworzącym się wojsku polskim w Rosji, o tragediach rewolucji ~~rosyjskiej~~, o walkach z Ukraińcami we Lwowie, w poznańskim jeszcze niemcy, na wileńszczyźnie sytuacja niejasna. Doszły wiadomości o tworzeniu się wojska polskiego. Przyszły pierwsze powołania do wojska. Z frontów armii zaborczych powracali żołnierze, oficerowie. Pośpiesznie tworzono armię polską. Broń przeważnie poniemiecka, zaczęła również napływać broń francuska. Zorganizowane oddziały odchodziły na front wschodni aby powstrzymać wnikające ~~oddzi~~ w głąb Polski oddziały sowieckie. Wszystkie te wiadomości napływały do wsi z dnia na dzień. Były komentowane przez chłopów, niektóre wywoływały ich zmartwienia

We wsi ani wśród dorosłych ani wśród dzieci nie było ~~nawet~~ jednej osoby ze średnim wykształceniem. Cztery oddziały (klasy) to najwyższe osiągnięcie. W roku 1919 przyjechał na wakacje kleryk Dawidczyk z seminarium duchownego. Podobno daleki krewne z rodziny ~~matki~~ Wikci. Spotkał Piotrka i w pierwszej rozmowie zapytał go czy chciałby się uczyć. Bez wahania piotrek odpowiedział - Tak - Bo widzisz - zaczął kleryk - jest organizowana taka szkoła przygotowawcza do seminarium nauczycielskiego w Pułtusku i trwa dwa lata, potem seminarium, będziesz nauczycielem. Porozmawiam z twoim ojcem. Rozmawiałem już z nauczycielami z tej preparandy, zbierają uczniów i organizują szkołę. Po aprobacie Piotrka kleryk sprawę załatwił szybko. W najbliższy dzień targowy, Andrzej zabrał Piotrka do Pułtuska. Zgłosił się do kierowniczki tej szkoły pani Biedrowskiej. Jaka była rozmowa ojca z nauczycielką Piotrek nie słyszał. Kierowniczka przywołała Piotrka i po paru pytaniach zadecydowała o przyjęciu. Ojciec załatwił formalności umieszczenia chłopca w internacie i całe przyjęcie do szkoły zostało załatwione. Taki drobny zbieg okoliczności spotkania z klerykiem, zadecydował o całym życiu tego chłopca. Po powrocie do domu Wikcia niechętnie przyjęła tę wiadomość nie mogła się pogodzić z odejściem dziecka z domu. Kochająca matka, chciała mieć dzieci przy sobie. Piotrek prosił matkę o wyrażenie zgody.

Myślała nad tym, trochę popłakiwała, noc bezsenna ale w końcu zgodziła się. Jakie motywy przemawiały do niej w tej trudnej dla niej sytuacji pozostały jej tajemnicą. Już po pierwszych miesiącach nauki Piotrka okazywała zadowolenie ze swojej decyzji. Rozpoczęto przygotowania do wyjazdu. Nowe ubrania, buty, bielizna, pościel, mały kuferek na drobne rzeczy. Resztę potrzeb zapewniał internat. Odjazd, trochę płaczu matki, dziecko odeszło poza dom. Piotrek znalazł się w nowym środowisku. W szkole dzieci różne, wiejskie, miejskie, chłopcy i dziewczęta. Nowe środowisko stwarzało różne trudności, trzeba było wielu nowych rzeczy się nauczyć. Rygor internacki, godziny zajęć, sposób zachowania się w nowym środowisku, kształtowały charakter Piotrka. Szybko dopasowywał się do nowych warunków. Kochani nauczyciele, patriotyczni, wkładali wiele wysiłku w wychowywanie tych dzieci i podciąganie wiedzy do wyższego poziomu. Niezapomniani pedagodzy jak Biedrowska, Chajdukiewicz, Machej, wszyscy po wyższym wykształceniu a każdy z nich miał swoją świetlaną przeszłość. Całe dnie poświęcali swoim wychowankom. Zaczęły napływać dary amerykańskie. Wszystkie artykuły spożywcze szły do kuchni internackiej, wyżywienie znacznie się poprawiło, poprawiła się zdrowotność dzieci. Przyszły koce, bielizna pościelowa a nawet ubrania dla dzieci, które rozdano najbiedniejszym. Zorganizowano bibliotekę z najlepszymi powieściami literatury polskiej. Królował Sienkiewicz, rozchwytywany przez chłopców. W myślach starali się naśladować jego bohaterów.

Wiosna 1920 r. Stała się kataklizmem dla rodziny Jędrzejów. Umarła Wikcia ~~p~~ w kilka dni po porodzie nieżywych bliźniąt. Nastąpiła całkowita zmiana klimatu życia rodzinnego. Piotrek otrzymał wiadomość od wychowawczyni internatu, że umarła matka. Stał nieruchomy nie wiedząc co dalej czynić. Dopiero po chwili zaczął się ubierać i ruszył w drogę, pieszo, bo żadnego transportu nie było. Kilkanaście kilometrów drogi, zbliżał się wieczór. Nie myślał o drodze, myślał o matce. Minął lasy, mijał wioski leżące po drodze, nie widział przechodniów, nie słyszał szczekających psów zagrodowych. Widział tylko obraz matki. Mówił tylko pocichu do siebie: - Mamo zaczekaj ja już idę do ciebie, zaczekaj ja zaraz będę. Ocknął się kiedy wszedł do izby gdzie spoczywała matka. Wstrząsnął nim blask świec ustawionych wokół łoża. Nie widział zgromadzonych tu ludzi, raziły go żałobne pienia. Pragnął ciszy. Pragnął być sam z matką aby jej wszystko powiedzieć, aby wyrazić jej całą swoją miłość dziecinną i szacunek. Zbliżył się do łoża, ucałował matkę, ukląkł i zaczął się modlić głaszcząc jej piękne ręce. Odmawiał wszystkie modlitwy jakie cisnęły się na usta. A w końcu zaczął mówić pocichu: - Mamo czemuś odeszła pozostawiając nas w rozpacz, nas kochającą cię gromadkę. Ale ja wziąłem twoją duszę, tę piękną duszę i będę z nią żył do końca mojego żywota. Niechaj ta twoja dusza będzie ze mną zawsze

Na drugi dzień odprowadzono trumnę do kościoła a następnie na cmentarz. Piotrek stał w kondukcie pogrzebowym przy wykopanym grobie, nie widział uczestników ani księdza odprawiającego modły, widział tylko ten dół. Trumnę opuszczono do grobu. Uczestnicy rzucali grudki ziemi na trumnę. On też wziął garstkę ziemi i trzymał ją długo w ręku nie mógł otworzyć dłoni. Ceremonia się zakończyła, ludzie się już rozeszli, on jeszcze stał aby na zawsze ustalić sobie w pamięci miejsce, gdzie spoczęła jego matka. Bardzo kochał matkę i wszystko w niej pokładał, teraz ogarnęła go niewiadoma pustka. Od tego momentu stał się jakgdyby dorosłym człowiekiem, musiał myśleć i decydować o sobie. Zanikł uśmiech na jego twarzy. Cecha ta pozostała na długie lata, skłaniało go to do przebywania w samotności. Matka pozostała mu w pamięci jako stała opiekunka. W najcięższych chwilach swojego życia, zawsze zwracał się do niej o pomoc. Tegoż roku po przyjeździe na wakacje z przerażeniem stwierdził, że ojciec bezmyślnie sprzedał dom. Dom w który włożył całe swoje marzenia dziecinne i swoją pracę. Kikut komina sterczał jak po spaleniu. Dzieci zaniedbane umieszczone w przybudówce prowizorycznej. Dom pogrążał się w ruinę. Oparcie swoje znajdował u babki z rodu matki, opiekowała się nim, przez całe lata szkolne i czasem dawała pomoc żywnościową i pieniężną. Jędrzej rozpoczął przygotowywać materiały na następny dom ale pieniądz uzyskane ze sprzedaży, bez efektu szybko się rozeszły.

Taka sytuacja zastała rodzinę w sierpniu 1920 roku. W tym czasie front wschodni w szybkim tempie zbliżał się do Warszawy. Wiedzieliśmy, że front jest blisko nas. Któregoś dnia przeszły przez wieś, może dwie kompanie naszego wojska, ostatnie i jedyne, jakie były w tym rejonie. Odziały szły spokojnie, niosąc na noszach jednego rannego. Kobiety wynosiły im posiłki a przede wszystkim mleko. W jakiś czas za nimi pojawiła się chmara wojsk sowieckich, szli na przełaj, przez pola i ogrody, nie licząc się ze zniszczeniem zbóż i płotów. Na skraju wsi od strony Sadykierza zostali zatrzymani prze ogień oddziałów polskich. Rozpoczęła się walka, zaczęli napływać ranni sowieci. Bitwa trwała do końca dnia i przez noc. Na drugi dzień ciągnęły tabory, tak zwane podwody chłopskie, niektóre z nich pochodziły aż z Białorusi. Wozy te ciągnęły nieprzerwanym sznurem przez parę dni. Niektóre z nich były załadowane amunicją inne żywnością, ale znaczna ilość to wozy puste, szły tak bez użytku. Może sowieci liczyli na łupy wojenne? Wszyscy szli na Warszawę aby zdobyć tam czerwone buty. Po paru dniach trochę przerwy. Niektóre eszelony wozów wracały inne szły do przodu. Sowieci natychmiast nałożyli kontygenty żywnościowe na sieś. Polski chłop musiał żywić nieprzyjacielską armię. W następnych dniach zaległa zupełna cisza, pozostały tylko polowe

linie telefoniczne i obsługi aparatów telefonicznych. Z rozmów, prowadzonych z tych aparatów, a słychać je było na zewnątrz domu, można było się domyślić, że cała ta kampania przybiera obrót niekorzystny dla sobietów. Często słyszało się: - Pocisków artyleryjskich brak. - Ta cisza już nie została zakłócona. Zaledwie parę wozów wracało tą samą drogą, reszta gdzieś pozostała. Jakiś pojedyńczy maruder jechał na koniu na oklep, zatrzymał się aby zdobyć posiłek, w tem usłyszał głos chłopów: Polacy! Polacy! Ze strachu nie mógł wsiąść na konia, ktś mu pomógł ale tak, że przerzucił go na drugą stronę konia, uderzono w śmiech. Konia powtórnie nie dosiadł, uciekł. Dopiero w dwa dni po tym incydencie nadeszły nasze wojska. Widać było zdyscyplinowanie i porządek. To poznański pułk. Mówiąc nawiasem napotkanemu żydowi obcięli brodę, to było wtedy prawie modne jako rewanż za zachowanie się żydów w Białymstoku w czasie wycofywania się oddziałów polskich. Tak przeżyła tutejsza ludność drugi przesuwający się front przez te okolice. Teraz jednak, nauczony doświadczeniem nikt nie opuszczał swych domów. Żadne z gospodarstw nie zostało spalone. Życie wracało do starego porządku. Jędrzej szybko wybudował drugi dom, taki sam jak poprzedni. Piotrek odjechał do szkoły w Pułtusku. Jędrzej wkrótce ożenił się powtórnie. Dziewczyna dobra, chciał skupić przy sobie dzieci z pierwszej

żony, jednak młoda, mało doświadczona nie dawała sobie rady. Ponadto nie miała wpływu na Jędrzeja. Żeby nie rozciągać tej powtarzającej się historii, trzeba skrócić do kilku zdań. Druga żona urodziła córki i w kilka dni po porodzie zmarła. Jędrzej sprzedał dom i zaczął gromadzić materiał na trzeci dom. Sam z gromadką dzieci zamieszkał w prowizorycznym baraku. Ożenił się po raz trzeci. Trzeciego domu już nie wybudował. Córka Maria wyszła zamąż, urodziła dwie córki. Małżeństwo nie przebiegało szczęśliwie. Mąż ją porzucił, żeniąc się z inną, bez rozwodu, sądzony potem za bigamię. Synowie Stanisław i Czesław odeszli z domu. Najmłodszą jeszcze małą Wandę zabrała pod opiekę babka z linii Wikci. Syn Stanisław w młodym wieku, jako kawaler, umarł. Piotrek opuścił wieś. Tracił kontakt z domem, który w jego pojęciu już nie istniał, wszystko co było w domu wydawało mu się obce. Szczególnie zniechęcała go ta druga macocha. Osoba nieprzyjemna źle odnosząca się do pozostałych dzieci po pierwszej żonie Jędrzeja. Pozostając poza domem dzieciństwa, marzył i tęsknił do tego pięknego domu rodzinnego. Zdawał jednak sobie sprawę, że nigdy to nie nastąpi. W niektóre wakacje lub ferie świąteczne, wracał do wsi rodzinnej. Często jednak wakacje spędzał na różnych obozach harcerskich. W harcerstwie brał czynny udział przez cały czas pobytu w seminarium nauczycielskim.

Zacierały się więzy rodzinne. Rzucony w środowisko obce, musiał sam sobie dawać radę. Do tych nowych warunków trzeba było się dostosować. Różnica, przy przejściu do innego środowiska stwarza zawsze trudności życiowe. Nowi koledzy muszą mieć wrażenie, że jest się im potrzebny, że czymś się imponuje, co daje możność wejścia do kompanii. Ambicje miał duże, wytworzyła je tradycja rodzinna. Już wówczas postanawiał sobie, że odbuduje tradycję rodu, że dojdzie do stanowiska społecznego równego swoich przodków. Nauka i skromność cechowały jego codzienne życie, chociaż nasuwały duże trudności. Do nauki życia, trudno znaleźć nauczyciela, on był sam. Ta samotność zawsze go gnębiła. Dochodziły do tego trudności materialne. Ojciec nie bardzo mógł a może i nie bardzo chciał pomagać, licząc, że jakoś sobie da radę. W żywieniu nie był wymagający, wystarczył kawałek chleba, czasem tylko spoglądał z zazdrością na kolegów pochłaniających babki świąteczne, ale nigdy nie zwrócił się o poczęstunek. Z ubraniem dawał sobie radę, ale największy kłopot, to noclegi, za nie trzeba było płacić. Tak długo jak mógł, trzymał się internatu, ale kiedy ojciec nie wywiązywał się w obowiązujących opłatach, zmuszonym był przejść na stancje, a i te często zmieniał, bo stało się już zwyczajem, że nie były one opłacane. W tak ciężkich warunkach materialnych dobrnął do końca szkoły średniej.

Po ukończeniu preparandy w 1921 roku, przyjętym został do seminarium nauczycielskiego. Szkoła mieściła się przy ulicy T. Kościuszki Nr 8. Stary dom czynszowy, nie odpowiadał zbytnio potrzebom szkoły. Nowo otwarta szkoła była na dorobku i posiadała tylko dwie pierwsze klasy, a była to szkoła pięcioletnia. Dopiero w następnych latach dochodziły nowe klasy i przybywały lokale rozrzucone na tejże ulicy. Doszły sale fizyki, robót ręcznych i duży internat. Młodzież w różnym wieku. Opóźnione roczniki powracających z wojska, po zakończeniu wojny i młodzież normalnie postępująca w nauce. Szkoła koedukacyjna. Była to jednak młodzież głęboko patriotyczna, chciała budować wymarzoną Polskę. Nauczycielstwo mniej lub więcej przygotowane do pracy pedagogicznej, całym sercem służyli młodzieży, poprostu kochali ją. Wspaniały dyrektor Butrymowicz, wysoki przystojny mężczyzna, nosił krótko strzyżone wąsiki, stale pogwizdywał arje z oper, lubił muzykę. Nadawał zasadniczy ton w szkole. Wielu uczniów starało się go naśladować. Niektórzy z nauczycielstwa miało swoisty sposób bycia, często podchwytywany przez uczniów, chociaż nie szkodliwie. Pani Zubalewicz, matematyczka, piskliwym głosem karciła za błędy a ponadto jako stara panna, uczulona była na stosunek chłopców do dziewcząt, stróżka cnoty. To nie

przeszkadzało, że często kojarzyły się pary małżeńskie. Pan Wilk, historyk okresowo prowadził język polski, postrach uczniów. Bezwzględnie tępił błędy ortograficzne. Również stary kawaler i dziwak. Pewnego razu Piotrek przechodził obok jego mieszkania. Zauważył go, otworzył okno i zawołał: - Ty Chełchowski, choćno tutaj - W pierwszym momencie Piotrek się przestraszył, że otrzyma jakąś reprezentację, może za wypracowaną lecz wkrótce ochłonął - Ty wiesz - zawołał - twój przodek był rotmistrzem w 4-tym pułku ułanów Księstwa Warszawskiego? - Wiem odpowiedział nieśmiało. To jest w tradycji rodzinnej. - Był ciekawy w jakich dokumentach znalazł to nazwisko profesor ale nie śmiał go o to pytać. Żałował potem, że nie zdobył się na taką śmiałość. Na tym rozmowa się skończyła. Profesor Wilk odszedł od okna. Pisał on historię Pułtuska i posiadał wiele starych dokumentów. Wspaniały towarzysz i wychowawca młodzieży pan Wesołowski, przemiła osobowość, prowadził wychowanie fizyczne, prowadził różnego rodzaju wycieczki. Ponadto grał dość dobrze na skrzypcach, występował na koncertach szkolnych. Sędziwa pani Rosnowska, założycielka seminarium. Było wielu innych mniej lub więcej popularnych z mniejszymi lub większymi dziwactwami, ale wszyscy, to dobrzy wychowawcy młodzieży na których można było się wzorować. Nie zapomniany nauczyciel muzyki i śpiewu pan Kopczyński, już mocno starszy pan, na swoich podopiecznych

spoglądał ponad górną krawędzią okularów i strofował za każdą sfałszowaną nutę. Mimo podeszłego wieku pracował bardzo czynnie, założył chór szkolny i małą orkiestrę symfoniczną. Piotrek grał w tej orkiestrze jako wiolonczelista. Wszelkie uroczystości łączyły się zawsze z występami orkiestry łącznie z chórem, nawet urządzano występy dla publiczności miasta w teatrze miejscowym. Czasem chór występował wspólnie z orkiestrą 13-ego pułku piechoty, który stacjonował w Pułtusku. Niezapomniany polonez As-dur Chopina zrobił wielkie wrażenie na Piotrku. Romantyk, upajał się tą melodią, przenosiła go w przestworza upajała jego wyobraźnię. Szkoła organizowała również przedstawienia teatralne. W jednym z takich przedstawień Piotrek grał rolę Cześnika w Zemście Fredry, był to jego debiut, pierwszy i ostatni. Pułtusk, stare miasto, tradycjami sięgał czasów pogańskich. Na cmentarzu Św. Krzyża, poza miastem odkopywano groby starosłowiańskie. Same miasto liczyło około 14.000 mieszkańców, w tym połowa, to żydzi. Miasto położone jakgdyby na dwuch poziomach. Na niższym, otoczonym odnogami Narwi, zwanych tu kanałami, mieściła się stara część miasta. Tu znajdował się zamek, parę razy niszczony przez litwinów, rozłożony nad samą rzeką. Kościół farny i kościół jezuicki wraz z gimnazjum tworzyły skupisko najstarszych budowli. Za kanałami terenu gwałtownie się wznosił tworząc wyski

prawy brzeg Narwi, na którym rozłożyła się nowsza część miasta. Na najwyższym miejscu tej części miasta rosjanie zbudowali cerkiew, oznaka władzy carskiej. Cerkiew ta dominowała nad całym miastem. Po odzyskaniu niepodległości została ona rozebrana, nie miała wyznawców. Miejsce to przeznaczono na park miejski. Ciekawostką tego miejsca były lochy podziemne, mówiono, że ciągnęły się kilometrami lecz nikt nie ustalił jakie miały przeznaczenie i kiedy je zbudowano. Samo miasto nie posiadało przemysłu. Było ośrodkiem handlowym dla okolicznej ludności i ośrodkiem szkolnym dla młodzieży. Miasto powiatowe od XV wieku. Po ostatnim napadzie litwinów i dzięki staraniom biskupów płockich miasto rozrastało się. Jezuici założyli gimnazjum słynące z wysokiego poziomu nauki. Zjeżdżali się tu uczniowie zagraniczni, tu kształcił się ks. Piotr Skarga. Po pierwszej wojnie światowej uruchomiono trzy szkoły średnie to jest: gimnazjum męskie, gimnazjum żeńskie i seminarium nauczycielskie. Młodzieży dużo, nadawała ona ton i charakter całemu miastu. Festyny, zawody sportowe, koncerty, przedstawienia teatralne, wszystko pod kątem potrzeb i rozrywek dla młodzieży. To wszystko stwarzało atmosferę radości życia. Atrakcję stanowiło, tak zwane corso. Każdej niedzieli po mszy uczniowskiej w kościele jezuickim, a była ona obowiązkowa

dla wszystkich uczniów; każdy starszy uczeń uważał za swój obowiązek przejść się po corsie aby zrobić przegląd dorodnych gimnazjalistek. Chodniki zatłoczone, grupki chłopców i dziewcząt spacerujące tam i z powrotem aż nadeszła pora obiadowa i corso pustoszało. Miało to jednak swój urok. W takiej to atmosferze wyrastał Piotrek i z czasem uznał to miasto za swój jakgdyby rodzinny ośrodek. To było jego miasto, tu spędził siedem lat swojego młodości, tak ważnego okresu kształtowania charakteru człowieka. Pięcioletnie seminarium nauczycielskie ukończone, uprawniało do świadectwa dojrzałości, oraz prawa nauczania w szkołach podstawowych. Głównym nastawieniem szkoły, związanie młodzieży ze wsią. Rok rocznie urządzano wycieczki w formie turystycznej, zwiedzano okolice, kwaterowano po wsiach. Na taką wycieczkę z zasady szli wszyscy nauczyciele, zdolni do pokonywania trudów fizycznych. Harcerstwo było popularną organizacją w szkołach, popierało ją nauczycielstwo i rodzice. Każda pogodna niedziela to wędrówka zastępów i drużyn, z charakterystycznymi laskami i chorągiewkami, po okolicy. Barwne zastępy rysowały się na tle zielonych łąk i lasów. Wieczorami ogniska i śpiewy. W seminarium nauczycielskim istniała 2-ga drużyna harcerska należąca do chorągwi warszawskiej. W roku 1924 odbył się pierwszy zlot harcerstwa

polskiego w Warszawie na Siekierkach. W tym czasie Piotrek pełnił funkcję drużynowego. Okazja do poznania szerszych kręgów braci harcerskiej, pomysłów urządzania obozów harcerskich, ognisk oraz poznania instruktorskiej kadry chorągwi. Przecież on sam zbliżał się już do tej kadry. W wolnych dniach zwiedzał Warszawę i jej zabytki. Fascynowały go muzea. W czasie zwiedzania muzeum narodowego, przy wejściu natknął się na gen. J. Hallera dowódcy tak zwanej armii błękitnej organizowanej na terenie Farncji. Znany również jako przyjaciel harcerstwa. Generał zatrzymał Piotrka pytaniem: - Jesteście druhu na zlocie? - Tak - odpowiedział Piotrek - jestem z drużyną z Pułtuska -. Podoba się wam obóz? - znowu zapytał generał. - Och tak, piękny, tyle harcerzy z całej Polski. - Generał odszedł na sale muzealne. Poruszał się dziarsko mimo, że posługiwał się laską i utykał. To spotkanie dało Piotrkowi satysfakcję, to człowiek o którym mówiło się w całej Polsce a podobiznę widziało się tylko na kartkach pocztowych. To był moment kiedy nasz harcerz zaczął myśleć o wojsku, zaczął bliżej się nim interesować, wojsko zaczął wiązać z tradycjami rodzinnymi. Chociaż do powzięcia decyzji, jeszcze było daleko. Poza normalnymi zajęciami szkolnymi, wolny czas poświęcał harcerstwu. Organizacja wycieczek szkolenia w tak zwanych sprawnościach harcerskich, to go absorbowało, ponadto sam zdobywał nowe sprawności.

aby uzyskać tytuł harcerza orlego. W czasie egzaminu na „pływaka" nastąpiło przykre zdarzenie. Mówiąc prosto topił się. Narew jest rzeką zdradliwą, prawy brzeg obfituje w wiry a wszystkie kąpiele letnie odbywały się na prawym brzegu. To też rok rocznie rzeka zabierała swoje ofiary. Egzamin pływania odbywał się na rzece. Dzień był chłodny, czekając na swoją kolejkę organizm znacznie się wyziębił. Pod koniec stómetrowego odcinka skierował się brzegu, W tym momencie poczuł się słabym z każdą chwilą tracił siły. Prąd rzeki odsuwał go na nurt. Stracił nadzieję dopłynięcia. Zniknął z powierzchni wody, za chwilę wyskoczył wołając - Nie mogę. Egzaminujący nauczyciel już był gotowy do ratunku. Zawołał z brzegu, - Płyń spokojnie - Te słowa dodały mu otuchi. Z wielkim wysiłkiem dopłynął do brzegu. Trochę napił się wody ale wszystko skończyło się na strachu. Był bardzo zmęczony. To pierwsze zetknięcie się z osobistą śmiercią, ale nie ostatnie, nie załamało go, wręcz odwrotnie zahartowało na niebezpieczeństwa, stał się tylko bardziej czujnym w momentach niebezpiecznych. W czasie jednych wakacji Chorągiew Warszawska, powołała go na obóz instruktorski. Wchodził w ścisłe grono kadry instruktorskiej harcerstwa. Obóz zorganizowano na suwalszczyźnie nad jeziorem Wigry. Do najbliższej osady kilka kilometrów. Tuż nad jeziorem krąg namiotów,

w środku reprezentacyjne ognisko, na skraju obozu kuchnia a dalej w lesie zaciszne miejsce ćwiczenia. Wszystkie czynności, poczynając od postawienia pierwszego namiotu, wykonywali uczestnicy. To też było programem szkolenia. Całe dnie, to szkolenie, wyrabianie zaradności, pogadanki, ćwiczenia a wieczorem ognisko, występy i śpiewy. Obozem kierował harcmistrz Lange. Podzieleni na zastępy pod kierownictwem doświadczonych instruktorów wychodzili na wycieczki, uprawiając różne gry harcerskie, to miało wyrabiać zaradność i orientację w obcym terenie. Na zakończenie obozu, wszyscy otrzymali nominacje na instruktorów, uprawnionych do prowadzenia drużyn harcerskich. W harcerstwie główny nacisk kładziono na patriotyczne i moralne wychowanie. Tak wychowania młodzież, bez reszty, spełniała nałożone na nią obowiązki. Po tym obozie harcerskim Piotrek miał ostatni rok szkoły i przygotował do egzaminu maturalnego. Nie poświęcał zbyt dużo czasu na przygotowanie się do egzaminu. Wojna całego okresu szkolnego przykładał się do nauki i wszystkie przedmioty miał opanowane dobrze. Egzamin maturalny przebiegł bez niespodzianek. Jeden moment ~~był~~ przerwała stał się zaskakujący dla niego. W tym miejscu trzeba zaznaczyć, że w późniejszym życiu miał wiele wypadków, gdzie wielokrotnie przerwaniem radował sobie życie. Ale wróćmy do

egzaminu. Przed wejściem na salę egzaminacyjną, zdawało mu się, że nie pamięta wzoru ~~na~~ z fizyki na równię pochyłą. Zajrzał do książki aby się upewnić. Po wejściu na salę, pierwsze pytanie, równia pochyła, oczywiście odpowiedział bezbłędnie. Wytworzyło to atmosferę, że dalsze pytania stanowiły już tylko formalność. Niektórzy z nauczycieli gratulowali mu za najlepsze wyniki w szkole. Piotrek dojrzał również i fizycznie. Nierzadko oglądał się za dziewczętami. Zarzucał sobie jednak, że nie ma szczęścia a czasem myślał, że jest nie udolny a faktycznie był nieśmiały. Zbliżenie się do którejś z koleżanek stanowiło mu duże trudności. Ponadto miał takie psie szczęście, jak mu się podobała, to natychmiast wychodziła zamąż albo stawała się narzeczoną. Fakt faktem ale przeważnie podobały mu się starsze od niego wiekiem i nie mógł sobie wytłumaczyć dlaczego, dla czego tak się składa. Zbliżanie się do dziewczyny poprzedzało cały szereg dyskretnych ceremonii, częsta rozmowa, wspólna nauka i wychodzenie na spacer który uważany był za zbliżenie. Mówiło się: oni ze sobą sympatyzują. Na ostatnim roku skupił swoją uwagę na jednej z koleżanek tej samej klasy, Konstancji Zgliczyńskiej popularnie nazywano ją Kocia. Stosunki wyglądały jakgdyby bezinteresowne ale oboje czuli zainteresowanie sobą i sympatię. Piotrek odwiedził nawet jej dom i poznał rodzinę

lecz oficjalnie nie złożył oświadczeń. Kontakt jednak utrzymywano listowny po zakończeniu szkoły. Piotrek kończąc szkołę, zdecydowanie postanowił się uczyć dalej. Ale co dalej? Żadnych środków materialnych nie posiadał aby wstąpić na wyższą uczelnię ani znajomości gdzie mógłby się zatrzymać. Jedyną możliwość dawało wojsko. Myśl ta zaczęła się konkretyzować, wiedział, że jest to osiągalne. Może zaważyła tradycja rodzinna, którą chciał podtrzymać a może pragnienie szerszej wiedzy. Złożył więc podanie o przyjęcie do szkoły podchorążych. Nie mając konkretnych zajęć w czasie ferii letnich, wyjechał na obóz przysposobienia wojskowego dla harcerzy. Obóz ten zlokalizowano w górach w miejscowości Terło nie daleko Chirowa. Był ta pierwsza wyprawa Piotrka w góry. Nie zachwycał się nowymi widokami. Wychowany na równinach mazowieckich, gdzie czuł wielką swobodę, góry go przytłaczały, zamykały mu ~~horyz~~ szeroki horyzont, przy tym skoki temperatur, powodowały przeziębienia na które był uczulony od czasu zapalenia płuc. W tym czasie otrzymał zawiadomienie ze Szkoły Podchorążych o terminie badań lekarskich. Wprost z obozu wyjechał do Warszawy aby stawić się na wyznaczony termin. Szkoła ta znana była ogólnie, ze względu na udział w zamachu majowym 1926 roku za co została wyrzucona z Warszawy do Ostrów Komorowa. Formalności przyjęć do szkoły odbywały się jeszcze w Warszawie. Piotrek wchodził do zabudowań szkolnych z pewnym namaszczeniem, pomny

na jej historię. Zapragnął brać udział w tych chwalebnych czynach i być podchorążym. Na sali przyjęty został przez sierżanta dyżurnego. Wskazał mu łóżko, przydzielił bieliznę pościelową i koce, ot tak zwykły rygor wojskowy. Zjeżdżali się również inni kandydaci. Piotrek wyróżniał się ubiorem harcerskim. Sierżant zainteresował się jego osobą, wypytywał gdzie był na obozie, na to wskazywał posiadany rynsztunek, jakie warunki tam istniały, interesował się okolicami. Wyglądał na wzorowego żołnierza, wysoki lekko pochylony, głos mocny stanowczy ale w zachowaniu taktowny. Nazywał się Iwanowski. Na drugi dzień komisja lekarska. Po zbadaniu lekarskiem - decyzja. Nie nadaje się do szkoły. Nie przyjęty. Na karcie notatka - płuca. W tym momencie uprzytomnił sobie, że wszystko stracone, głowa stała się ciężka, nie był zdolny do myślenia. Cały jego plan zawalił się w tym momencie. Tak przygnębiony powrócił na salę. Sierżant Iwanowski natychmiast spostrzegł, że zaistniały kłopoty. Podszedł do Piotrka i zapytał - No i co? - Nie przyjęty - odpowiedział krótko. - Nie wszystko stracone - zaczął sierżant - Radzę panu zgłosić się do majora Winiarskiego, to nowy dyrektor nauk, poprosić go o przyjęcie, on to może załatwić. - Ależ ja go nie znam - mówił zamyślony Piotrek. Sierżant podprowadził go do okna i wskazał oficera przechodzącego przez dziedziniec szkoły. Piotrek jak w hipnozie, wybiegł na dziedziniec

chwilę jeszcze czekał na majora. Układał sobie plan jak argumentować, może odwołać się na tradycje powstańcze, nie, ja muszę sam zarobić na swoje zasługi, nie mogę wykorzystywać przeszłości moich przodków - myślał. W tym momencie nadszedł major, wyczuł z zachowania się kandydata jego zaambarasowanie. - Z czym do mnie przychodzicie? zapytał spokojnie. Ten spokój dodał Piotrkowi odwagi, lecz zacinał się jakby w gardle coś ugrzęzło. Wreszcie zaczął mówić jakby wszystko naraz chciał wyłożyć przed tym człowiekiem. - Panie majorze zostałem odrzucony przez komisję lekarską, jakieś usterki w płucach, ale ja byłem na obozie i przeziębiłem się, może to coś, ale ja chciałbym wstąpić do szkoły Podchorążych - Major chwilę myślał, patrzył w ziemię, jakby ważył prawdziwość słów, zapytał ~~jak~~ z tym samym spokojem - Jak się nazywacie? - Piotrek podał nazwisko. - Proszę jutro zgłosić się powtórnie na komisję - odszedł. Od tej chwili Piotrek odczuł wielką wdzięczność dla tego człowieka i zawsze kultywował tę wdzięczność. Wrócił na salę. Sierżant, już przy drzwiach, czekał na niego. - No i co? - zagadnął. - Jutro na komisję powtórnie - odpowiedział Piotrek - To dobrze - rzekł sierżant i uśmiechnął się, klepnął chłopca po ramieniu, rozjaśnił twarz ku zadowoleniu, że komuś nieznanemu uczynił dobrą przysługę. W następnym dniu ponownie komisja lekarska. Lekarz wziął kartę do ręki i mruknął, - To wy -, mówił charakterystycznie przez nos, przekreślił wczorajszą decyzję i bez dodatków napiła - przyjęty. Piotrek na salę wrócił radosny, nie wokół siebie nie widział ale sierżant podszedł natychmiast, objął go,

podprowadził do łóżka i rzekł — Niech pat teraz odpocznie, zaraz będzie obiad. — i odszedł. Jak się później przekonał, był to najlepszy instruktor broni maszynowej a Piotrek najlepszym jego uczniem, czasem nawet faworyzował go.

Ze względu na przeniesienie szkoły do Ostrów Komorowa początek zajęć przesunięto o miesiąc później to jest na pierwszy październik, a więc jeden miesiąc dodatkowych wakacji. Nasz kandydat na podchorążego namyślał się, co z tym czasem zrobić jak go wykorzystać. W końcu zdecydował się udać do Gródka. Analizował: zamieszkam u stryja a babka niezawodna opiekunka może będzie mogła mnie wyżywić. Może to ostatnia okazja zobaczenia miejsc ~~starych~~ dawnych przeżyć. Zarzucił plecak i najbliższym pociągiem udał się do Wyszkowa a stąd pieszo na przełaj przez całą Puszczę Białą szedł do wyznaczonego celu. Las pachniał żywicą, igliwie szeleściło pod stopami. Kochał te lasy. Kiedy osiągnął pola wiejskie, patrzył na te pola rżysk i zasianych łanów nowego zboża. Nasunęły się ponownie wspomnienia dziecinnych lat i żal za tym co przeminęło. Zamieszkał tak jak planował. W wędrówkach po okolicy nie ustawał, czasem rozpalał ognisko na polu dla upieczenia kartofli, których smak przypominał dzieciństwo. Tak dobrych kartofli nigdzie nie spotkał, ta piaszczysta ziemia nadawała im wspaniały aromat. Czasem siadał na wzgórku za drogą, przy miejscu dawnego domu rodzinnego, czasem błądził po tym wzgórku szukając śladów dawnego grodziska. Podnosił ułamki stopionego kolorego szkła, ważył

je na dłoni, jakby chciał odczytać ich przeszłość. Chciał ją utrwalić opisać a może stworzyć powieść na ten temat. Znał literaturę historyczną. Sam próbował pisać dla czasopism szkolnych, nawet pisywał wiersze. Siadł i zaczął snuć w myśli tę powieść, tragedię jaka się odbyła w ostatnich dniach istnienia tego obronnego grodu. - Był rok 1368. - Dwuch jeźdźców przedzierało się przez puszczę, ~~z północy~~ ze wschodu na zachód. Konie niskie, krępe, dobrze utrzymane. Na nich mężczyźni ubrani w kurtki skórzane, na głowach czapki futrzane ściśle dolegające do głowy, spodnie z sukna. Na nogach łapcie z łyka, podszyte grubszą skórą gładką przymocowane rzemieniami do nóg. Na koniach derki przypasane rzemieniami. Na przodzie na wysokości łopatek koni dwie torby wypchane żywnością i obrokiem dla koni. Na plecach jeźdźców łuki i kołczany ze strzałami, za pasami kordelasy a w ręku dzidy i wodze do kierowania końmi. Wodze puszczone luzem, mało używane, konie szły kierowane stopami. Konie szły raźno, między drzewami posuwały się jak po utartej drodze, tylko na otwartej przestrzeni, podbiegały truchtem. Widać było, że jeźdźcy się śpieszyli. Nie interesowała ich zwierzyna leśna a podnoszące się tu i ówdzie sarny i dziki uchodziły bezkarnie. Od czasu do czasu konie jakby starały się zatrzymać, głośno parskając, to jakiś wilk znalazł się w ich bliskości. W tym okresie jednak nie były one groźne. Głośne hukanie wystraszało intruzów a konie szły dalej.

-Tato! - zawołał młodszy jeździec, - czy trafimy do Gródka? - Zaniepokojony trochę nową okolicą chciał dodać sobie odwagi, nawiązując rozmowę. To jego pierwsza wyprawa w tak dalekie okolice.
- Trafimy, - odpowiedział ojciec. - Patrz po prawej stronie zawsze mamy bagna, byłem tu już nieraz, trzymając się tych bagien, dojedziemy wprost do Gródka. Powinniśmy niedługo dojechać do rzęsawisk. O! popatrz tam w górze kręcą się kaczki, to już rzęsawiska. Powinniśmy teraz spotkać węglarzy, już nawet czuć zapach dymu. - Puszcza bieliła się dołem, kora brzóz błyszczała w słońcu, na górze zielony parasol. Gdzie niegdzie przebijała się sosna. Na dole gęste podszycie, niewielkie polany i różnej wielkości bajorka, opanowane przez ptactwo wodne i żaby. Las brzmiał pieśnią ptactwa. Puszcza była matecznikiem wszelkiego rodzaju zwierzyny. Rządziła się swoim własnym prawem. Młody jeździec gwizdnął parę razy, naśladując głos ptaków. Natychmiast otrzymał odpowiedź, głosy odpowiedzi rozeszły się najbliższym otoczeniu a potem dalej w głąb puszczy. Chłopiec poczuł się pewniej, rozejrzał się po drzewach, wciągnął świeże pachnące powietrze. On żył puszczą, w niej się wychował. Teraz wjechali w wysoki las sosnowy. Wokół barcie, górą grały swim brzękiem roje pszczół. Czuć było zapach miodu, prze który przebijał zapach żywicy. Las prześwitywał, dojechali do jego krawędzi. Konie zmęczone trzeba dać im odpocząć. To już blisko cel naszej

podróży - zawyrokował starszy. Stanęli na krawędzi lasu, przed nimi pola, dalej na horyzoncie, nie wyraźnie rysujące się zabudowania. Człowiek puszczy, zawsze ostrożny. Zsiedli z koni wyszli na sam kraj i patrzyli w kierunku zabudowań, przeszukując wzrokiem całą tę otwartą przestrzeń. - Popatrz - rzekł starszy - to Gródek widzisz te dymy unoszące się spokojnie, przygotowują wieczerzę. Widzisz tę wieżę, tam zawsze czuwa strażnik, zda mi się, że go widzę. Widzisz jak zapędzają bydło za ostrokół. Musisz zawsze pamiętać, że cel do którego zdążasz, zawsze należy rozpoznać aby stwierdzyć czy jest bezpieczny i droga do niego również bezpieczna. To jest nasz obowiązek, to jest obowiązek człowieka puszczy. Z naszych obserwacji widać, że ludzie tam żyją w spokoju i możemy się do nich udać. Jedziemy. - Dosiedli koni i wyjechali na pola. Niewiele jechali gdy dał się słyszeć ród ze strażnicy. To strażnik dawał sygnał mieszkańcom osady, że ktoś obcy zbliża się do gródka. W osadach takich zawsze ktoś czuwał zimą i latem aby uniknąć zaskoczenia. Teraz jechali już spokojnie. Wokół łany ~~żyta~~ zboża, przeważało żyto ale był również jęczmień, owies, małe łany gryki i prosa, dużo lnu. Len zaspakajał istotne potrzeby na tkaniny. Bielizna, letnie okrycia, worki, powrozy i nici do codziennego użytku. Ponadto olej do spożycia i wytłoki na karmę trzody. Zbliżyli się blisko do osady. Kamienna bryła wieży dominowała nad innymi zabudowaniami. Wieża na szczycie zamknięta drewnianym dachem pokrytym gontem. Dach

wsparty na drewnianych belkach, tworzył ganek, dogodne miejsce obserwacyjne dla strażnika. W środkowej części wieży wąskie okna, niby strzelnica stanowiska dla łuczników, lub rażenia kamieniem czy wrzątkiem. Od wieży odchodziły dwa skrzydła wybudowane z drzewa, jedno na północ drugie na południe. Ta część budynków sięgała do połowy wieży. Zabudowania te zdala, wyglądały jak wielki ptak z rozpostartymi skrzydłami zrywający się do lotu. Od wschodniej strony zabudowania niżej położone, to budynki gospodarskie. Od zachodniej zaś na lekkim skłonie ogród dzikich grusz na suszone ulęgałki spożywane w okresie zimy. Za ogrodem fosa łącząca dwa bagniska. Takie usytuowanie osady było celowe. Przeważnie wiejące wiatry zachodnie spędzały zapachy gumna a przede wszystkim garbarni. Całość zabudowań otoczona ostrokołem z pali dębowych łączonych belkami. Od środka ostrokołu wypust niby ganek służący na stanowisko dla łuczników. Ostrokół na wysokość dwuch chłopów służy nie tylko dla obrony ale chronił również zwierzynę domową od wilczych napadów. Dwie bramy w ostrokole pozwalały wejść na dziedziniec. Wschodnia wyprowadzała na pola, zachodnia zaś to droga wyjazdowa na Pułtusk. Do tej pierwszej zbliżyli się nasi podróżni. Nie musieli wołać, bramę już otwarto. Z wieży wołał strażnik - Janie witajcie poznał go. Przybywał on tu od czasu do czasu i był szanowany. Naprzeciw szedł gospodarz zarządca gródka. Wzrost średni, silnie zbudowany

Włosy i broda ciemne lekko falowane, ubrany i spodnie z płótna lnianego. Na nogach chodaki takie jak wszyscy nosili w tych okolicach. Szedł energicznym krokiem. Wydawało się, że pod koszulą jego mięśnie pracują harmonijnie, tworząc piękną sylwetkę. Już z samych ruchów można ocenić, że jest on przewódcą i o wszystkim decyduje. Obok niego dwa nieodstępne psy. Znali się od dawna. Wiele już razy nasz starszy przybysz odwiedzał gródek aby wymienić skóry na sól przedmioty żelazne potrzebne do strzał i dzid, noże i gwoździe. - Jaksiemasz Janie, witaj - zawołał zarządca. - Mało tobołków przywiozłeś ze sobą, To chyba syn. Co cię sprowadza? - Łado saraceny, litwa wali gromadami - odrzekł Jan. Zapanowało milczenie. Pogodna twarz zarządcy ściągnęła się w ostre rysy. Wydawało się, że w ciągu tej jednej chwili postarzał się, jakby jakiś ciężar przyjął na swe barki, jakiś smutek okrył jego twarz. - Chodźmy do środka, chłopcy zaopiekujcie się końmi. - Rzuci Łada. Objął przybysza i tak szli do wejścia w wieży, milczeli. Oddech zarządcy stał się tylko głęboki, myślał. To już drugi najazd litwinów na Pułtusk za czasów jego życia. Poprzedni w 1338 r. wtedy był młodzieńcem miał 20 lat. Wtedy opędzał się litwinom od Czerwonych Bagien. Trochę szkody zrobił ich zwiadom. Wówczas prowadził spław dębów z Puszczy Białowiejskiej. Pierwszy zawiadomił ojców w Pułtusku o nadchodzącym niebezpieczeństwie. Bił się z nimi, tylko ślady na ciele znaczyły te starcia. Szczęśliwie

przeżył pożogę. Znał sposoby walki litwinów, szlaki którymi zwykli się posuwać i szybkość ich wypraw i skutki jakie po sobie zostawiali. - Stara historia - rzekł - od tylu lat litwini nas nękają, również Jadźwingowie, teraz zaprzestali wyniszczeni przez krzyżaków. Kiedy to się skończy. Przecież kraj nie może się spokojnie rozwijać, gdyż trzeba go wciąż odbudowywać. - Weszli do izby gościnnej. Obszerny stół na środku a wokół ławy. W rogu izby piec osłonięty okapem. Tu gotowały się potrawy na wieczerzę. Zapach rozchodził się wokół izby, wypełzał na dziedziniec przez otwory okienne. Podróżni poczuli się głodni. Wokół ścian stały kołowrotki, narzędzia pracy kobiet nie rzucały się w oczy, panował tu półmrok. Gospodarz skinął na kobiety aby podały posiłek. - Powiedźcie mi Janie, gdzie i kiedy widziano saracenów? - zagadnął gospodarz. Jan chwilę się namyślał, liczył w pamięci dni i odpowiedział. - Było to trzy dni temu, to jest w niedzielę. Zauważono ich na Czerwonych Bagnach. Taką wiadomość przywieźli z Grodziska. Wyprawą przewodzi Kiejstut, jest ich siła - Łada myślał głośno, twarz jego skupiona, tak jakby liczył za ile dni mogą być tutaj. - Tak, idą od Grodna, osłonięci przez Narew i Puszczę Kurpiowską aby krzyżacy ich nie niepokoili. Narew przekroczą ~~gdzie Omulew do niej wpada, przej~~ koło Supraśli, znał wszystkie dopływy Narwi, ciągnął dalej. - Litwini wykorzystają tratwy do podwożenia ludzi. Kiejstut będzie się śpieszył. Pułtusk jest łakomą gratką.

Miasto rozwinięte, odbudowane po ostatniej wyprawie, no i zamożne. Kiedy tam mogę dotrzeć. Myślał dłuższą chwilę. Wymieniał nazwy rzek dopływów, stawiał kreski nożem na stole, w końcu liczył kreski - Tak, pod Pułtuskiem będę w piątek a może w sobotę. - powiedział. - Wołaj Rogala - krzyknął na izbę. Po chwili zjawił się młody chłopak, dość wysoki, szczupły, oczy bystre, zdradzały szybką orientację. Łada przywołał młodzieńca bliżej i patrząc mu w oczy mówił. - Weźmiesz dwa konie i chłopca, pojedziesz na kanię, natychmiast. Powiesz kanonikowi osobiście, że ja cię przysyłam. Powiesz, że litwini od Grodna ciągną na Pułtusk, pod dowództwem Kiejstuta, jest ich chmara, w niedzielę byli na Czerwonych Błotach, w piątek będą pod Pułtuskiem. W tamtą stronę nie zatrzymuj się nigdzie. Na przewozie będziesz o dużym zmroku i możesz mieć trudności i nie zechcą cię przewieźć, powiesz że jesteś posłem ode mnie i wieziesz ważną wiadomość, muszą cię przewieźć, zresztą możesz powiedzieć o co chodzi, przewoźnik mnie zna dobrze. Konie i chłopca zostawisz przy przewozie po tej stronie Narwi. Tam przenocujesz. Jutro rano wrócisz. W drodze powrotnej zawiadom psiarzy, aby mieli się na baczności, jak również proboszcza w Obrytem aby natychmiast przyjechał do nas. Powtórz - Chłopak bez zająknięcia powtórzył całą treść. - Teraz się śpiesz - rzucił Łada. - A co z rodziną? zwrócił się Łada do gościa. - Ze starszyzną wysłałem nad Bug. do znajomych. Pojadę jeszcze do domu żeby zobaczyć co się tam dzieje, jak będzie źle dołączy do reszty nad Bugiem.

W tym momencie Łada zamyślił się. Jakaś myśl zaczęła go nurtować, rodziły się pomysły. Może skorzystać z tego przykładu, mam przecież również znajomych nad Bugiem, tu może być gorąco, Litwini przy oblężeniu Pułtuska, zechcą korzystać z mięsa puszczy, mogą tu dotrzeć. Rozmowa toczyła się wokół spraw rodzinnych. Podano dzbany z miodem pitnym i kubki dla starszych. Rozpoczęto przygotowanie do kolacji. Posiłki spożywano tu wspólnie. Zaczęli się schodzić do izby polowi, leśnicy i ludzie z rzemiosła, siadali wokół stołu, słuchali w skupieniu opowiadań starszych. Rozmowa toczyła się wokół napadów litewskich. – Pomyśleć tu Janie – zaczął Łada – przecież to poganie. Zawojowali Ruś a teraz mają z nimi niemałe kłopoty, napadają na Mazowsze, z krzyżakami mają się na pieńku i musieli opuścić niektóre kraje. Krzyżowcy zagrażają im tak jak i nam a oni jeszcze napadają na nas. Przecież to mały naród a wrogi zewsząd, nie dadzą rady. Powinni z Polską się pogodzić, ale te ambicje bojarów, książąt, królów, stają na przeszkodzie. Może znajdą się mądrzy ludzie tam u góry. W Krakowie są zacni ludzie to może coś pomogą. Stary Jan tak daleko swoimi wiadomościami nie sięgał, toteż słuchał z ciekawością i przytakiwał głową. Czasem tylko stawiał pytanie jeżeli czegoś nie rozumiał. Rozmowa się kończyła, zaczęto podawać do stołu. Znoszono misy z kluskami, omaszczone słoniną ze skwarkami, dzbanki mleka do popijania, mięsiwo. Zastawiono kubki i rozłożono drewniane łyżki. Przed rozpoczęciem posiłku, Łada wstał odmówił modlitwę i pobłogosławił dary. Teraz dopiero rozpoczęto jeść. Po kolacji młodzi udali się na obrzędek wieczorny

a kobiety z koło wrotkami i wrzecionami skupiły się wokół ogniska i palących się pochodni. To był normalny porządek dnia roboczego. W niedziele rozbrzmiewały śpiewy, czasem bawiono się grami a czasem tańczono przy grze na fujarce. Kiedy zapadła noc wszyscy udali się na spoczynek. Łada nie mógł spać tej nocy. Jeszcze przed udaniem się na spoczyk, wydał dyspozycje na drugi dzień. Były one krótkie. Jutro piec chleb i wędzić mięso wszystko na dwa tygodnie. Po wydaniu zarządzeń rzucił się na swe posłanie. Chciał zasnąć ale myśli krążyły wciąż wokół wypadków, układał sobie plan na dzień jutrzejszy. Starał się wszystko przewidzieć, starał się ułożyć swoje decyzje. Cisnęły się różne pomysły, ale przede wszystkim skupił się wokół obrony bródka. Liczył swoje siły, oceniał każdego możliwego obrońcę, ~~jakim dysponowała załoga~~. Oceniał broń jaką dysponowała załoga. Właściwie miał wszystko, broń, żywność, tylko mało obrońców. Trzeba ściągnąć leśnych i bartników, ale to wszystko mało. Ponadto są tu ludzie nie zdolni do walki, prawie surowi. Potrafią dać sobie radę ze zwierzyną i pszczołami, tu uśmiechnął się, ale stanąć wobec innego wojownika, to nie jest łatwa sprawa. Przecież ja również tak rozpoczynałem, prawdę mówiąc, nic nie umiałem a jednak szybko się nauczyłem, lecz oni to przejdą, nie wiedział. Kobiety i dzieci trzeba odesłać głęboko w puszczę, nad Bug w bezpieczne miejsce. Dla nich tu byłoby niebezpiecznie a ponadto stanowiłby tylko przeszkodę. Z tą decyzją, zasnął nad ranem. O świcie przywoł leśnych i nakazał baczenie na drogę do Obrytego. Rozebranie mostu na grobli zastrzegł swojej decyzji.

Żegnał przybyłych gości. Uścisnął Jana i jego syna zwracając się do nich: - Nie dajcie się zaskoczyć, a pamiętajcie uważać na zwierzynę, ona pierwsza sygnalizuje pojawienie się obcego w puszczy. - Żada stał jeszcze chwilę patrząc za oddalającemi się gośćmi. Powrócił myślą do swojego planu ułożonego w ciągu nocy. Rozpoczął od kontroli ostrokołu. Sprawdzał każdy słup, każde wiązanie. Przy wrotach przemyślał ich wzmocnienie. Obszedł ostrokół od zewnątrz i nakazał wyciąć wszystkie pobliskie krzewy, które mogły dać możliwość skrytego podejścia do ostrokołu. Wszedł do baszty i na pierwszym piętrze przejrzał cały swój arsenał broni. Było tu wszystko czego używano do walki i polowań. Liczył czy broni starczy dla wszystkich, ale on zabiegał o tę broń i mógł uzbroić dwie takie załogi. Pełno tu łuków i strzał, kusz, kordelasów, dzid, pawęzów a nawet arkany. Myślał o tych którzy broń tę mogą użyć. Nie wielu się doliczył, może będzie trzydziestu razem z leśnymi, to niewiele jak na tak obszerny ostrokół, lecz to wszystko zależy od ilości wrogów. Można się liczyć z małą grupą ale może ściągnąć również większa. Napewno litwini będą chodzić za mięsem dla wojsk oblegających Pułtusk, tak czynili w poprzednich wyprawach. Czy zapuszczą się aż tutaj, trudno powiedzieć ale trzeba się z tym liczyć. Zdolnych do walki i władania bronią trzeba przeciwczyć, to też zaraz nakazał zwołać całą młodzież i przeprowadzał naukę władania bronią. Przywołał starego stelmacha i wydał polecenie: - Słuchajcie Deptuła. Przygotujcie juki i wszelki sprzężaj, zapakować odzież a żywność na trzy dni.

Wszystko przygotować tak aby każdej chwili można było wyruszyć w drogę. Zabierzecie ze sobą starszych, kobiety i dzieci. Udacie się do garncarzy pod Wyszków, to moi znajomi, drogę znacie, tam pozostaniecie tak długo, dokąd was nie zawiadomię. Ruszajcie i śpieszcie się. Już minęło południe kiedy Rogal powrócił z Pułtuska. Zdawał relację z powierzonego zadania. Mówił: - Już przed naszym odjazdem z kanonii, napłynęły wiadomości z prawego brzegu Narwi, że litwini posuwają się w stronę miasta. Natychmiast przystąpiono do organizowania obrony. Część ludzi przygotowywała się na wyjście w stronę Płocka. Kanonik powiedział że święte monstrancje i księgi odeśle do Gródka. Po drodze zawiadomiłem psiarzy i plebana w Obrytem aby mieli się na baczności. Psiarzy pouczyłem aby nas o wszystkim zawiadamiali. Ksiądz pleban nie był skory do decyzji a w końcu powiedział, że kościoła nie opuści, chociaż przyszłoby zginąć, kielichy święte prześle na przechowanie, wraz z kościelnymi. Na dziedzińcu zbierali się przyszli obrońcy. Wszystko ludzie młodzi, krępi, silnie zbudowani. Wychowani w trudnych i twardych warunkach puszczy, ale reagujących szybko nawet na każdy jej szelest. Wyglądali jak młode niedźwiedzie, których ruchy wyglądają na niezdarne, lecz to tylko pozorne, reakcje ich są tak szybkie, że najbardziej zwinne stworzenie nie jest zdolne im umknąć. Teraz Łada objaśnił czego się mają spodziewać. Każdego oglądał i wydawał broń odpowiednią do budowy i umiejętności. Ustawiał kukły ze słomy w kształcie człowieka, za kukłą wojak z długim drążkiem, mając za zadanie utrudniać władanie dzidą atakującemu kukłę. To znów różne pchnięcia

i odbijania dzidy. Po tych wstępnych ćwiczeniach, stawali parami i pozorowali walkę. Główny ciężar w tych ćwiczeniach, kładziono na odbijanie i blokowanie dzidy. Strzelania z łuków i kusz nie trzeba było ćwiczyć, to chleb codzienny tych ludzi. Po miecze i paweze, sięgali tylko niektórzy, tu sam Łada używał tej broni i sam dawał wskazówki. Tak ćwiczono do wieczora. Kobiety zaś przygotowywały się do wyjazdu. Troczono juki, ładowano wózki, niezbędnym sprzętem potrzebnym w podróży i na czas pobytu w nowym miejscu. Wybierano co przedniejsze okrycia. Wszystkie te czynności odbywały się w spokoju, tak jakby nic nie groziło. Taki sam przebieg miał dzień następny. Wieczorem przybył posłaniec z kanonii, z wiadomością, że litwini są pod Pułtuskiem, to znaczy w jego bliskości. Również zapowiedziano ilu ojców przybędzie do Gródka, aby przetrwać okres napadu na miasto. Łada rozpatrzył te wiadomości, przywołał najstarszego syna i rzekł: - Jędrek, jutro z rana weźmiesz najlepszych pięciu łuczników, udasz się na groblę z kapliczką, po przejeździe duchownych z Pułtuska rozbierzesz most. Tam będziecie czuwać. Litwini dowiedzą się w mieście, że grupa wozów i juków odeszła w puszczę i będą ich szukać i ścigać a nie wielką sztuką będzie dla nich, pójść po śladach, te przyprowadzą ich do nas. Na moście zostaniecie aż do czasu nadejścia litwinów. Nie wolno mierzyć się z nimi w walce wręcz, lecz z dobrego ukrycia szyć strzałami. Kiedy saraceny będą przekraczać bagno, przenieście się na następne pasmo i powtórzcie to samo. -

Jędrek ~~tkinął~~ głową że wszystko rozumie i odszedł kompletować załogę. Przenieśmy się na chwilę w miejsce, gdzie był most, groble i kapliczka. W tym czasie przyległe łąki wokół grobli pokrywała woda po obfitych opadach, tworząc pasma trzęsawisk, a przebycie można było tylko po groblach. Trzy takie pasma trzęsawisk utrudniały dostęp do zabudowań obronnych, wiosną zaś stanowiły przeszkodę nie do przebycia. Po obydwóch stronach mostu na groblach, teren się podnosił i dawał dogodne warunki obserwacji. Jędrek po przybyciu na miejsce ze swą grupą, ubezpieczył się od obrytego i czekał na dalsze wypadki. Pod wieczór nadjechały wozy z kapralem. Od przybyłych dowiedział się o postępach Litwinów, jak również to, że prowidyńczycy, napastnicy podążają za ekwipażem. Dowiedział się również, że plebana z obrytem pozostał przy kościele. Wozy odeszły do gródka. Przystąpiono do rozbiórki mostu, pozostawiając tylko jedną belkę dla przejścia własnych ubezpieczeń. Jędrek chciał jak najlepiej wykonać swoją misję, co go kreowało na przewodnicę. Wyznaczył ukryte miejsca dla tuzinków, objaśnił kiedy i jak mają się wycofać na następne bagno. Zwierzchy się zbliżał. W tem usłyszał gwizd wysuniętej czujki, który obey na drodze, podszedł do strażnika. Już z niedużej odległości ujrzeli człowieka z psem, śpiesznie zdążającym do przejścia. To pewnie ktoś z piarów pomyślał i dopuścił go blisko. Pies zasygnalizował szczekiem, że przedmiot jest obcy. Przybysz zatrzymał się przywołał psa i krzyknął. - Kto przede mną? - Jędrek odkrzyknął: - A odkąd przybywasz? - Jestem psiarem i uciekam

przed saracenami - odrzekł. - Chodź to swoi - odpowiedział Jędrek. Teraz nastąpiły pytania i odpowiedzi. Przybysz opowiadał swoje ostatnie przeżycia. - Od psiarów do Obrytego szli mi po piętach, ledwie nadążałem ~~z nikcé~~ im umknąć. Przy kościele zatrzymali się. Wywlekli plebana. Trzymał on krzyż w ręku, widziałem jak go bili, upadł na ziemię. To straszny naród te dranie. Dalej już nie czekałem, starałem się umknąć. Jędrek zastanawiał się chwilę, zapewne zanocują przy kościele a jutro z rana ruszą. Przeszli na swoją stronę bagna do grupy obrońców. Przygotowali się do spoczynku, ognisk palić nie wolno. Nad Obrytem dojrzeli łunę, palił się kościół i plebania. Stali, patrzyli na łunę, myśleli o zbrodni popełnianej przez wrogów. Noc przebiegła spokojnie. O świcie strażnik ponownie gwizdnął. W samym tonie gwizdu można było wyczuć niebezpieczeństwo. Strażnik szybko zbliżył się do mostu, przekroczył go, usunięto pozostawioną belkę. Już idą myślał Jędrek - Teraz zająć stanowiska - nakazał. Nawet się nie spostrzegł, że w tym momencie stał się dowódcą tej małej grupy i odpowiada za ich życie, że stał się dojrzałym i samodzielnym mężem. Rzucił jeszcze okiem w stronę mostu, czy zasadzka jest dobrze ukryta. Odszedł na swoje miejsce. Czekali. Wydawało się że czekanie wlecze się w nieskończoność, niektórym drżały szczęki, inni dla upewnienia się, próbowali cięciwy i drzewca łuków, czy aby są w dobrym stanie i nie zawiodą w decydującym momencie, to ich pierwsza prawdziwa bitwa.

Każdy z nich miał swoje własne przeżycia momentu spotkania się z wrogiem. Dreszcz przechodził przez ciało. Pierwszy raz będą zabijać ludzi. Nigdy tego nie robili, czy ręka i oko będą tak sprawne jak przy zabijaniu zwierzyny. Kurczyli i rozprężali dłonie, aby zabić czas oczekiwania. Na małym wzniesieniu po przeciwległej stronie mostu, ukazali się ludzie. Szli raźno, rozprawiali głośno, od czasu do czasu wybuchali śmiechem. Na czole tej grupy ludzi, wysunięci do przodu kilku ludzi. Zbliżyli się do zerwanego mostu. Jakieś nie zrozumiałe przekleństwa pod adresem sprawców tej przeszkody, czekali na przybycie reszty. Odległość między wrogiem a obrońcami nieduża, strzał z łuku pewny. Nieprzyjaciel nie starał się nawet ukrywać i zachować ostrożności cechowała ~~go~~ ich nawet arogancja. Ukryci obrońcy ~~czekali~~ baczyli na Jędrka i jego sygnał, trzymając strzały na cięciwach, skinął ręką. Sześć strzał świsnęło w stronę wroga, sześć ciał zwaliło się na ziemię, okrzyki bólu, zamieszanie wśród pozostałych, niektórzy uskoczyli za drzewa. Natychmiast świsnęło następnych sześć strzał i znowu paręciał zwaliło się na ziemię, reszta w popłochu uciekła na bezpieczną odległość. Dowódca litwinów ustawił swoich łuczników na przeciw mostu, część skierował do brodzenia przez zakrzewione bagno, a część zbliżała się do naprawy mostu. Teraz strzały łuków szły z obydwóch stron. Litwini mieli utrudnione zadanie, rzucali strzały do ukrytych celów. Ci zaś którzy brodzili przez bagno wśród szuwarów

zanurzeni po szyję zbliżali się do naszych obrońców. Jeden z brodzących wrogów zauważony przez Jędrka na odległość kilkunastu kroków dostał strzałę w głowę. Jakby pchnięty w dół, nie wydał nawet okrzyku, tylko bąble powietrza wskazywały miejsce jego ciała. Teraz należało się wycofać na następne pasmo bagien. Dalsze posuwanie się wroga stało się ostrożniejsze ale i oni potrafili obracać się w dzikim i trudnym terenie. Straty mieli mniejsze a niżeli na pierwszej przeprawie. Ta skryta polegająca tylko walka na sprycie z obu stron, trwała aż do bram ostrokołu. W gródku już dobę przedtem wyprawiono kobiety i dzieci w drogę nad Bug. Załoga zdwoiła czujność, wszyscy zajęli swoje stanowiska, czekając na wiadomości od ubezpieczenia. Gdy Jędrek zbliżył się do ostrokołu ze swoimi łucznikami, uchylono wrota i cała grupa wśliznęła się do środka warowni. Łada stał przy wejściu, objął syna i pytał o przebieg walki. — Siła ich jest? — pytał — ilu ich ubyło? Wszyscy jesteście? — Nie ponieśliśmy szranku, — odparł syn. — Ale saracenów jest powyżej setki, kilkunastu wyprawiliśmy na tamten świat. Wiesz ojcze, z początku myślałem, że nie będę mógł zabijać ludzi, ale cóż na człowieka poluje się tak samo jak na zwierzynę z tym tylko, że zwierzyna ma rogi i kły a człowiek strzały i dzidy i jest więcej przemyślny a od jego sprytu i sprawności zależy zwycięstwo. Noc przebiegła spokojnie. Na zewnątrz ostrokołu snuły się cienie. Puszcza szeptała swoje nocne modlitwy, nie czując na ludzkie konflikty. Zwierzyna tylko i ptactwo wydawało się być niespokojne zjawieniem się intruzów. Krzykiem dawało znać o ich obecności.

koło południa litwini rozpoczęli szturm. Widać liczyli na łatwe zwycięstwo, bo dość beztrosko z okrzykami zbliżali się do ostrokołu w trzech miejscach, niosąc ze sobą drabiny. Pierwsze strzały z za ostrokołu ostudziły ich animusz, lecz przynaglani przez swoich przewódców, rzucili drabiny na ostrokół i zaczęli się wspinać. Czynili to sprawnie i szybko. Obrońcy ledwie nadążali skupiać się w miejscach największego zagrożenia. Poszły w ruch dzidy i kordelasy. Tylko Łada przebiegał z miejsca na miejsce aby dać pomoc najbardziej zagrożonym. Przy nim dwa psy myśliwskie, nieodstępne towarzysze polowań, w wielu wypadkach ratowały go z opresji a nawet uratowały go od śmierci. Obydwa silne i posłuszne. Znały każdy ruch pana i wykonywały rozkaz niezawodnie. Jednego nazywano Łatek a drugiego Burek. Chyba dlatego, że jeden miał białą łatkę na czole a drugi zupełnie bury. Obrońcy walczyli bez okrzyków. Od czasu do czasu ostry wydech świadczył o zadawanym ciosie a po drugiej stronie rozdzierał się okrzyk bulu. Walka przeciągała się do popołudnia. Tego dnia wróg już nie próbował powtórnego szturmu. Wieczorem obrońcy ściągnęli drabiny z ostrokołu i kucnąwszy przy palach, odpoczywali inni pojadali a jeszcze inni czuwali na zmianę do dnia następnego. Łada wiedział, że litwini nie zrezygnują łatwo ze zdobycia ~~tw~~ jego twierdzy, znał ich sposoby walki i czekał jaką przebiegłość wymyślą. Analizował wszelkie możliwości, sam obmyślał sztuki jakich trzeba dokonać aby zdobyć warownię, gdyby był po stronie przeciwnej. Sprawdził poniesione straty, były niewielkie. Parę okaleczeń nie groźnych. Najstarszy z księży zajmował się opatrywaniem

rannych, roznosił jadło i zagrzewał do walki. Nastrój załogi był dobry, przecież nie dali się pobić mimo tak dużej przewagi wroga. Z pośród księży byli tacy co nie raz ścierali się z wrogiem nim podjęli śluby. Władali oni dobrze bronią i nie ustępowali najdzielniejszym wojakom. Noc upływała na czuwaniu. Już od wczesnego rana rozpoczął się ruch po stronie wroga. Znowu drabiny, znowu walki na ostrokole w tych samych miejscach, co w dniu poprzednim. Wydawało się że ten atak idzie trochę ospale. Nie osłabiło to czujności Łady, znał ich różne fortele, to też zatrzymał przy sobie syna i leśnego Chwałę. Rzekł im - Będziecie przy mnie, ale dajcie baczenie, na wolne od walki przęsła ostrokołu, stąd może przyjść niebezpieczeństwo. - Ledwie wypowiedział te słowa a już trzech pokazało się na strokole w miejscu oddalonym od walki. Strażnik z wieży krzyknął. - Uwaga saraceny przy śpichrzu. - Łada już ich widział. Zeskoczyli z pomostu i biegli w stronę Łady. Zaraz w tym samym miejscu pokazało się dwuch następnych. Pierwszy który przedostał się na dziedziniec chłop tęgi i barczysty uderzył wprost na Ładę, pchnął dzidą. Ten osłoniwszy się pawęzem ciął mieczem, wróg zdołał uskoczyć. Obaj na rozstawionych nogach z wlepionym wzrokiem przeciwnika starali się uchwycić słabe strony. Następne starcia i ten sam efekt. Przeciwnik dobrze unikał ciosów i sam sprawnie atakował. Łada poczuł swoje pięćdziesiąt lat i poczuł że słabnie, przeciwnik był nieuchwytny. Krzyknął na psy. Te jakby wyrzucone z katapulty zatoczyły małe łuki i zaatakowały z tyłu, tak zawsze atakowały zwierzynę, przeciwni obrócił się na moment aby

zabić psy. Ten drobny odruch, drobna nieuwaga wystarczyła, by Łada mógł zadać przeciwnikowi skuteczny cios. Zadał go z całej siły tak, że miecz zatrzymał się w połowie klatki piersiowej. Trysnęła krew aż na ręce zwycięzcy. Bezładne potężne ciało zwaliło się na ziemię. W tym czasie dwaj towarzysze dowódcy gródka walczyli z napastnikami. Jędrek miał przewagę i przeciwnik zaczął się cofać, potknął się i to przesądziło jego los. Trzeci widząc wyniki starć biegł do ostrokołu aby mieć pomoc dwuch towarzyszy którzy dostali się już na dziedziniec. Chwała był szybszy i dzidą pchnął w plecy uciekającego. Dwaj pozostali starali ratować się ucieczką za ostrokół ale psy dopadłwszy ich, chwyciły za nogi. Również musieli podzielić los swoich towarzyszy. Bitwa na ostrokole jeszcze trwała lecz niepowodzenie podstępu ostudziło zapał do walki. Dowódca litwinów wpadł w szał, bił podwładnych, kopał tych co ośmielili się zbliżyć. W końcu wydał rozkaz znoszenia drzewa pod ostrokół od strony zachodniej, bo wiatr wiał z tej strony. Postanowił warownię spalić wraz z obrońcami. Do późna w nocy spychano susz i drzewo pod ogrodzenie. Rzucono zapalone pochodnie, na stosy drzewa. Z początku powstała chmura dymu, pełzała po ziemi obejmowała całą warownię, tylko wieża przebijała się przez tę powłokę. Tuż przy ostrokole wybuch słup ognia, pale objęły płomienie. Łada zrozumiał ostatnią tragedię swojej twierdzy. Szybko wydawał zarządzenia. - W dole pod wieżą ~~zakopać~~ zasypać kosztowności i nieużyteczną

broń. Odblokować ukrytą furtę w ostrokole. Zabrać torby z żywnością. – Dym utrudniał już oddychanie. – Ten dym jest naszym wybawcą – zakończył. Wszyscy grupowali się przy ukrytej furcie. Żada rzucił kawał białego płótna i nakazał przepasać się białymi pasami aby w walce nie razić swoich w ciemności. Żada ostatni opuszczał wieżę obronną. Cisnął zapaloną żagiew na stos 1mu. Płomień trysnął i rozlał się na całe zabudowania, które stały się olbrzymią pożogą. Ledwie zdążył wyskoczyć do ~~przy~~ wyjścia. Z trudem odsunięto zaporę furty. Pojedyńczo przeciskali się przez otwarte przejście. Zgrupowani ruszyli w stronę olszyn. Nieprzyjaciel zaabsorbowany palącym się ostrokołem, nie zwracał uwagi na pozostały teren. Jednak jeden ze strażników litewskich zaobserwował ruch i podbiegł sprawdzić co się tam dzieje. Znalazł się za blisko aby odskoczyć pozostał na miejscu przebity dzidą. Inni wartownicy zauważyli również ruch i zaczęli się nawoływać. Zbiegło się kilku, zaczęli nacierać. Było jednak ich za mało aby stawić czoła tej zdecydowanej na wszystko grupie. Obrońcy sunęli w stronę lasku olchowego, dal krzewy, to dawało im ochronę, lepsze warunki obrony i skryte odejście. Litwini uparcie posuwali się za nimi. Strzały łuków świstały w obie strony. Nasi obrońcy przyzwyczajeni do polowań w ciemności, potrafili strzelać z łuków na wyczucie, bez celowania, to też często ścigający wydawali okrzyki bulu. Zmniejszała się ich ilość. W końcu zrezygnowali z pościgu.

Kiedy nie groziło już niebezpieczeństwo, obrońcy gródka zatrzymali się na skraju lasu z wysokimi sosnami, małe wzniesienie. Ztąd, w porze dnia, zabudowania obronne, widziane były w pełnej okazałości. Teraz wielki słup ognia tylko od czasu do czasu ukazywała się wieża. Łuna oświetlała otaczające drzewa, barwiąc je na różne kolory. Łada stał i patrzył na to zniszczenie dzieła swojego życia, tu spędził prawie trzydzieści najpiękniejszych lat, tu rodziły się wszystkie jego dzieci. Czy jeszcze powróci? Łzy cisnęły się do oczu. Łada policzył obecnych, było ich dwudziestu czterech. Zwrócił się do księdza-kanoniku, pomódlmy się za tych którzy zginęli i za sędziwego Jana Gajaka, wszyscy oni zginęli przy ostrokole.- Ksiądz sięgnął za pazuchę wydobył krzyż, wszyscy uklękli opierając się na dzidach. Ksiądz podniósł krzyż skierował go w stronę pożaru i rozpoczął modlitwę po łacinie. W końcu rzekł.- Amen- wszyscy powtórzyli- Amen.- A teraz módlmy się za duszę naszego Jana- rzekł ksiądz. W języku zrozumiałym dla ludzi puszczy, rozpoczął:- Zdrowaś Maria, kończąc, Wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie- chóralnie powtórzono to trzykrotnie a na końcu, Amen. Wszyscy powstali wciąż patrząc w stronę potężnego pożaru. Odblask kładł się na obłokach tworząc łunę. Płomienie lizały sąsiadujące drzewa niszcząc wszystko co człowiek, przez wiele lat wychodował, pielęgnował i wybudował.- No cóż- rzekł cichim głosem Łada, jakby się usprawiedliwiając- gdybym nie zapalił sam, uczyniliby to wrogowie, zabrawszy przedtem łupy. Choćmy do ostępu

aby odpocząć do rana. Następnie ruszyli w dalszą drogę aby dotrzeć do swych rodzin, które szczęśliwie przetrwały. Po kilku dniach po przeprowadzonym wywiadzie, dowiedzieli się, że Niemcy odeszli. Spalili doszczętnie Pułtusk a zamek wraz z jego obrońcami. Taki los mógł spotkać również naszych obrońców gródka. Decyzję powrotu powzięto natychmiast. Trzeba zacząć wszystko od początku. Były to czasy kiedy niszczono ogniem i mieczem. Zresztą ~~dzisiaj~~ zawsze jest tak samo, formy inne ale człowiek ten sam. Mieszkańcy Gródka wrócili. Każdy wybierał miejsce na dom, czynił to według własnego uznania, starając się nie przeszkadzać innym, ale wszyscy chcieli być blisko siebie. Przeżycia tamtych dni na zawsze. Księża odeszli do Pułtuska żegnani serdecznie. Nowa mała osada zaczęła żyć nowym życiem, dostosowując się do nowych warunków. Pozostały te same nazwy, przetrwały wieki. A wieże? No cóż spajane kamienie glinę z czasem rozmyły się, wieże jakgdyby utonęły w ziemi. Pole zrównane, pozostały tylko fundamenty. Po pokoleniach zapomniano o nich. Przez przypadek odkryto to ~~to~~ już historyczne miejsce ale o tym dowiemy się w dalszej części opowiadania.

Piotrek z dnia na dzień składał zapisane kartki, czasem chodził po tym niedużym kawałku ziemi. Szukał miejsc gdzie mogły rozgrywać się owe sceny tragedii, czasem wykonywał ruchy rękami jakby zadawał cios lub odbijał broń przeciwnika. Tworzył opowiadanie. Myślał, że może kiedyś przekształci je w powieść. Przecież pisywał artykuły do gazetki szkolnej a nawet wiersze. Wykorzystał nawet pewne

zdolności literackie lecz nie trafił na swego mecenasa. Zebrał te zapisane kartki, zapakował z innymi rzeczami, do plecaka. Przygotował się do wyjazdu. Podziękował babci za wyżywienie, pożegnał ją i następnego dnia udał się w drogę. Rozpoczynała się dla niego nowa droga życia. Nic nie planował szedł w nieznane a przecież sam tak zadecydował, nieświadomie wiedziony przeczuciem. Szedł na przełaj przez puszczę do stacji kolejowej w Wyszkowie. Las ten sam jak dawniej, taki jakim go opisywał, tylko brzoza zginęła. Jeszcze gdzie niegdzie na skraju lasu szpaler brzóz. W dzieciństwie czasem wypijał jej soki. Mijał pozostałe jeszcze barcie, dotykał ich ręką, zaglądał do wydłubanych dziupli, były puste. Snać już dawno opuściły te gniazda. Spotykał ludzi zbierających grzyby lub susz na podpałkę. Las swoją melodią. Tylko przy silniejszym wietrze sosny chyliły się to w jedną, to w drugą stronę. - Myślę, że ostatni raz przemierzam te lasy - mówił do siebie Piotrek. Zbliżał się do stacji kolejowej Wyszków. Cały romantyczny nastrój pozostał za nim. Gwizd lokomotywy przywołał go do myślenia realnego, wsiadł do jednego z wagonów. Na wyznaczony czas przyjechał do Ostrów Komorowa. Z miasta do koszar jeszcze kawałek drogi ale od stacji, przybyłymi opiekowali się już podoficerowie służbowi. Remont koszar jeszcze nie ukończony. Dawne rosyjskie koszary, urządzenia prymitywne, umywalnie przy studni, jak na październik, nie wyglądało to zachęcająco. Kuchnie polowe do menażek napełniano strawę, a potem ich mycie w zimnej wodzie, czyste polowe warunki.

Remont koszar postępował szybko i sprawnie. Wkrótce udostępniono podchorążym urządzenia sanitarne i jadalnie a więc warunki życia stały się zupełnie znośne. Tradycyjnie okres rekrucki trwał do końca listopada i w tym czasie elewi dostawali mocną szkołę, traktowani byli rzeczywiście jak rekruci. Dopiero dzień 29 listopada był dniem przełomowym. Od tego czasu wszyscy otrzymywali tytuł podchorążego. Dzień ten obchodzono uroczyście. Po przysiędze podchorążowie obejmowali władzę nad szkołą. Na ten czas kadra instruktorska znikała. Urządzano pochód, wygłaszano różnego rodzaju panageriki krytykujące instruktorów lub poszczególnych elewów akcentując ich słabości, ubolewając nad przejściem ze stanu cywilnego do drylu wojskowego. Wszystko to jednak stwarzało atmosferę przyjemną. Rekruci zostali podchorążymi i jedna belka na naramiennik. Czyli starszy szeregowiec podchorąży. Pierwszy rok szkoły tworzył batalion złożony z trzech kompanii. Szkolenie obejmowało wszystkie bronie nawet lotnictwo za wyjątkiem marynarki. Po tym roku podchorążowie otrzymywali przydziały do wszystkich rodzajów broni. To też każdy z nich starał się uzyskać jak najlepsze wyniki aby mieć wybór pożądanej broni. Ten pierwszy rok tworzył odzielny batalion składający się z trzech kompanii. Należy również zaznaczyć, że w tych blokach koszarowych kwaterowała również Oficerska Szkoła Piechoty. /W późniejszych latach zmieniono nazwy szkół oficerskich na szkoły podchorążych/ Dowódcą drugiej kompanii był kpt Żwirski. Dziwnym zbiegiem okoliczności, oficer ten to serdeczny przyjaciel, z czasów wojny polsko-sowieckiej naszego już podchorążego Piotrka. Komania składała się z trzech plutonów. Dowódcą pierwszego plutonu

por. Babiarczyk. Niski krępy lecz dobry instruktor i pedagog. Zawsze starannie ubrany i wyciągał się do góry aby robić wrażenie wyższego. Drugim plutonem dowodził por. Wotruba, również niski krępy, robił wrażenie pożera, trochę tępawy. Trzecim plutonem dowodził por. Grot. Nie wiadomo czy nazwisko to spowodowało, czy on dodawał pewnej aureoli swojemu nazwisku, lecz krążyło o nim szereg anegdot, szczególnie z okresu walk w Warszawie w czasie przewrotu majowego, świadczących o jego iste stoickiej odwadze. W czasie akcji biegał między stanowiskami podchorążych instruując jak się mają okopywać. Oficer bardzo wymagający, nigdy się nie uśmiechał, twarz skupiona stoicka. Rozkazy wydawał krótko, raczej cichym głosem, lecz rozkaz jego podrywał, poprostu jak z katapulty wykonywano wszelkie skoki a wszystko wykonywano z wielką dokładnością. Wielu podchorążych starało się go naśladować. Ogólny instruktor, na cały batalion, broni maszynowej to kpt. Kardasiewicz do pomocy, już wspominany sierżant Iwanowski. Oficer ten charakterystycznie wymawiał słowa, ciągnął po kresowemu, podchwytywana wymowa prze podchorążych. W wiele lat później nasz podchorąży spotkał się z tym oficerem w dywizji pancernej w Szkocji. Instruktor do nauki strzelectwa, to por. Szłompke, brat znanego pianisty tych czasów, oddany swojej specjalności. Wszyscy oficerowie kompanii, posiadali staż wojenny, z okresu wojny polsko-sowieckiej i umieli przekazać swoje doświadczenia wojenne. Szkolenie przebiegało utartym programem lecz wymagania stawiano z pełną bezwzględnością. Stosunek oficerów był przyjazny ale nigdy nie przekraczał nadmiernego zbliżenia. Z biegiem czasu ci cywile wdrożyli się do rygorów wojskowych

Wzajemny stosunek między podchorążymi stawał się koleżeński. Te pierwsze momenty zamykania się w sobie, ustępowały pewnej otwartości, zaczęto ujawniać, kto zacz. W tych okolicznościach miało to swoje znaczenie. Nie jeden pozował na wyższy stan intelektualny ale w końcu wychodziło, że wszyscy są z tej samej gliny ulepieni. Pod koniec roku szkolnego trzeba było zdecydować się na wybór broni. To pewnego rodzaju problem. Do oficerskich szkół eksponowanych, przynajmniej w pojęciu podchorążych, znajdowało się dużo amatorów. Często posługiwano się protekcją ale również zależało od opinii bezpośrednich dowódców. Na ostatnim miejscu podchorążowskich życzeń plasowała się Oficerska Szkoła Piechoty, właśnie w Ostrów Komorowo, jednak gros musiało odejść właśnie do tej szkoły. Już sama miejscowość odstraszała. Daleko od mizernej mieściny a jeszcze dalej od Warszawy. Oficerska Szkoła Kawalerii, wydawała się być szkołą ekskluzywną, toteż mieli nadzieje tylko najbardziej ustosunkowani. Liczba przydziałów do niej, bardzo skromna. Oficerska Szkoła Inżynierii w Warszawie była istotnym magnesem, lecz liczba miejsc również skromna, większość miejsc przeznaczono dla elewów korpusu kadetów. Ponadto wielu chętnych miało nadzieję na dalsze studia na Politechnice. Trochę więcej miejsc w Oficerskiej Szkole Artylerii. Do Oficerskiej Szkoły Lotnictwa trzeba było mieć odpowiednie warunki zdrowotne. Nasz podchorąży z góry zrezygnował z lotnictwa mając na uwadze swoje kłopoty przy przyjęciu do szkoły. Na ostatnim miejscu postawił Oficerską Szkołę Piechoty. Ten rodzaj broni zupełnie go nie podziękował. W rozmyślaniach swoich analizował: - artyleria, właściwie mam tam zapewnione miejsce, po współzawodnictwie w obsłudze dział, przecież

instruktor artylerii zapewnił ten przydział. Ponadto trochę fizyki trochę matematyki, zawsze to coś. — Taką decyzję właśnie podjął. Nie spodziewał się nawet, że wśród kadry oficerskiej miał dwóch protektorów, jednym z nich to wspomniany oficer artylerii, drugim zaś to oficer łączności instruktor tej broni. Trzeba tu zaznaczyć, że Oficerska Szkoła Inżynierii miała dwa wydziały: saperów i łączność. W dowództwie kompanii układano listę przydziałów. Każdy z podchorążych miał prawo zgłosić swoje życzenia. Nasz podchorąży podszedł do stolika szefa kompanii i rzekł: — proszę zapisać artyleria — Szef tylko spojrzał i bez perswazji zapisał. To ~~dob~~ już dobrze myślał podchorąży to pół wygranej. Na tym jednak nie skończyły się te kłopoty. Instruktor łączności sprawdzał swoich wybranych na liście. Kiedy doszedł do nazwiska Chełchowski i przeczytał decyzję, natychmiast kazał go wezwać do siebie. Nasz podchorąży zameldował się sprężyście na rozkaz. Kapitan wprost krzyczał: — Ja podchorążego wybrałem do łączności a podchorąży wpisuje mi artylerię, proszę ~~t~~ natychmiast zmienić tę decyzję. — Ja panie kapitanie — tłumaczył się podchorąży — nie miałem nadziei, taka konkurencja — Niech podchorąży idzie do kancelarii i zmieni tę decyzję — i odszedł. Mały kłopot, duży kłopot myślał podchorąży i poszedł do szefa kompanii. Szef miał też coś do powiedzenia. Dowódca kompanii już zatwierdził listę — rzekł — a podchorąży przychodzi mi zawracać głowę. Tę zmianę nakazał mi instruktor łączności i sam ma rozmawiać z dowódcą, — mówił podchorąży. Dobrze, przedstawię kapitanowi Żwirskiemu — zawyrokował szef. Jeszcze tego samego dnia

dowódca kompanii spotkał podchorążego na dziedzińcu i przywołał go. Rozpoczął rozmowę dość łagodnie - Czemu podchorąży nie może się zdecydować i dokonuje zmiany? - Tu znowu podchorąży zaczął się tłumaczyć, że nie miał nadziei, dostać się do szkoły inżynierii mimo chęci, że instruktor łączności i tak dalej. Tak zakończyła się rozmowa. Kapitan odszedł nie podając mu swojej decyzji ale wkrótce dowiedział się, że ma przydział do Oficerskiej Szkoły Inżynierii w Warszawie. Tak spełniły się jego marzenia. Czy w tym miejscu miał wpływ stosunek kapitana do jego kuzyna, o tym się nigdy nie dowiedział, ale możemy powiedzieć, że to już trzeci protektor w tej szkole. Jeszcze tylko instruktor artylerii przy najbliższym spotkaniu zrobił mu wymówkę ale nie ingerował w przydziałach. Szkoła się skończyła, awans na kaprali, wydanie dyplomów i odjazd na praktykę do pułków piechoty. Wszyscy podchorążowie, bez względu na przydział broni musieli odbyć pierwszą praktykę w jednostkach piechoty. Wybrał tę praktykę w znanym mu 13-tym pułku piechoty w Pułtusku. Praktyka nudna i nie interesująca, może dlatego, że nie był to kierunek jego zainteresowań. Jedna ten okres miał również ciekawe momenty. Zaraz na początku odbywały się manewry na trasie Warszawa-Czerwony Bór. W Warszawie załadowano oddziały ćwiczące na zarekwirowane samochody i podwieziono w rejon Zambrowa, ztąd na własnych nogach oddziały weszły do akcji. Do prowadzenia manewrów zorganizowano sztaby kierownictwa po obydwu stronach odziałów ćwiczących. Z tych ćwiczeń opowiadano anegdoty krążące w wojskach łączności. Do kierownictwa ćwiczeń przydzielono radiostacje iskrowe dalekiego zasięgu. Urządzenie to

miało antenę parasolową a pod promieniami anteny, przeciwwagi z siatek ułożone na ziemi, często maskowane zielenią. Stała sobie taka radiostacja przy dowództwie ćwiczeń w rejonie zabudowań z obsługą w namiocie. W międzyczasie przez ten rejon przechodziła brygada kawalerii w pogotowiu bojowym. Dowódca brygady, podobno płk. Dreszer, uważał za swój obowiązek zameldować się w dowództwie ćwiczeń. Przy wjeździe na podwórko, spotkał generała prowadzącego ćwiczenia. Dobył szabli i zasalutował. W tym czasie zdarzyło się coś, czego nikt nie mógł się spodziewać. Koń jakby przysiadł na czterech nogach i rzucił się do panicznej ucieczki. Pułkownik zdążył chwycić się grzywy, zgubił czapkę, a koń cwałował dokąd starczyło mu sił. Meldunek nie został dokończony. Należy się pewne wyjaśnienie w tym miejscu. W tym czasie nadajnik wspomnianej radiostacji był czynny. W czasie salutowania szablą, jej koniec dotknął dotknął anteny. Uderzenie prądu człowiek odczuł mniej dotkliwie, koń zaś bardzo wrażliwy na uderzenie prądów elektrycznych dostał ładunek na plecy poprzez rynsztunek. To na niego zrobiło potężne wrażenie, wpadł w szał. Winę złożono na spłoszenie konia i na tym cała sprawa się zakończyła. Radiotelegrafiści spostrzegli przyczynę ale zachowali milczenie aby nie wciągnąć się w ten incydent. Jak pech, to pech. Wypadek na tej samej radiostacji powtórzył się, tylko w innym wydaniu. Do kierownictwa ćwiczeń przyjechał powozem, jak mówiono po cichu, gen. Skierski (o nim krążyło wiele anegdot w wojsku) Po odbyciu dłuższej podróży, zachciało mu się siusiać. Starym zwyczajem udał się w krzaczki, w miejsce gdzie leżały przeciwwagi. Zaledwie rozpoczął tę ceremonię gdy rozległy się

okrzyki Och! Ach! wymachując siusiakiem i tańcząc w podskokach. Obsługa radiostacji zaalarmowana okrzykami, wyłączyła nadajnik i uciekła z namiotu. Tu również krótkie wyjaśnienie. Strumień moczu padający na przeciwwagę anteny stał się przewodnikiem do ciała delikwenta. Nie było tu groźby porażenia, lecz podrażnienie przez tak delikatny instrument, odczuwany był bardzo dotkliwie. Jak w tym wypadku sprawa się zakończyła, anegdota tego nie podaje. Zatrzymam się chwilę przy gen. Skierskim. Był to znany dziwak wśród generałów. W zimie chodził bez płaszcza, a tych oficerów, którzy którzy na ulicy okazywali zdziwienie, przywoływał, rozpiąwszy mundur, pokazywał, że nawet swetra nie nosi. Jeżeli zauważył oficera ze ściętymi obcasami przy butach, przywoływał go i dając pięć złotych nakazywał natychmiast buty naprawić. To też oficerowie bali się z nim spotykać, bo nie wiedzieli jaka niespodzianka może ich spotkać. To jednak nie koniec na tym. We własnym domu urządzał mobilizację. Nakazywał żonie wszystko spakować a meble sprzedać. Takie wypadki powtarzały się, to też żona rzeczy spakowała ale meble odwoziła do znajomych aby nie ponosić strat. Sam generał zabierał ordynansa, nakazał zapakować plecaki, zabrać niezbędny rynsztunek i ruszali w drogę. Marsz polegał na tym, że szli wokół największego pokoju. Po godzinie generał komenderował - Stój odpoczynek, gotuj herbatę - Ordynans chciał skoczyć do kuchni po czajnik, o którym zapomniał. - O nie mój drogi - zawyrokował generał - godzinę maszeruj z powrotem. Anegdoty czy prawda, nikt tego nie starał się sprawdzać lecz podchorążowie lubowali się w tych opowiadaniach.

Kończyła się praktyka. Nasz podchorąży nałożył barwy Oficerskiej Szkoły Inżynierii i odjechał do Warszawy. Rok 1927. Przejście z małego miasteczka do stolicy, miało swoje uroki ale zwiększało również i wymagania intelektualne i towarzyskie. Standard reprezentacyjny szkoły dość wysoki. Nowi koledzy. Połowa absolwentów to elewi korpusu kadetów. W korpusie kadetów poziom nauczania był wysoki, przy tym oni przeszli jakgdyby z klasy do klasy, reszta miała za sobą rok biegania po polu, co stanowiło pewną przerwę w nauce. Trzeba doganiać poziom kadecki. Byli to chłopcy z domów inteligencji, posiadali ogładę towarzyską, czego brakowało wielu innym. Różnice te szybko się wyrównały. Wytwarzały się stosunki przyjacielskie, w szkole panowała dobra atmosfera. Dryl wojskowy przesunięty na drugi plan, podstawą zaś przedmioty techniczne. Szkoła mieściła się na ulicy 6-go sierpnia /tak się wówczas nazywała ta ulica/ tuż za obiektem Politechniki Warszawskiej. Budynek mieszkalny jednopiętrowy zabudowany w podkowę. Obok kuchnia i sala jadalna w odrębnym budynku przerobionym z jakiejś hali fabrycznej. Dalej plac sportowy i plac ćwiczeń a w głębi wielopiętrowe budynki z salami wykładowymi i laboratorjami. W budynku mieszkalnym, dwa skrzydła zajęte na sypialnie podchorążych, sale do nauki i łazienki. Środek zajmował hol z gabinetem oficera dyżurnego oraz mała izba aresztu z której nigdy nie korzystano. Na piętrze nad holem sala balowa zwana błękitną ze względu na ton malowideł. Sala ta robiła bardzo miłe reprezentacyjne wraże-

Tu rok rocznie w okresie karnawału odbywały się bale podchorążych znane w całej Warszawie. Szkoła składała się z trzech roczników nauki. Pierwsze dwa, to podchorążowie, trzeci rocznik to podoficerowie. W innych rodzajach broni, szkoły oficerskie trwały tylko dwa lata. Dłużej w szkole inżynierii trzeci rocznik to już oficerowie. Na każdym roczniku były dwie klasy, klasa saperów i klasa łączności. Nasz podchorąży należał do klasy łączności specjalnie interesował się zagadnieniami radiotechniki, nawet konstruował przyrządy własnego pomysłu odbiorniki. Kadra oficerska szkoły dzieliła się wyraźnie na dwie grupy. Jedna to dowódcy i wychowawcy, druga to wykładowcy. Wśród wykładowców byli wojskowi i cywilni profesorowie z Politechniki przeważnie. Ogólny zakres wiedzy można określić jako pół dyplom politechniki, tak zresztą traktowano przy zaliczaniu przedmiotów. Jako przyszli technicy podchorążowie przykładali wagę do przedmiotów technicznych i w dyskusjach z kadrą dowódców bardzo chętnie wysuwali to zagadnienie. Kadra kładła nacisk na przedmioty wojskowe. Te dwie tendencje ścierały się w samym dowództwie szkoły a przewaga jednej czy drugiej tendencji zależała od tego kto był komendantem szkoły. Na ten temat często wywiązywały się dyskusje między wychowawcami a podchorążymi. Z wykładowcami często prowokowano dyskusje na tematy ogólne. Jednym z wykładowców był profesor Dering, człowiek o wysokich kwalifikacjach

trzy fakultety a jako hobby zajmował się zagadnieniami syjonizmu światowego. W szkole wykładał geometrię wykreślną. Jako wykładowca zachowywał się charakterystycznie, gdyż wykłady prowadził obrazowo. Często zdejmował mankiety od koszuli, /wtedy były przypinane/ które mu przeszkadzały i zawieszał na nasadach w formie płomieni umieszczonych na górze tablicy. To trochę rozweselało słuchaczy. Naukowiec ten napisał książkę pod tytułem - Zmierzch Izraela - wydaną pod nazwiskiem jego asystenta. W czasie godzin porannych asystent pisał a profesor dyktował jeszcze przed wyjściem do zajęć. Tak powstał tom złożony z 3.000 stron maszynopisu. Po skróceniu wydanie książkowe zawierało trzysta stron. Pierwszy nakład został wykupiony przez żydów już w drukarni. To też nie ukazała się na rynku ani ~~jedna książka~~, jeden egzemplarz. Wznowiono drugie wydanie, wykupione również przez żydów. Tylko pięć egzemplarzy wyszło poza drukarnię dzięki manipulacjom drukarzy. Jeden z tych egzemplarzy dostał się w ręce podchorążych. Zagadnieniem tym interesowała się trójka podchorążych: Tadeusz - radykał, Adam - teoretyk, Piotrek - filozof. Posiadali oni już szereg książek na ten temat, nawiązywali kontakt z ks. Trzeciakiem znawcą talmudu w dyskusjach starali się znaleźć drogę do rozwiązania tak palącego problemu w Polsce. Sprawa żydowska stawała się uciążliwą dla narodu polskiego i zdarzały się odruchy antysemityzmu. Ciż właśnie podchorążowie dyskutowali możliwość złagodzenia

tego uciążliwego problemu, ścierały się zdania w końcowej definicji dochodzono do wniosku, że problem ten musi być rozwiązany, ~~Ale~~ bo może grozić nieprzyjemny odruch społeczeństwa. Ale jak go rozwiązać? Byli jeszcze młodymi ludźmi i nie bardzo zdawali sobie sprawę z tych trudności. Najczęściej szli za myślą Deringa, który w definicji określił, że wtedy nastąpi zmierzch syjonizmu, kiedy naród żydowski uzyska swoje państwo. Profesor Dering zmarł niespodziewanie. Posądzano o zamach otrucia. Żona profesora zażądała sekcji zwłok, na co władze miejskie nie udzieliły zgody. Posądzenie padło na żydów. Sprawę zatuszowano. Nasi podchorążowie utraciwszy lidera zajmowali się już tylko literaturą a czasem przy spotkaniach już po odejściu do oddziałów powracali do tego tematu. Wróćmy do życia szkolnego. Poza normalnymi zajęciami, ci młodzi ludzie starali się żyć ze społeczeństwem i stanowić przodującą warstwę społeczną. Teatry, koncerty, kabarety, znali wszystkie nowe przeboje, a te które można dostosować do marszu, śpiewano na ćwiczeniach. Takie to normalne życie pokojowe pełne radości i uśmiechu. To piękny i beztroski okres życia podchorążego, oczywistym jest również, że sprawy wojskowe dominowały na pierwszym miejscu. Zmiany personalne na górze wojskowej zawsze szczególnie dyskutowano. Przez ustosunkowanych kolegów docierały tu różne anegdoty, plotki. Szczególną osobą zainteresowań był gen. Wieniawa. To skarbnica różnych sensacji. Raz wjechał on konną do Adrii. Innym razem, że wyrzucił premiera Kozłowskiego z Adrii za to że w stanie nietrzeźwym

wraz z niemieckim atasze wojskowym na serwetce podzielił Czechosłowację między Niemcami a Polską. To były ogólnie znane sprawy. Mało jednak jest znany raport Wieniawy u Marszałka Piłsudskiego. Wieniawa za kołnierz nie wylewał. Lubił awantury i przygodę, sam jej szukał, chociaż był to oficer o nieprzeciętnych zdolnościach i dużej ambicji. Ten beztroski sposób życia pociągał za sobą duże wydatki, nie rzadko zaciągał długi, na co nie pozwalała pragmatyka oficerska. Marszałek miał słabość do Wieniawy, jako byłego adjutanta i od czasu do czasu pokrywał te długi. Aż pewnego razu Wieniawa przebrał miarę. „Dziadek" rozgniewał się i zawzwał Wieniawę do raportu. Jako wiceminister gen. Konarzewski wprowadzał go do gabinetu Marszałka. Wieniawa znał przebieg raportu u „Dziadka", które podobno były bardzo przykre, to też uchodził czujnie. Ledwie zdążył stanąć w drzwiach gabinetu Marszałek chwycił kałamarz i rzucił w Wieniawę. Ten uchylił się a kałamarzem dostał Konarzewski. Jak ten raport się skończył, tego anegdota nie podawała ale Marszałek dług zapłacił. Szkoła zwykle brała udział we wszystkich defiladach podczas świąt państwowych. Defilady odbierał Marszałek. Ostatnią defiladę na placu Saskim, Marszałek odbierał siedząc na „Kasztance". Służyła mu ona jako koń wierzchowy w czasie wojny od samego jej początku, to jes od czasu „Legionów." Był przed pomnikiem księcia Józefa Poniatowskiego. Z tyłu arkady Sztabu generalnego pod którymi usytuowany grób Nieznanego Żołnierza. Defilada przebiegała jak wszystkie inne. Jednak była to inna defilada.

Mijały szeregi. Marszałek przyglądał się tej masie przesuwającej się młodzieży. Wydawało się, że każdemu z tych młodych ludzi patrzył w oczy. Takie wrażenie odnosił nasz podchorąży. Myśli gwałtowne napłynęły po minięciu trybun. – Będę dobrym żołnierzem – myślał – będę się starał aby Twój wysiłek nie poszedł na marne. Cenię to wielkie słowo „niepodległość" – czy przysięgał, nie, to co myślał było dla niego przysięgą. Wówczas Marszałek był już bardzo chory, widać to na jego twarzy. To ostatni jego występ oficjalny, jak również ostatni jego „kasztanki". W czasie imienin Marszałka to jest 19-ego marca, podchorążowie chodzili jako delegacja, lub jako obserwatorzy aby przyjrzeć się znaczącym personom. Wówczas zwracano uwagę na płk. Beka, wkrótce został on ministrem spraw zagranicznych. W szkole zdarzały się wizyty prezydenta Mościckiego, robił bardzo dobre wrażenie, przy tym nimbu dodawało mu jego wykształcenie i zasługi naukowe w dziedzinie techniki. Warszawa nie pozbawiona była humoru, nawet prezydent wszedł do anegdot, co później sprawdziło się, przez zawarcie drugiego małżeństwa, po śmierci pierwszej żony. Ach te plotki! Po pierwszym roku szkoły oficerskiej, w okresie lata, odbywały się ćwiczenia w Modlinie. Nie wiadomo dlaczego i nikt tego nie mógł wytłumaczyć, dlaczego specjaliści łączności umieli odbywać ćwiczenia saperskie, może tylko z racji wspólnej szkoły, a więc wioślarstwo, pontonierkę, mosty,

minerstwo i inne zagadnienia saperskie a nie z łączności. Podchorążowie łączności stawiali zarzut niedbalstwa dla swojego dowództwa. System ten trwał jednak latami. Po drugim roku szkoły to jest w 1929 r. nasz podchorąży został mianowany podporucznikiem. Cała ceremonia odbywała się uroczyście, łącznie z uderzeniem szablą w ramię, niby tradycja pasowania na rycerza. Ostatni przemarsz jako oddział zwarty. Ceremonii dokonywał gen. Konarzewski z ramienia prezydenta. Nałożono gwiazdki podporucznika i mundury oficerskie. Czas płynie a nasz podchorąży został już podporucznikiem i tak będziemy go nazywać w dalszym opisie. Od tego czasu zmieniły się rygory wojskowe i zmienił się sposób bycia, to już nowa grupa społeczna, należało przyjąć nowe obowiązki, przede wszystkim sposób bycia i zachowania. Należało stosować się do niepisanej pragmatyki oficerskiej, honor, dżentelmeństwo obowiązywało w wielkim stopniu. Zmieniła się również strona materialna. Ze swoich poborów należało pokrywać wszelkie świadczenia. Dla naszego podporucznika była to trudność nie byle jaka. Dotychczas wszystko otrzymywał, począwszy od mydła a skończywszy na umundurowaniu, wyżywieniu i zakwaterowaniu. Teraz ten ciężar do którego nie był wdrożony, przeszedł na jego osobę. Te codzienne sprawy wydawały mu się nawet uciążliwe. Wynagrodzenie jednak wystarczało na niezbędne potrzeby a pierwsze pieniądze własne sprawiały pewną radość. Wreszcie skończyły się żebracze lata, to duża ulga psychiczna. Żył jednak skromnie aby coś niecoś zaoszczędzić.

Pozostał jeszcze jeden rok szkolny. Upłynął szybko. Bieg nauki nie ulegał zmianie, tylko na wykłady chodzili pojedyńczo a nie w oddziale zwartym, co też pewna przyjemność, jak na stosunki wojskowe. Nauka dobiegała końca. Każdy z młodych oficerów myślał już o dalszej swojej karjerze. Przede wszystkiem myślał o swoim pierwszym przydziale do jednostki wojskowej. Wyłaniali się również i tacy, którzy zmuszeni byli powtarzać rok szkolny. Z poprzednich lat też byli tacy maruderzy. Przez okres szkoły wytworzyły stosunki przyjaźni w małych grupach lecz również cały rocznik miał swoje więzy. Również nasz podporucznik miał bliższych przyjaciół. Na zakończenie szkoły już zwyczajowo organizowano wycieczkę krajoznaczą po bardziej atrakcyjnych ośrodkach Polski ale można było nazwać tę wycieczkę jako naukową. Centra przemysłowe jak Górny Śląsk lub historyczne, jak Kraków. Wielu z kolegów naszego podporucznika myślało o ukończeniu politechniki i starało się o przydział do pułku radio w Warszawie, co dawało pewne możliwości utrzymania kontaktu z politechniką. Większość musiała odejść do jednostek poza stolicą. Nasz podporucznik pierwszy przydział otrzymał do 6-ego Batalionu Telegraficznego w Lwowie. Generalski urlop, bo aż sześć tygodni, i odjazd na miejsce przydziału. Kończył on pewien etap swojego życia zamknięty w jakąś całość. Czasami był ciężki, czasami beznadziejny. Zbiegiem okoliczności

a może właśnie sprzyjało szczęście, na drodze swej spotykał ludzi udzielających mu pomocy, bezinteresownie tak z dobrego ludzkiego serca. O nich to właśnie zawsze pamiętał starał się dowiadywać o dalszym ich losie. Byli to jednak ludzie wielkoduszni, uczciwi, zyskujący szersze uznanie w swoich środowiskach. Lwów. Tu się zaczynał nowy etap życia podporucznika Chełchowskiego. Rok 1930. Już na dworcu witał napis - Leopolis semper fidelis. Miasto ściśle związane z historią Polski. Mentalność ludzi charakterystyczna, mile wiążąca nowego przybysza. Tyle historycznych miejsc w samym mieście. Kościoły, wały hetmańskie, wysoki zamek, cmentarz „Orląt" na Łyczakowie, stare kamieniczki no i arcydzieło polskiej sztuki malarskiej „Panorama Racławicka". Każde miejsce to przekrój naszej naszej historii i świetności okresu jagielońskiego. Panorama była największą atrakcją dla turystów. Stojąc w jej wnętrzu na pomoście, odnosiło się wrażenie uczestnictwa w tej bitwie. Człowiek stawał się oszołomionym treścią obrazu i jego ogromem. Nasz podporucznik po przybyciu, na dworcu przywołał „fiakra", miał ze sobą większą walizkę, i podał adres woźnicy. Niewielki przejazd przez śródmieście, ~~dro~~ ulicą pod górę, to Teatyńska, tuż pod Wysokim Zamkiem, koszary w dawnym klasztorze szpitalu założonym przez Jana III Sobieskiego w czasie wypraw tureckich. Budynek niezbyt zachęcający. Stare mury, grube, sale duże do kwaterowania

zbiorowego. Podłogi skrzypiące, może pamiętały jeszcze czasy zakonników teatyńskich ale dla potrzeb batalionu obiekt wystarczający. Pierwsze kroki, to adiutantura batalionu. Miła niespodzianka, adiutant to kolega ze starszego rocznika. - Zaraz pana zamelduję dowódcy batalionu - oświadczył. Po chwili wprowadził do gabinetu dowódcy. Ot i majestat dowódcy który będzie wychowywał młodego oficera. Wstał z zabiurka i zbliżył się. - Panie majorze podporucznik Chełchowski melduje posłusznie swój przydział do 6-ego Batalionu Telegraficznego - tak się meldują starając się przy tym wyprężyć figurę świadczącą o jak najbardziej prawidłowej postawie. - Dziękuję - odpowiedział major, - Chciałbym aby pan czuł się jak najlepiej w naszej jednostce a jako nowo zorganizowana jednostka, musi wytworzyć swój charakter i zwartość a pan będzie jednym z nich który będzie wpływał na poziom batalionu. Zakwaterowanie załatwi kwatermistrz i proszę na kolację do naszego kasyna, to wszystko, dziękuję -. Dowódcą batalionu był major Jakubiak stary legionista z pierwszej kadrowej. Ciekawy jako człowiek i ciekawy jako dowódca, prawy, uczciwy kład duży nacisk na koleżeństwo, w szkoleniu kładł duży nacisk na treść mniej na formę. Takie stosunki odpowiadały młodym oficerom. Większość kadry oficerskiej stanowili młodzi oficerowie ze szkoły inżynierii, to też oni nadawali ton i charakter jednostce. W krótkim czasie była to jednostka

żwarka i na dobrym poziomie wyszkolenia technicznego. Życie towarzyskie ograniczało się narazie w gronie własnego korpusu oficerskiego. Obowiązkowe wizyty towarzyskie, które miały formę pożegnania jeśli chodzi o ubiór, zawsze galowy, i czas trwania wizyty 15 minut, następnie obowiązywały rewizyty. Nasz podporucznik, czyto ze względu na krótki okres życia rodzinnego, czy ze względu na wiek dojrzałości, zapragnął założyć swój dom. Miał narzeczoną w Ciechanowie gdzie była nauczycielką, był z nią związany nerwowo i stale utrzymywał kontakt listowy. Postanowił zawrzeć małżeństwo. Nie była to sprawa łatwa i prosta. Niechętnie widziano aby młodzi oficerowie wchodzili w związki małżeńskie. Ponadto obowiązywały rygory ściśle przestrzegane. Przyszła żona musiała mieć nieposzlakowaną opinię, posiadać średnie wykształcenie oraz wnosić majątek w wysokości 20.000 zł. Warunki majątkowe odpadały jeżeli oficer był w stopniu kapitana i wyżej. Dwa pierwsze warunki były spełnione ale jeśli chodzi o stronę materialną, nastręczały się poważne trudności. Byli oboje biedni jak przysłowiowa mysz kościelna. Zamożni krewni narzeczonej, przyszli z pomocą ofiarując jej sumę. Mówiąc nawiasem, nigdy nie korzystali z tej darowizny. Złożone podanie o zezwolenie związku małżeńskiego musiało być zaakceptowane przez cały korpus oficerski oddziału. Trudności pokonane, zezwolenie jest. Narzeczona przybyła do Lwowa. Ślub odbył się 6. XII. 1930 roku w kościele

garnizonowym. Był to kościół jezuitów. Ceremoniał odbył się bardzo skromnie, tylko w obecności świadków. Nie stać go było na przyjęcie ślubne i nie chciał zaczynać życia od długów. Z tego tytułu dowódca i oficerowie batalionu mieli pretensje, z powodu nie zaproszenia na ślub, co było w utartym zwyczaju. Wielki takt i rozsądek dowódcy spowodował pomyślne zakończenie burzy. Reprezentacja korpusu oficerskiego złożyła wizytę, zapraszając młodą żonę do swojego grona. Mówiąc nawiasem pani ta była bardzo lubiana przez rodziny oficerskie a stosunki przyjaźni przetrwały wiele lat. Rozpoczęło się pełne życie towarzyskie. Wizyty, rewizyty, zabawy, wspólne wycieczki w okolice Lwowa. Ten sposób układania stosunków między ludzkich, wytwarzał miłe współżycie. Szkolenie w oddziałach biegło normalnym ustalonym programem. Starszy rocznik, młodszy rocznik a w okresie letnim rezerwa. Nasz podporucznik lubiany prze podwładnych ale był nawet zaskoczony, kiedy po jednym z turnusów rezerwy otrzymał prezent pamiątkowy. Stosunki z dowódcą batalionu układały się bardzo pomyślnie. Doceniał pracę szkoleniową i fachowość naszego podporucznika, a nawet powołał go na adiutanta batalionu i dyskretnie to akcentował, nie wywoływało to zazdrości u kolegów, gdyż oni również to podzielali. Dowódca batalionu był ceniony przez korpus oficerski. Człowiek z dużym doświadczeniem życiowym, brał to życie realnie, prosto bez wyszukanych form. Oficer o ciekawych poglądach, odbiegających od ogólnego kierunku,

reprezentowanego przez ogół korpusu oficerskiego. Bezpośredni o głębokich zasadach demokratycznych nie oddzielał się murem posiadanego stopnia i stanowiskiem od reszty oficerów, poprostu był kolegą. Co ciekawe, nigdy nie miał zawodu służbowego ze strony swoich oficerów. Te formy postępowania bardzo odpowiadały naszemu podporucznikowi, który ten sposób postępowania przyswoił sobie na całe życie. Pobyt w Lwowie jak również istnienie batalionu nie trwało zbyt długo. Następiła reorganizacja wojsk łączności i batalion podzielono na kompanie dywizyjne. Nasz podporucznik otrzymał przydział do kompanii łączności 11 Dywizji Piechoty. Wraz z kompanią w styczniu 1932 roku podróżuje Chełchowskich pociągiem do Stanisławowa. Nie był to przydział atrakcyjny. Dowódca batalionu wyraził to niezadowolenie. Przy rozmowie nawiązał do tego tematu — Wiesz dlaczego tam cię skierowałem? Otóż słaby dowódca kompanii musi mieć dobrego młodszego oficera, chciałem być sprawiedliwy — Pochlebiało to wyjaśnienie ale przydział nie zachwycał. W ~~tym~~ okresie pobytu we Lwowie nasz podporucznik zajmował się krótkofalarstwem kluby te dopiero w stadium rozwojem, to było coś nowego na terenie Polski. Zajmowanie się krótkofalarstwem dawało posmak postępu technicznego. Myślał czasem, jakby wykorzystać ten środek łączności dla celów wojskowych skupić się w tym zagadnieniu i rozpocząć pierwsze kroki. Trzeba zacząć od nadajnika. Trochę wiedzy literatury technicznej i w niedługim czasie nadajnik został zrobiony. Pierwsze słowa, pierwsze

sygnały i pierwsze nawiązanie łączności z innymi krótkofalowcami. Radość z osiągnięć i przyjemność no i postęp w technice. Na początek dał sobie znak samozwańczy SP-BTL. W krótce nawiązał kontakt z klubem krótkofalowców lwowskich i otrzymał oficjalny znak SP2-AB. Na tym znaku chodził w eterze do końca swoich zainteresowań krótkofalarstwem to jest do wybuchu drugiej wojny światowej. Początkowo posiadał nadajnik prymitywny w dalszym rozwoju zbudował nadajnik na poziomie światowym jak na ówczesne czasy. Tysiące kart QSL jako potwierdzenie nawiązanej łączności. Pięć kontynentów. Na tym nie kończyło się. Dalsze eksperymenty na falach ultrakrótkich a wszystko z myślą o potrzebach wojsk łączności. W czasie tych doświadczeń natrafił na zjawisko techniczne, którego nie mógł sobie wytłumaczyć, chodziło o zjawisko przy próbach z galeną. Napisał list do swego wykładowcy profesora Groszkowskiego. Otrzymał odpowiedź ale brak wyjaśnień zjawiska. Powtarzał te doświadczenia, odkładał i znowu powracał. Zajęcia i koszta z tym związane nie pozwalały na dłuższe eksperymenta, odłożył to na późniejsze czasy. Zjawisko to wyjaśniło się po kilkudziesięciu latach, zastosowane zostało w tranzystorach. Kompania łączności 11 D.P. kwaterowała w koszarach 11 pal. Stosunki służbowe z dowódcą kompanii nie były pomyślne nie mogli znaleźć wspólnego języka, gdyż był to człowiek ograniczony a ponadto zero techniczne. Mimo to szkolenie biegło normalnie korpus podoficerski autorytetem otaczał naszego podporucznika co tym bardziej psuło humor dowódcy kompanii i stwarzało uprzedzenia może zazdrość. Warunki terenowe - bliskość gór - stwarzały możliwości

uprawiania narciarstwa. Zgłosił się na kurs instruktorski narciarstwa prowadzony przez płk. Lietkiewicza, jednego z pionierów narciarstwa polskiego. Kurs odbywał się na Zaroślaku. Tu zrozumiał walory tej dyscypliny sportu i stał się jego zwolennikiem. Propagował go w kompanii i pierwszy stosował w pracy wojsk łączności. Pisał artykuły na ten temat do Przeglądu Technicznego, wzbudził zainteresowanie tym tematem a sam się zdziwił, że dostał nagrodę za najlepszy artykuł roku. Nie była to licha nagroda gdyż równała się jednomiesięcznej pensji, poza należnością za napisany artykuł. Rok 1932 dla niego miał nadzwyczajne wydarzenie w domu. Urodził się nam syn. Nadaliśmy mu imię Jerzy Zbigniew. Rósł podrzymany, wielka radość. Moment przyjścia na świat dziecka, stwarzał bardzo głębokie przeżycia. Poród odbył się w domu. Według wszelkich obliczeń lekarskich, poród winien nastąpić dwa tygodnie później. Nie wszystko było przygotowane i nie zarezerwowano akuszerki. Obojgu nie mieli doświadczenia, jak należy przygotować się do takiego przypadku. Poród przebiegał kłopotliwie, pępowina okręcona wokół szyi, groziło uduszenie. Dziecko było sine. Akuszerka chwyciła za nogi i bita w pośladki i policzki aż wreszcie rozległ się szczęśliwy krzyk. Drugie dziecko urodziło się również w Stanisławowie tego października 1935 roku. Tym razem córka. Nadali jej imię Hanna Maria. Poród również odbył się w domu przy asyście tej samej akuszerki. Mając jednak już pewne doświadczenie, wszystko było przygotowane a przebieg porodu był bez komplikacji. Dzieci rozwijały się pomyślnie, matka pedantka pod względem utrzymania czystości i odżywiania uchroniła

dzieci od wszelkich chorób. Od najmłodszych lat Jurek wykazywał duże zainteresowanie rysunkami. Zarysowywał wszelki papier jaki dostał do ręki. Zeszyt wystarczał mu na jeden dzień. Z tych wszystkich grzmot i rysunków udanych, wybierano charakterystyczne świadczące o jego rozwoju i przechowywano je na dalszą przyszłość. Zebrało się ich pokaźna ilość. Ojciec miał zamiar wydać je w postaci książki, charakteryzującej rozwój dziecka pod względem rysunkowym. Postępy w rysunku były czasem zaskakujące. Osiągnięcia te mogły być powodem zdolności wrodzonych lub nadawanego kierunku przez rodziców. Wojna światowa zniszczyła cały ten dorobek, tak mozolnie zbierany przez lata. Drugim zainteresowaniem Jurka, to konie i wszelkiego rodzaju pojazdy mechaniczne. Każde narysowane kółko, to kierownica a usta uzupełniały dźwięki motoru. Z powodów rodzinnych, życie towarzyskie ograniczono, chodziło o opiekę nad dziećmi. Pozostało wąskie grono obowiązkowych wizyt. W międzyczasie zmieniono mieszkanie. Nowi gospodarze okazali się miłymi ludźmi a ponadto mieszkanie znacznie obszerniejsze. W 1932 roku nasz podporucznik zaawansował na porucznika i tak dalej w naszym opowiadaniu będziemy go tytułować. Może tradycja rodzinna ale konie to jego słabość. Lubił konie i dużo jeździł konno. Szczególnie w okresie kiedy do kompanii nadeszły rasowe młode konie. Co prawda był to przypadek, odrzuty remontowe kawalerii trafiły do kompanii, były jednak to konie rasowe, dobre i młode. Musiały jednak przejść okres ujeżdżania zanim poszły do normalnej pracy. Trzeba tu zaznaczyć że pewne zespoły w kompanii wykonywały budowę telefonicznych linii polowych prowadzono z konia, dla uzyskania większej szybkości budowy.

12-ego maja 1935 roku, rozeszła się wiadomość o zgonie Marszałka Piłsudskiego. Żałoba ogarnęła cały naród. Marszałka szanowali nie tylko zwolennicy ale i jego przeciwnicy. Pewien niepokój ogarnął ludzi, co będzie dalej pytano. Cokolwiek można mówić o okresie wpływów Marszałka na rządzenie krajem, trzeba przyznać wielkie znaczenie historyczne jakie miało ono na odzyskanie niepodległości. Historia prawdziwa bez uprzedzeń, przyzna mu tę zaszczytną rolę. Nasz porucznik brał udział w uroczystościach pogrzebowych jako delegat. W Warszawie ostatnia defilada przed zwłokami Marszałka. Wrażenie potężne. Trumna stała na lawecie armatniej na podwyższeniu. Wszystko opasane szarfą orderu Virtuti Militari. Oddziały maszerowały tylko przy dźwiękach werbli. Oddziały konne szły kłusem. Wszystko to stwarzało potęgę uczuć oddawanych człowiekowi, który tak zasłużył się Polsce. Po przejściu defilady i zdjęciu trumny tłumy ludzi rzuciły się na lawetę. Zniknęły szarfy darte na kawałki również kwiaty, zabierano najmniejsze kawałki jako pamiątki. Porucznik był oburzony zachowaniem się tłumu, ale czy można za to ich winić, to też pewna forma odznaki łączności i uznania człowieka szanowanego przez cały naród. Potem sam żałował, że nie zabrał takiej pamiątki. Zwłoki Marszałka przewieziono do Krakowa na Wawel. Tu również porucznik był delegatem, i szedł w orszaku pogrzebowym. Znowu wielkie tłumy ludzi z całej Polski. Werble towarzyszyły temu marszowi a dzwon zygmunta ogłaszał pewien etap historyczny dla narodu polskiego. Rozpoczęto sypać kopiec Marszałka

Dowódcy kompanii zmieniali się co jakiś czas, przyszedł już trzeci ale żadnego z nich porucznik nie darzył zaufaniem, wszyscy to ludzie ograniczeni, opierający autorytet na posiadanym stopniu. - Tak jakby gwiazdki na ramieniu dawały gwiazdki w głowie - mawiał. Wysłużył się długo w funkcji dowódcy plutonu. W końcu przełożeni doszli do wniosku że powinien zostać dowódcą kompanii lecz nie samodzielnej ale w składzie batalionu. Oceniano go, że lubi zbyt dużo eksperymentować. Chociaż opinie jego dowódców, kształtowały się na jego pracy. Rzeczywiście szukał nowych rozwiązań w szkoleniu, dowodzeniu i wyposażeniu w sprzęt łączności. Uważał, że istniejące wyposażenie jest przestarzałe, nie spełni zadania. Potrzebne są nowe środki łączności dla nowoczesnej armii. Właściwie był zadowolony z takiej opinii. W dyskusjach z kolegami mawiał: - chciałbym mieć całe życie takich podwładnych oficerów, którzy lubią eksperymenty, którzy występują z krytyką istniejącego wyposażenia i szukają nowych rozwiązań. Przede wszystkim brak środków radiowych. Posługiwanie się wciąż radiostacjami z pierwszej wojny światowej to już jest nawet śmieszne. Inne armie posiadają już nawet radiostacje przenośne a my wciąż jeszcze szkolimy obsługi aparatów świetlnych o względnej użyteczności dla szczebla dywizji a używamy nawet tarcze sygnalizacyjne do czego one mają służyć. A sprzęt telegrafii przewodowej na przykład aparaty Hugesa, to już antyki, nie nadają się do częstych zmian miejsca pracy. Jak mogę patrzeć spokojnie na taki stan i mówić, tak jest panie pułkowniku lub generale.

chcę otworzyć innym, starszym odemnie, oczy na istniejący stan. Tylko ograniczeni ludzie nie mogą tego zrozumieć.- Wytykał otwarcie błędy które spostrzegał. Za to ponosił konsekwencje w formie przyhamowania awansu. No ale wreszcie jeden krok wyżej, w 1936 roku przeniesiono go do Jarosławia również do 6-ego Batalionu Łączności. /Miał on numer batalionu lwowskiego po którejś reorganizacji/ na stanowisko dowódcy kompanii. Tu miał więcej szczęścia. Trafił na postępowych przełożonych. W pierwszym rzędzie zastępca dowódcy od spraw wyszkolenia mjr. Chimiak doceniał go jako oficera łączności. Wszystkie manewry i ćwiczenia doświadczalne lub szkieletowe wielkich jednostek opędzano jego osobą. Nowy sprzęt sprzęt dawano mu do oceny użyteczności. Jednym z nich były wozy łączności. Skrytykował jednym zdaniem. -Poroniony pomysł.- Po pierwszych ćwiczeniach wozy pozostały w terenie bez kół. Wyleciały tarcze kół.- Moja opinia,- raportował,- to nie ta droga rozwojowa wyposażenia sprzętowego łączności. Musimy zacząć od radiostacji.- Ale ogumione wozy łączności zostały przyjęte. W tym okresie w czasie ćwiczeń z Wyższą Szkołą Wojenną, poznał bliżej generała Kutrzebę, komendanta szkoły. W pewnym sensie był on autorytetem w dziedzinie taktyki. Osobiście jako oficer robił dobre wrażenie. Wykształcony, taktowny i dobry wychowawca czołowej grupy oficerów dyplomowanych. W tymże okresie zamierzano wysłać go na staż do Rumunii, odpadł ze względu na słabą znajomość języka niemieckiego. Pojechał znajomy mu oficer który język niemiecki znał dobrze ale poza tym tempak. Pożytku ze stażu nie było, tak dla nas jak i dla rumunów. Jeszcze drobne przeżycie

z okresu pobytu w Jarosławiu. W tym czasie obowiązywał sprawdzian fizyczny oficerów, ot taki sobie pięciobój. W batalionie byli przeważnie młodzi oficerowie i każdy z nich uważał za swoją ambicję wypaść dobrze w tych konkurencjach. Może z zazdrości a może z przekory do najmłodszych kolegów, jego oficerowie kompanii stawiali na zwycięstwo naszego porucznika. Każda konkurencja kwitowana radością z jego zwycięstwa. Jednym z pupilów dowódcy batalionu był młody podporucznik wykazujący dobre wyniki fizyczne. Jego właśnie rówieśnicy robili wszystko aby go zgnębić. W końcowej fazie pozostały do rozgrywki, floret i jazda konna. We florecie pozostała rozgrywka końcowa naszego porucznika właśnie z tymże pupilem dowódcy. Całe gremium oficerów się zebrało, ciekawi wyników. Walka trwała krótko, trzy złożenia i trzy trafienia dla naszego porucznika. Oficerowie własnej kompanii na rękach zanieśli swojego dowódcę do koszar kompanii. Pozostała jednak jeszcze jazda konna a pupil jeździł dobrze i było dużo wątpliwości czy zdoła go ktoś pokonać. ~~Mło~~ Z tą myślą o swoim pupilu dowódca batalionu ufundował specjalną nagrodę, był pewny sukcesu. Młodsi oficerowie otoczyli naszego porucznika wmawiając, że tylko on potrafi wygrać tę konkurencję. Deklarowali: - Stawiamy kolację, musi pan wygrać tę konkurencję. - Tak, tak, - odpowiadał, - tylko tu jest losowanie koni, ale zobaczymy. - Ostatnia konkurencja: tor przeszkód. Losowanie koni. Zbieg okoliczności nasz porucznik wylosował swojego konia a pupil swojego, przez siebie ujeżdżonego. Miny młodszych oficerów nie były wesołe. - Nie traćmy nadziei - mówili. Nasz porucznik znał dobrze swojego konia, to skoczek, na przeszkodę można najeżdżać bez wodzów, ale może

być szybkość stała, a do się liczy punktacja. Przejść tor, wszystkie przeszkody bez punktu, najlepsza szybkość z dotychczasowych przebiegów. Ktoś zawyrokował, że czyść przeszkód omijających. Na to nasz porucznik - poczekamy na sędziów - ale być pewnym że żadnej przeszkody nie ominął. Teraz jako następny jedzie pułk. Może nawet pewny zwycięstwa, tak wyglądał, koń rozprężony, pierwsza przeszkoda wytamana, druga czysta, trzecia wytamana. Na to nasz porucznik - nie mamy na co dalej czekać, reszta koni się nie liczy, ale poczekajmy na sędziów. - Po rejsie się sędziów potwierdzono, że nasz porucznik pokonał wszystkie przeszkody bez błędów. Nagroda wygrana a kolacja postawiona z wielkim zakropieniem. Mała rzecz a przyjemność duża i dla siebie i dla kolegów. W Jarosławiu nie zagrzał zbyt długo miejsca. Nowi dowódcy uznali, że nadaje się na samodzielne stanowisko i rokuje dobre nadzieje. Styczeń 1937 roku przeniesiony na stanowisko dowódcy kompanii Tęczniej 30 Dyw. Piech. Zaś w sierpniu tegoż roku mianowany kapitanem i w dalszym opowiadaniu, będziemy używać określenia, nasz kapitan. Dowództwo dywizji w Kobryniu. Kompania kwaterowała w Brześciu n/B w twierdzy, tuż przy ujściu Muchawca do Bugu. Kwatery mieszkalne znajdowały się w najstarszych zabudowaniach pierścienia murów obronnych. Stajnie i magazyny po drugiej stronie Muchawca w widłach Bug-Muchawiec. Z kwater do stajni przechodziło się przez most na Muchawcu odległy około 100 mt. odkwater. Sama twierdza nie robiła dobrego wrażenia. Mury grube, często zawilgocone, okna, do dawne otrzelnice armatnie. Całość zabudowań w zamkniętym pierścieniu wzdłuż Bugu

Muchawca i kanałów. To najstarsza część twierdzy. W środku to obszerny plac z kościołem, dowództwem korpusu /Wówczas korpusem dowodził gen. Kleberg/ i „Biały Pałac" kasyno oficerskie. Tutaj podpisywano pokój między Polską a Związkiem Sowieckim. Za rzekami i kanałami, wały obronne, schrony magazynowe i reduty w charakterze fortów jak również zabudowania mieszkalne dla oficerów. Ta część ponownie otoczona fosą i wałami obronnymi. To była nowsza część twierdzy. W odległości paru kilometrów wieniec najnowszych żel-betonowych fortów. Niektóre zburzone, pozostałe służyły jako magazyny materiałów wojennych. W ocenie użyteczności tego obiektu można było przyjąć, że stanowi on poważny bastion obronny gdyby był utrzymany i częściowo uzupełniony. Mógł być wprowadzony w ogólnych założeniach obrony granic wschodnich. A przynajmniej jako wielka baza zaopatrzeniowa dla armii północno wschodnich. W samej twierdzy, poza kompanią łączności kwaterował 30 PAL 16 Batalion Saperów. Poza twierdzą w mieście kwaterował pułk piechoty i batalion pancerny. Nasz kapitan zastał kompanię w opłakanym stanie, tak pod względem kwaterunkowym jak również organizacyjnym i wyszkoleniowym. Poprostu praca od początku. Trochę ludzi, trochę zfatygowanego sprzętu i parę koni. Kompania w garnizonie liczyła się jako kopciuszek. Trzeba przyznać, że nowy dowódca szybko uporał się z tymi niedomaganiami. Na wyposażenie zaczął napływać nowy sprzęt telefoniczny, ba, nawet radiostacje i ogumione wozy sprzętowe. Sprzęt ten był jednak źle rozwiązany technicznie a przede wszystkim ciężki. Przy radiostacjach

prądnice napędzane siłą mięśni rąk. Ten nowy sprzęt już był przestarzały technicznie. Wszedł jednak na wyposażenie mobilizacyjne. O opinie nikt użytkowników się nie pytał, ktoś na górze tak zadecydował i taki sprzęt będzie musiał być w użyciu. Drugi mankament, to użycie tego sprzętu przez kadry dowodzenia. Telefon, jako tako ale radio było poza rutyną dowodzenia, - najprostszym środkiem goniec, jak za króla ćwioczk - mawiał nasz kapitan. Wdrażanie dowódców do używania środków łączności odbywało się na każdych ćwiczeniach sztabów i na każdych manewrach, ale to praca na lata liczona, przy braku przemyślanego nacisku z góry. Bezpośredni przełożony kompani, dowódca łączności dywizji mjr. Marwicz. Nie był to technik łącznościowiec ale dobry żołnierz i wspaniały kolega. Stosunki ułożyły się przyjazne. Sprawy techniczne i szkoleniowe pozostawił całkowicie w gestii naszego kapitana sobie pozostawiając reprezentację. Obydwaj się uzupełniali w pracy. ~~Byliśmy~~ Dywizja była na manewrach jesiennych, kiedy rozeszła się wiadomość o inwazji Niemiec na Czechosłowację. Niektóre z oddziałów biorących udział w manewrach zostały skierowane do zajęcia Zaolzia. Oficerowie nie przyjęli z zadowoleniem tej decyzji. Zdawano sobie sprawę, że dojdzie do starcia z Niemcami, to tylko kwestia czasu. Zajęcie Zaolzia traktowano jako dogodniejszą pozycję graniczną z Niemcami. Bardzo oględne przemówienie ministra Beka sprawiało wrażenie negatywne w sprawie tych posunięć niemieckich. Sprawa czeska zawsze leżała na sercach Polaków, lecz zawsze spotykali się z negatywnymi oddźwiękami z ich strony.

Nasz kapitan znał zakulisowe posunięcia dyplomatyczne władz polskich i wysuwane propozycje ale stanowisko czechów zawsze uparte i nieprzejednane. Wypadki zaczęły się toczyć szybko. Prace mobilizacyjne przyśpieszono, wyczuwało się grozę niebezpieczeństwa. Nasz kapitan po zakończeniu opracowania mobilizacyjnych arkuszy czasowych dla kompanii, pod koniec marca 1939 roku wyjechał do Zakopanego na instruktorski kurs narciarski.

Już w pierwszych dniach odbywały się zjazdy po trasie Fis II. Był to dzień 23 marca. Bez jakiejkolwiek przyczyny nasz kapitan miał wywrotkę, nigdy przedtem nie miał podobnych wypadków. Po zebraniu się i otrzepaniu śniegu stwierdził złamany czub narty. Zmartwiony tym faktem, gdyż do nart tych przyzwyczaił się, a to przecież dopiero początek kursu, zebrawszy narty zchodził pieszo do Zakopanego. Jakieś refleksje napływały. Wszystkie ruchy prawidłowe i wywrotka a do tego złamana narta. Trochę był przesądny, to jakiś znak, myślał, ale co? Gnębiła go ta myśl. Po drodze wstąpił do warsztatu naprew. Tu go pocieszono, że po naprawie narty nie stracą swojej wartości, na trzeci dzień odbiór. Odszedł z tą nadzieją ale już nigdy nie powrócił aby je odebrać. W schronisku czekał telegram wzywający do natychmiastowego powrotu do oddziału „mobilizacja." Nie było czasu nawet na rozmyślanie gnębił go tylko wypadek ze łamaną nartą, to był sygnał, myślał. Zapakował rzeczy i najbliższym pociągiem udał się do Brześcia. Od Krakowa rezerwiści zaczęli zapełniać pociąg. Towarzystwo gdzie niegdzie pijane zapchało przedziały.

Małe awantury. Ten pewien rozgardiasz robił złe wrażenie. Myślał wówczas, - z tą mobilizacją, tak mozolnie opracowaną, jest coś nie w porządku, są jakieś braki, a może to tylko ludzie posiadają braki? Myślał o swoim oddziale, - czy tam jest też tak samo? - Nasz kapitan wprost z pociągu udał się do kompanii. Oddział w pełnej mobilizacji. Był to drugi dzień mobilizacji. Tabela czynności ściśle opracowana oparta na realnych możliwościach. Ktokolwiek z oficerów zastępujących posługiwał by się nią mógł prowadzić tę mobilizację. W czasie nieobecności dowódcy kompanii, zastępował go podporucznik Plisowski. Zameldował - Panie kapitanie kompania w mobilacji, wszystkie czynności zgodne z tabelą i wyznaczonymi czasami, - ale dobrze, że pan kapitan już przyjechał. - zaciągając lekko z wileńska. Krótkie powitanie i przegląd tabeli. Widać na nim było zmęczenie. Mały bałagan niezależny od personelu kompanii, trudności ze złożeniem zaprzęgów do wozów ogumionych. Konie z poboru nieprzyzwyczajone chodzić parami, odchodziły od siebie, bały się ruchu wozów ogumionych - brak turkotu kół. Konie wierzchowe nie pozwalały na nałożenie siodeł. Z dużymi kłopotami wyszła kompania z rejonu zakwaterowania na stację załadowczą, tymbardziej, że pierwszy przejazd po grobli obok Muchawca i każdej chwili można było się spodziewać, że któryś z wozów znajdzie się w rzece. Załadowanie transportu odbyło się sprawnie. Czynności mobilizacyjne zakończono w wyznaczonym czasie. Gdyby jednak zaszła konieczność wprowadzenia kompanii do bezpośredniej akcji zaraz po mobilizacji, to jej połowa nie byłaby pełnosprawną. Takie refleksje nasuwały się naszemu kapitanowi, kiedy zajął już swoje miejsce w pociągu i czekał na sygnał odjazdu.

Składy pociągów przyszły do rejonów koncentracji w wyznaczonym czasie, bez jakichkolwiek zatorów. Rejon koncentracy dywizji to Bełchatów. Odcinek między Wieluniem a Częstochową. Rejon zakwaterowania kompanii Bełchatów gdzie również było dowództwo dywizji. Kompania bardzo duża, składała się 215 szeregowych i oficerów, pięć plutonów, kilkadziesiąt koni, wozy ogumione i z poboru gospodarskie, kilkanaście pojazdów mechanicznych jak motocykle z przyczepami, samochody osobowe i ciężarowe. Sprzęt techniczny łączności od aparatu telefonicznego do aparatu Hugesa ponadto kabel polowy narzędzia do budowy linii telefonicznych a nawet tyczki jako podpory do linii telefonicznych. Teraz trzeba było doprowadzić kompanię do pełnego stanu bojowego. Pełne ręce roboty dla naszego kapitana. W pierwszym rzędzie zgrywanie zaprzęgów, dostosowanie wozów z poboru do potrzeb łączności. W końcu zgrywanie zespołów z równoczesnym wykonywaniem połączeń między oddziałami i obsługą central telefonicznych. Faktycznie pełną sprawność osiągnięto po dwóch miesiącach. W tym czasie pułki piechoty przygotowywały linie obronne. Kopanie okopów i budowa schronów polowych. Czas oczekiwania na wypadki, przedłużał się. Wymieniono roczniki rezerwy i część oficerów rezerwy więc znowu ćwiczenia od początku. W tym okresie wyczekiwania zdarzył się ~~mało~~ nie przyjemny incydent naszemu kapitanowi. Rodziny oficerów przyjeżdżały do rejonu koncentracji. To też i on sprowadził swoją rodzinę i umieścił w jednym z pobliskich folwarków. Właściciela nie było,

majątkiem zarządzał jego brat, który wyraził zgodę na zamieszkanie rodziny. Po jakimś czasie powrócił właściciel. Kapitan uważał za swój obowiązek przedstawić się właścicielowi i natychmiast udał się do jego pokoi. Tu zaskoczenie, właściciel nie chciał go nawet przyjąć, przez otwarte drzwi słyszał wykrzykiwanie:- nie chcę go widzieć, natychmiast niech się wyprowadzi. Kapitan uznał to za obrazę osobistą i wszczął postępowanie honorowe według obowiązującego kodeksu honorowego. Wysłał świadków z żądaniem satysfakcji. Zamiast świadków drugiej strony zjawiła się jego narzeczona. Rzuciła się na kolana przed kapitanem i błagała:- Niech pan zaniecha tej sprawy, wszystko oddam co pan zechce, jedyna moja szansa życiowa, to wyjść za niego. Błagam.- Ta forma zachowania się kobiety, bądź co bądź z towarzystwa, zaskoczyła kapitana, odczuł obrzydzenie do człowieka, który dla tych celów poniżył swoją narzeczoną. Chwilę myślał i rzekł:- nie będę sądził pani, nic nie chcę od pani a ze sprawy rezygnuję, niech pani spokojnie jedzie do domu.- Wystąpiły rumieńce na twarzy kapitana ogarniał go wstyd za tego człowieka, mruczał do siebie,- tylko bić w mordę takiego chama, nie można żądać satysfakcji od takiego człowieka.- Jeszcze tego samego dnia przeniósł rodzinę do innego folwarku, gdzie przyjęta była z wielką serdecznością. Dwa podobne środowiska a dwa światy, pod względem kultury. Właściciel drugiego folwarku był już starszym mężczyzną. Wieczorami dyskutowali o zagadnieniach politycznych i społecznych, od niego

nauczył się patrzeć krytycznie na ustrój wewnętrzny na politykę wewnętrzną i zagraniczną. Czuł się cząstką tej życzliwej rodziny. Graniczne wiadomości ze strony niemieckiej były niepokojące. Niemcy koncentrowali siły, krążyło przekonanie, że dojdzie do konfliktu. Meldunki do dowództw nadrzędnych nie odnosiły skutku, przynajmniej tak przypuszczano. Wielu dowódców nie wierzyło w konflikt a może nie chciało wierzyć, że życie pokojowe się kończy i trzeba będzie dać najwyższą ofiarę jaką człowiek może poświęcić dla Ojczyzny. Wciąż jednak wyczuwało się napięcie. Aby przytłumić ten stan nerwowy zajmowano się w kompanii przeglądaniem sprzętu i usuwaniem najdrobniejszych usterek. To już tylko dla zabicia czasu, wszystkich cechowała jakaś powaga wobec faktów które mogły nastąpić.

Druga wojna światowa

Wiadomości z nadgranicy zaczęły napływać co raz to groźniejsze. Pojawili się nawet dezerterzy ze strony niemieckiej. Nie ulegało już wątpliwości - wojna wybuchnie. Nikt wówczas z naszej strony nie przypuszczał jaką będzie ta wojna. Dnia 30 sierpnia czołowe elementy opóźniające wysunięto na samą granicę. Zorganizowano nowe ośrodki łączności rozbudowano nowe polowe linie telefoniczne. Świt dnia 1-ego września 1939 roku rozpoczął się nalotami lotnictwa niemieckiego. Na całym odcinku dywizji, począwszy od linii czołowej aż do ugrupowań tyłowych grasowały prawie bezkarnie samoloty nieprzyjacielskie. Obrona przeciwlotnicza polegała tylko na broni maszynowej. Działa przeciwlotnicze miały być przydzielone z niewiadomych przyczyn nie dołączyły na czas.

Pojawiła się nieprzyjacielska broń pancerna. Do zwalczania jej dywizja posiadała tylko specjalne karabiny przeciwpancerne o względnej skuteczności jeśli chodziło o grubość pancerza. Piechota nie wdrożona do walki z czołgami a przede wszystkim nie miała czem ich zwalczać. Nie przemyślano aby do tych celów użyć działa 75 mm z zastosowaniem ognia bezpośredniego. Jedyne wytłumaczenie, to brak koncepcji w tym względzie. To już nasuwające się pierwsze spostrzeżenia z tych prawie pierwszych godzin walki. Tegoż ranka, ordynans wszedł na kwaterę kapitana i prawie cichym głosem wyszeptał: - panie kapitanie wojna -. Już słyszę - odpowiedział kapitan. Nie zastanawiał się nad grozą wojny, nie było czasu, tylko język poruszał się jakoś leniwie. Jakieś drobne polecenie dla ordynansa wsiadł do samochodu i wyjechał do pierwszej linii walki gdzie miał wysunięte elementy łączności. ~~Małe~~ Po drodze widział tylko naloty aż do horyzontu. Małe miasteczko Praszka dokąd się udawał całkowicie zbombardowane całe miasto w ~~ogniu~~ płomieniach. Wjechał na mały rynek. Wokół paliły się wszystkie domy. Na środku rynku na ruchu strażacka motopompa i jeden strażak, trzymał w ręku prądnicę i starał się gasić pożar. Beznadziejność pracy również odwaga rzucały się w oczy. W pewnym momencie obejrzał się za siebie i stwierdził, że jest samotny, zaklął dosadnie, rzucił węże i spokojnie odszedł w jedną z ulic. Na rynku leżały zawartości sklepów, część popalona, leżeli zabici, duże wyrwy po eksplozjach bomb lotniczych. Miasteczko wydawało się wymarłe. Obraz przerażający, przecież to pierwszy dzień wojny i nikt nie był oswojony z jej grozą.

Kapitan udał się do najbliższego dowództwa batalionu aby zasięgnąć informacji. - Co słychać na przedpolu panie majorze - zapytał. - No cóż zadaniem naszym jest opaźniać - odrzekł major - co się da i idzie powoli seyzoryk. Bardzo dokuczą nam lotnictwo, broni pancernej dotychczas nie stwierdziliśmy, lecz natarcie duża siła, dużo ognia artylerii. Pan jedzie do dowództwa dywizji niech pan zabierze tego jeńca, to pierwszy, może się przydać w dywizji. Jeniec ranny w rękę, zachowywał się spokojnie. W naszej nomenklaturze do podchorąży, należał do związku artylerii. Po przybyciu do sztabu i oddaniu jeńca pod opiekę wywiadu, został wezwany na centralę telefoniczną. Krzyżat dowódca wydziału drużyny telefonicznej. Podoficer meldował: - panie kapitanie piechota się wycofała, co mamy robić? - Czy jesteście pewni, że piechota całkowicie się wycofała zapytał. - Tak jest, usłyszeliśmy już za płotem, złapie nas za dupę - dodał z humorem. - Nie zwijać kable wycofać się - rzucił do mikrofonu. Tu rozmowa się przerwała. Oczekiwał z niecierpliwością, co mogło stać się z tą drużyną. Krótka bez szwanku ale była w ciężkiej sytuacji. Oddziały opuszczały pierwszą linię osłony. Należało teraz likwidować linie telefoniczne i wydzielone ośrodki dowództwa dywizji w Pajęcznie. Kapitan przygotowywał się do odjazdu, elementy oddziałów tyłowych już odeszły na nowe miejsca pracy. Spóźniał się wieczór, kiedy nagle zaskoczył go nalot bombowców. Nalot objął osiedla i drogi a prawdopodobnie miał za cel zniszczenie stanowiska dowódcy dywizji,

Przed pół godziną, sztab opuścił to miejsce. Pierwszy raz kapitan znalazł się w bezpośrednim bombardowaniu. Może dlatego, że to pierwsza bezpośrednia styczność z tym niebezpieczeństwe a może dlatego, że było to zaskoczenie, kapitan przeżył to głęboko. W czasie wojny dużą uwagę przykłada się do momentu pierwszej styczności z nieprzyjacielem, gdyż wynik tej pierwszej styczności, bardzo długo ciąży na duchu oddziału. Ten moment bezsiły zaciążył również na naszym kapitanie, zawsze czuł respekt do nalotów lotnictwa mimo że ogień broni ręczne, maszynowy, czy ogień artylerii nie robiły na nim wrażenia. Po tym wypadku analizował swoją psychykę, myślał: - dlaczego aż tak się bałem, dlaczego w tym momencie myślałem tylko o rodzinie, przecież nie każda bomba trafia, huku się nie boję a jednak trudno mi było opanować swoje nerwy.- Otrząsnął się z tych wrażeń i już spokojnie włączył do wycofujących się kolumn. Całą noc trwał marsz na nowe miejsca obrony. Na początek walk wydawało się, że to makabryczny marsz nocny, chociaż bezpieczny od nalotów. Drogi pełne pojazdów z uciekinierami kompletnie zatłoczone. Wozy, samochody, odziały, posuwały się z jednakową szybkością. Dopiero nad ranem kiedy ukazały się pierwsze samoloty, drogi opusztoszały. Kontynuując to opowiadanie pominiemy przebieg tych operacji. To będzie należeć do historyków dysponujących pełnym materiałem źródłowym. Oni wynajdą bohaterów, tego lub owego usprawiedliwią innych zganią albo będą analizować

coby było, gdyby było. Pozostawmy im to gdybanie. Jak to przyjemnie pisać historię gdzieś w zacisznym bezpiecznym miejscu. Jak wielka jest różnica psychiki tych ludzi, którzy tę historię tworzą, czasem ofiarą swojego życia. Dalej zajmować się będziemy tylko osobistymi przeżyciami i faktami w który brał osobiście udział nasz kapitan. To tylko taka sobie mała dygresja. Obrona odcinka nad Widawą w rejonie Szczercowa, przygotowywała dywizja od marca. W tym okresie odwiedzał często dywizję gen. Rómmel. Zresztą tylko dzięki niemu ta obrona została przygotowana. Sieć łączności telefonicznej na obronie była rozbudowana. Dywizją dowodził gen. Cechak, z zawodu artylerzysta. Oficer ten nie robił dobrego wrażenia na naszym kapitanie, starał się go unikać. Bezduszny, pozer, o małej kulturze osobistej ale jako żołnierz, dobry. Wykonał wszystkie zadania jakie na niego nałożono. Nigdy nie opuszczał swojego stanowiska dowodzenia ale oficer starej daty. Już od rana pierwszego dnia walk na linii obrony, przyszły ciężkie naloty nieprzyjacielskie. Jeszcze wozy ucikinierów nie zdążyły opuścić dróg, i oni ucierpieli najwięcej. Droga usłana trupami ludzi, matki i małe niemowlęta trzymane przy piersi, pogrążał ten sam los. Dużo zabitych koni, rozwalonych wozów czerniło się na drodze do końca jej widoczności. To pobojowisko, cmentarz, ludzi uciekających przed grozą wojny. Droga ta czyniła makabryczne wrażenie. Zatykało dech w piersiach, budziła się żądza zemsty. Czy wogóle można było dokonać takiej czy podobnej zemsty, to kwestią sumię

Walki na linii obrony trwały dwa dni, dopiero trzeciego dnia rozpoczęto wycofywanie się na kierunek Łodzi. Sąsiednie dywizje wycofały się już zbyt daleko za linię obrony 30 D.P. Poprostu dywizja została zagrożona otoczeniem. Niestety już nie uniknięto zagrożenia i pierwsze wyjście odbywało się przez dwukilometrowe gardło. Całą operację wycofania przeprowadzono w ciągu nocy. Ogień artylerii z obydwuch stron. Nie jednak sprzyjała i dywizja wyszła bez większych strat. Dalszy marsz z małymi utarczkami odbywał się w ciągu dnia, bez względu na naloty. Oddziały szły po trasie gdzie w dniach poprzednich trwały walki, leżeli zabici leżał rozbity sprzęt polski i niemiecki gdzie niegdzie spalone osiedla. Tędy szły niemieckie jednostki pancerne. Dochodziły wiadomości, że niemcy są już pod Warszawą. Zdawano sobie sprawę, że to dopiero początek a droga za Wisłę jest jeszcze daleka. W czasie tego odwrotu nasz kapitan myślał tylko o zachowanie całości kompanii bo przecież w takich warunkach nikt o łączności telefonicznej nie myślał. Ba nawet o wyżywieniu nikt nie myślał, nie było możliwości ugotowania strawy, zresztą kuchnie gdzieindziej a wojsko gdzieindziej. Suchar i zwykła woda, to wszystko. Sen, to chwilowy odpoczynek, każdy spał tam gdzie zastał go odpoczynek. Ślady walki na każdym przemierzanym kilometrze. Droga, wieś usytuowana prostopadle do niej, dalej droga przez pola. Tuż przy drodze w rowie pozostawione działo 75 nym wycelowane na wyjście drogi ze wsi. Wokół działa pełno łusek. Z samej pozycji działa i jego usytuowaniu, można wnioskować, że zadaniem jego, to obrona przeciwpancerna, ogniem bezpośrednim.

Zmęczenie, kurz, stwarzało jakiś dziwny obraz tego porzuconego działa. Kapitan zszedł do rowu, myślał czy był tu sukces, tyle łusek, zapewne tak. Miał słabość do tej broni, przecież to niedoszły artylerzysta. Na najbliższym odpoczynku wyjął notatnik i notował.

Łzy

Szedł żołnierz drogą,
twarz kurzem okryta
szara jak mundur.
Policzki wpadnięte,
usta w pręgi spękane poprzeczne,
krwią zaznaczone.
Tylko z pod hełmu dwa płomienie błyszczą.
Karabin ręką do boku przyciska,
plecy schylone, plecak je naciska.
Kurz co na drodze wzbity przez kolumnę,
kład się do rowu i pełzał na pola.
któraż to noc w marszu - myśli.
Dzisiaj siódma, a dniem walki trwały.
W głowie szum się wzmaga,
oczy mgłą zachodzą.
Tumany kurzu dziwne kształty tworzą,
wielki jak chmury kroczące przed burzą.
Lecz w tym jakiś głos usłyszał bliski.
Niby szept i niby skomlenie.
Weź mnie!
Coś cicho woła gdzieś w przydrożnym rowie.
Weź mnie!
Jam dobre - znowu się ozwało.

Stanął i patrzy, tuman się oddalił.
Wrowie przy drodze przyczajone nisko,
zobaczył działo, stało ono blisko.
Lufa prze tarczę w jego stronę patrzy
Zda się ziemię głaszcze usypaną wokół.
Głos znów się ozwał, jakby błagał o coś.
Dwie wojny zamną chcę ci służyć jeszcze.
Weź mnie!
Żołnierz zszedł do rowu, wokół łuski puste,
leżały jak snopy rzucone na polu.
Wsparł rękę na dziale, jakby głos chciał zciszyć.
Spojrzał prze celownik.
Dwie rysy krzyżem przecinały pole,
zimne i martwe stanęły na celu,
gdzie pasmo drogi do wsi się chowało.
Zamek otwarty czeka na pociski.
Spojrzał prze lufę, skręty gwintów iskrzą,
lufa pełna blasku.
Żołnierz wstał i wyszedł na drogę.
Na pierś głowę zwiesił.
Tylko z pod powiek dwie łzy jak kule
upadł na ziemię.
Utonęły w piasku.

Znowu marsz miejscowość Dłutów, to miejsce postoju G.O. dowodzonej przez gen. Thomme. w skład tej grupy wchodziła również 30 D.P. Z chwilą przybycia do tej miejscowości kapitana ze swoją kompanią, zastał tu drugi rzut dywizji jak również drugi rzut swojej kompanii, który skierował na Warszawę, łącznie ze swoim samochodem służbowym, którego już nigdy więcej

nie spotkał. Pozostał tylko w letnim mundurze i mapnikiem, oraz koniem służbowym. /na wyposażeniu miał dwa środki lokomocji, konia i samochód osobowy/ ~~Naloty~~ Tego dnia naloty trwały bez przerwy. W tym czasie przekraczała wieś bateria artylerii, zginęło parę zaprzęgów dział, bateria unieruchomiona. Dowódca baterii wszedł do najbliższego domu i strzelił sobie w głowę. Przecież nie popełnił on błędu, straty nie były jego winą, a jednak nie mógł tego przeżyć. Ogólne zdenerwowanie działało na psychikę człowieka tak głęboko, że mógł on popełnić samobójstwo. Kierowca samochodu kapitana w czasie odjazdu widział jak bomba wybuchła w pobliżu kapitana, był przekonany, że on poległ, ale szczęście mu sprzyjało, został tylko lekko kontuzjowany. Wiadomość ta dotarła do jego żony, jeszcze przed zakończeniem kampanii. Dywizja wycofywała się po osi Dłutów - Skierniewice. W tej tak ciężkiej sytuacji, kompania trzymała się zwarcie. Kapitan pozostawił konia Luzakowi a sam pieszo szedł na czele kompanii. W tym marszu żywiono się tym co żołnierz miał przy sobie a więc suchary i zimna woda, bo nawet nie było czasu jej zagotować. Żołnierz zmęczony, od paru dni nie zdejmowano butów z nóg a spano tam gdzie zastał ich odpoczynek. Czasem na stojąco oparłszy się o drzewo. Mimo to nie czuło się rozluźnienia dyscypliny nikt nie narzekał, oficerowie kompanii

zawsze na swoich miejscach, panował jakiś spokój, dziwny spokój pola bitwy. Jakaś zaciętość w tej beznadziejnej sytuacji, na tej nieznanej drodze do najbliższej przyszłości. Przebijano się przez oddziały niemieckie w dzień albo nocą, broniono się przed oddziałami niemieckimi które naciskały na osłaniające straże tylne. Przed wejściem do lasów w rejonie Skierniewic, kompania posuwała się drogą na wyniesionym terenie. Na najwyższym punkcie tego odcinka drogi, stały dwa domy otoczone zadrzewieniem dotykającym terenu zalesionego, wyglądało, że była to leśniczówka. Na wysokości tych domów z tyły, nadjechała kłusem bateria artylerii własnej. Zbliżył się do kapitana ogniomistrz tej baterii z wołaniem: - z tyłu czołgi niemieckie, jechać kłusem. - Kapitan natychmiast przejrzał teren na tyłach kompanii ale czołgów nie dojrzał, chociaż przy tym zadrzewieniu terenu trudno byłoby je zobaczyć. Na wszelki wypadek postanowił rozrzucić kompanię w tyraliery pozostawiając na drodze tylko sprzętowe wozy łączności, licząc się z tym, że kolumna zwarta kompani w wypadku pojawienia się czołgów, byłaby katastrofą. Kapitan przywołał dowódców plutonów, wydając rozkaz: - plutomani w tyraliery, dowódca drugiego plutonu na czołowym wozie, posuwa się na wysokości tyraliery, kierunek

marszu bez zmiany. Rozkaz wykonano natychmiast i w zupełnym porządku. Kapitan sam pozostał na końcu kompanii mając na uwadze obserwację terenu z tyłu. Bateria nerwowo naciskała na tył kompanii przymuszając do marszu kłusem. Aby uniknąć zamieszania kapitan kazał mijać kolumnę kompanii, co bateria natychmiast wykonała, wyprzedzając kompanię. W tym momencie nadjechał z tyłu samochodem płk. Łakiński, dowódca artylerii dywizyjnej, wjechał w kolumnę i między działami i wozami łączności dotarł do czoła kolumny, zatrzymując ją. Doszło do scysji między pułkownikiem a oficerem łączności, który prowadził kolumnę swoich wozów zgodnie z rozkazem dowódcy kompanii. Jaki był przebieg scysji kapitan nie wiedział gdyż był dość daleko na tyle kolumny. Tu musimy wybiedz trochę do przyszłych lat. Dopiero po paru latach kapitan dowiedział się, że jego oficer został uderzony w twarz przez pułkownika. Zamiast bić swojego oficera prowadzącego baterię, który powodował haos, bił obcego, zawsze to łatwiej przychodzi zwalić winę na kogoś. Zatrzymana kolumna była doskonałym celem dla nieprzyjaciela widocznym z dużej odległości. To też w tej chwili przyszła pierwsza seria pocisków artyleryjskich, a zaraz druga. Płk. Łakiński wskoczył do samochodu i ruszył w stronę

widocznego z dala lasu. Za nim przez galopem cała kolumna. W tym zamieszaniu, działo z jaszczem wyrwało się do przydrożnego rowu, jeźdźcy zeskoczyli z koni i uciekli do lasu. Przeszły wreszcie serie pocisków artyleryjskich, i ciszej. Kapitan zorientował się, że pozostał sam i działo z końmi w rowie. Rozejrzał się po najbliższym terenie, czy aby jakieś patrole nieprzyjacielskie nie zbliżały się w tym rejon. Ciszej, tylko słychać oddechy zmęczonych koni. Podszedł do działa z myślą, że może da się go wyratować. Zaprzęg stał przy rowie tylko koni dyszały przewrócony w rowie i przyciśnięty dyszlem w rytym w ziemię. Próbował podnieść dyszel, - za mało sił - żeby jeszcze którekolwiek żyło i popędził konie ciężkie może dałoby się podnieść konia leżącego, który tarasował koła przednie - tak myślał - ale do strefy międzyfrontowa i nie można ryzykować, gdyby jeszcze ktoś żył, przynajmniej jeden żołnierz, który mógł zabezpieczać i coś mieć powiedzieć ale to zupełna pustka, do lasu gdzie znajdowały się własne oddziały dość daleko może dwa kilometry, równina, ten teren trzeba przejść. Był zupełnie przygnębiony i zdecydowany na wszystko. Nie widząc możności zabrania działa wyszedł na drogę i wprost prowokacyjnie

szedł środkiem drogi udając się w stronę oddziałów własnych. Na pół drogi podjechał luzak z koniem. Nieśpiesznie dosiadł konia i spokojnie dojechał do własnych linii piechoty. Po dojechaniu do linii lasu, wybiegł wspomniany pułkownik, gestem teatralnym trzymał w ręku pistolet, potrząsając nim krzyczał szyderczo - bohater kuli nie wart - Popatrzył na niego ze zdziwieniem i pomyślał: to dobry aktor, odwrócił się, już sięgał po pistolet ale splunął i odszedł do własnego oddziału. Całemu temu widowisku przypatrywał się dowódca dywizji wraz ze sztabem, wszyscy wiedzieli czyja wina, lecz dowódca dywizji nie zareagował, udawał, że nie zauważa, a może obawiał się aby nie wybuchła większa awantura co w takich okolicznościach nie poprawia atmosfery. Przytoczony tu wypadek jest przyczynkiem o stosunkach panujących w wojsku, że starszy zawsze ma rację. Dowódca dywizji jednak należycie ocenił kapitana i w końcowej fazie kampanii podał go do odznaczenia krzyżem Virtuti Militari. Oczywiście nie był to jedyny wypadek oceniany pozytywnie, było ich więcej. Ale o tym w dalszej części naszego opisu. Kapitan bardzo negatywnie ocenił zachowanie się pułkownika. Był to bufon i aktor, grał rolę dla swojej kariery. Tak było i w tym wypadku. Kiedy zatrzymał kolumnę na

na najwyższym punkcie terenu, niby starając się utrzymać porządek. Zapomniał tylko, że niemcy mogą to widzieć i będą strzelać, jak do kaczek, co się też stało. W końcu aby zatuszować swoje nierozsądne zachowanie zagrał scenę z kapitanem. Zresztą zawsze ze wszystkiego potrafił się wywinąć, chociażby cudzym kosztem. To też pewna sztuka. Kapitan chciał jeszcze zaryzykować i udać się z grupą żołnierzy aby wyciągnąć to działo. Jednak sytuacja zmuszała do dalszego wycofywania się i organizowania na nowo do przebijania się przez otaczające oddziały nieprzyjacielskie. Tak dotarła pozostałe jeszcze reszty dywizji do zalesionej części poligonu pod Skierniewicami. Kompania łączności nie wykonując już czynności łącznościowych, stanowiła zwykłą jednostkę walki, trzymała się zwarcie i nie ulegała psychice nieładu. Do rejonu koncentracji kompanie wchodziła ze swoim dowódcą w kolumnie czwórkowej, co w tym czasie było już nie spotykane. W pewnym momencie nadleciał samolot niemiecki, pikował na czoło kolumny. Kapitan szedł na czole kolumny i obserwował samolot. Wydawało mu się, że widzi dokładnie twarz pilota, czekał kiedy odda serię, trochę uchylił się od linii strzału i zobaczył bok kadłuba samolotu, odetchnął, obejrzał się na kompanię tylko pierwsze dwie czwórki były zmieszane reszta kompanii pozostała w szyku.

Było to pewnego rodzaju zaskoczenie, tak że bezcelowa byłaby komenda na otwarcie ognia. Lotnik nie oddał serii. Kapitan po tym wypadku zastanawiał się, co mogło być przyczyną uniknięcia masakry. Pewien łut szczęścia i może pilot nie był pewnym czyje to są wojska, może zacięły się karabiny a może zabrakło amunicji. Takie zachowanie się oddziału może wydawać się dziwne, ale przy zmęczeniu tempieje wrażliwość nawet na ataki lotnictwa, przeciw któremu prawie nie było środków walki. Elementem pozytywnym tego incydentu był fakt, że w obliczu niebezpieczeństwa oddział utrzymał swoją zwartość. Miało to również dodatni wpływ na oddziały już tam zebrane a morale ich poderwane przez poniesione duże straty. W tych lasach resztki dywizji zatrzymały się do wieczora. Całkowicie został zlikwidowany jeden z pułków dywizji, zakopano sztandary pułkowe, jak również ciężki sprzęt łączności. Już o zmroku wymarsz w kierunku Warszawy i perspektywa ponownego przebijania. Który to był dzień bitew, myślał kapitan, może dziesiąty? stracił porządek czasu, dzień łączył się z nocą, niewiadomo co było dniem a co nocą zawsze istniały te same prawa i rygory - walka. Już nie było żywności ale nikt o tym nawet nie wspominał, wyciągano resztki sucharów

zagubionych gdzieś w zakamarkach wozów, jakaś brukiew marchew, to co jeszcze było na polu. Pluton kwatery głównej pozbywszy się sprzęgu samochodowego, wszedł do kolumny kwatery głównej dywizji. Pozostałe plutony na wozach ogumionych tworzyły oddzielną kolumnę. Tuż przed wymarszem pojawił się 6 psk pod dowództwem ppłk Mossora. Dowódca dywizji gen. Cechak w towarzystwie oficera operacyjnego, kolegi kapitana z czasów szkoły podchorążych, podeszli do kolumny kapitana. Dowódca dywizji dał rozkaz: Z tym rautem kompanii /znaczy rzut na wozach ogumionych/ pujdzie pan za kawalerię. Odpowiedź kapitana: tak jest panie generale. W tym momencie kapitan poczuł żal do dowódcy dywizji, że oddzielił go od własnych oddziałów dywizji i nie dał żadnych dalszych wytycznych. Spojrzał jeszcze na grupę oficerów sztabu, gdzie był również jego bezpośredni przełożony, dowódca łączności dywizji major Maron-Marwicz. Oficer o dużym takcie, koleżeński, odważny, chociaż technicznie słabo przygotowany ale w każdym wypadku była to jednostka pozytywna w wojskach łączności. Kapitan zasalutował majorowi na pożegnanie, był z nim w przyjaznych stosunkach. Nie przypuszczał wówczas, że jest to ostatnie ich pożegnanie. W ostatnim przebijaniu się do Warszawy a później do Modlina, zginął wraz z innymi oficerami sztabu

Kapitan zameldował się u dowódcy 6 p.s.k. Znał tego oficera z ćwiczeń z Wyższą Szkołą Wojenną gdzie on był wykładowcą. Przyjął go zupełnie obojętnie, bez jakichkolwiek wyjaśnień, kazał tylko dołączyć na koniec kolumny pułka za baterią artylerii. Po jakimś czasie dołączył karabin maszynowy ciężki /taczanka/ i działko przeciwpancerne. Z wypowiedzi innych oficerów dowiedział się, że ogólny kierunek marszu Góra Kalwaria - Grójec. Marsz na przełaj nocą przez lasy, bez map, na wyczucie. Dziwiło kapitana, że oficer tej rangi dowodzący oddziałem samodzielnie działającym, tak tajemniczo się zachował.
- Jestem jak tabakę w rogu - myślał. Powrócił do kompanii sprawdził ustawienie kolumny i czekał na rozpoczęcie marszu. Już noc. Zmęczenie po nieprzespanych kilku nocy dawało znać o sobie, konie również były zmęczone jak to się mówiło, „rozkraczały się". Tylko żołnierze na wozach mogli się zdrzemnąć. Kolumna ruszyła, co chwilę zatrzymywana na krótszy lub dłuższy czas. Marsz szlamażarny traciliśmy osłonę nocy. Kapitan był tak zmęczony, że zasypiał na koniu a od czasu do czasu głowa padała na końską grzywę. Przesiadł się na wóz aby choć parę minut zdrzemnąć się odzyskać trzeźwość. Świtało. Kolumna wyszła z lasu na szosę Częstochowa - Warszawa. Jakiś kilomet szosą i znowu kolumna zeszła do lasu w stronę Grójca.

Wzdłuż drogi biegła trasa kabli niemieckich, łącznościowcy natychmiast je przecięli. W tym momencie usłyszano daleki dźwięk motocykla, pewno gońcy, z za górki wyskoczyli motocykliści i wpadli wprost w kolumnę znajdującą się na drodze, kierowca starał się wyminąć wozy. Na jednym z nich siedział kapitan, już oprzytomniał, chwycił za karabin, nie mógł strzelić gdyż na linii celu byli właśni żołnierze. Niemcy nie mogli wytrzymać psychicznie i zwalili się do rowu. Tu był ich koniec, roztrzaskano im głowy. Kolumna zeszła z drogi do lasu na jej drugiej stronie. Chwilowy odpoczynek. Zastawiamy ze strzelców pułapkę przy drodze. Wiadomo jest, że powinien nadjechać patrol do usunięcia uszkodzeń na linii telefonicznej. Po niedługim oczekiwaniu nadjechały dwa motocykle z przyczepami. Ci zostali również wykończeni. Te dwa wypadki trochę ożywiły żołnierzy minęła senność nocna. Dalszy marsz drogą leśną. Przy wylocie, wejście do wsi. Nazwę jej nikt się nie interesował, ot wieś jak wiele innych mijanych. W pewnym momencie podbiega do kapitana mężczyzna z tej wsi i woła: - Niemcy - wskazując na szosę która pod kątem zbiegała się z końcem czy początkiem wsi. Dwa samochody terenowe i motocykl. - Na stanowiska - zawołał kapitan. Podpuszczono ich zupełnie blisko. Strzał z działka unieruchamia samochody, strzelcy biją po ludziach, pan wyskoczyło,

skryli się do rowu. Tylko dwuch uciekło, reszta zabici, jeden ranny a było ich piętnastu. Motocykl na ruchu, oraz mapa tych okolic, to ważna zdobycz. Z mapą i jeńcem udał się kapitan do ppłk Mossoro aby zameldować wynik potyczki, miał na uwadze, że może teraz pułkownik da jakieś wytyczne, wskazówki, lecz i teraz się zawiódł z tym, że utracił mapę na rzecz pułkownika. Cały ten przebieg i tajemniczość sytuacji męczyły go, dlaczego nie mówi się otwarcie o istniejącej sytuacji, dlaczego nie mówi się jaki jest cel tego działania, przecież to elementarne zasady dowodzenia. Te i inne myśli zaczęły go gnębić nawet niepokoić. Do kompanii powrócił niezadowolony z tej rozmowy. Powstawały wątpliwości. Czyżbyśmy byli już tylko tropioną zwierzyną. Jaki jest cel tego działania. A może pułkownik sam nic nie wie? To byłoby jeszcze gorsze. W kompanii opowiadano sobie szczegóły tej akcji, cieszono się z sukcesu. To jedyna jasna plama czy plamka w tym całym ciemnym obrazie. Kolumna ~~Maszerujemy~~ dalej ~~Weszliśmy~~ osiągnęła rejon lasów pod Osuchowem niedaleko Grójca. Tu miał być odpoczynek i gorący posiłek. Kompania otrzymała rejon dozorowania na wylocie lasu od strony Osuchowa. Kuchnia ułańska, bo własnej nie było, zaczęła dymić, widoczne połcie wieprzaka ożywiły nadzieje na gorącą strawę, bo już od tygodnia żołądki były

napełniane tylko sucharami i wodą. Zaczęto karmić i poić konie, ale po wodę trzeba było udać się do wsi. To też kolejno zaprzęgi udawały się do studni wiejskich. Kapitan rozdzielił rejony dozorowania na poszczególne plutony. Sam zaś chciał zobaczyć co się dzieje z jego stopami, bo od tygodnia nie zdejmował butów i odczuwał bóle stóp. Tuż przy drodze wylotowej z lasu zauważył małą polankę i dołek z wodą. Przysiadł i zdjął buty, stopy wyszły ale bez skarpetek one zostały w samych czubkach butów. Zaczął obmywać nogi, to prawdziwa przyjemność myślał, taka mała ilość wody a może dać tyle radości, myślał. W tym momencie zaważył, że jedna para zaprzęgowa pędzi galopem od wodopoju. - Psia krew, konie zmęczone a jemu się chce galować. - Nim zakończył te przekleństwa, jezdny meldował: - we wsi są niemcy, widziałem dwie kompanie. To wystarczyło za wszystkie wyjaśnienia. Buty natychmiast na nogi i to pośpiesznie. - Porucznik Plisowski weźmie patrol, jedna drużyna, uda się w stronę wsi, tym językiem lasu, stwierdzić co się tam rzeczywiście dzieje. - Oficer sam wziął karabin i z drużyną udał się na wyznaczone mu zadanie. Kapitan obserwował ruch

patrolu pokrawędzi lasu. Pojedyńcze strzały z początku, potem częstsze. Patrol wycofywał się na własne linie. Dowódca patrolu potwierdził ocenę jezdnego. Stanowiska kompanii obejmowały tylko rejon drogi wychodzącej na Osuchowo, bo całej obszernej lizyjery lasu, komania nie była w stanie obsadzić a nawet dozorować. Zachodni skraj tego lasu obsadzał 6 p.sk. Za chwilę kapitan otrzymuje meldunek od lewego plutonu. - Kompania nieprzyjacielska wzdłuż lizyjery lasu posuwa się w naszą stronę. Tu już ogień broni maszynowej. Ocena prosta, batalion z artylerią. Jedyne wyjście walczyć do końca. Ogień broni ręcznej wzmagał się, na lizjerze lasu po obu stronach, jak również wewnątrz lasu, co świadczyło że kompania jest otoczona. Kapitan wziął karabin z wozu i klęknął za dość grubą sosną na miejscu gdzie mógł obserwować przebieg walki jak również sam mógł skutecznie strzelać. Przed nim z pola zbliżała się tyraljera niemiecka, obok niego paru żołnierzy z kompanii. Czekał na zbliżenie się niemców, miał już pewny strzał, a strzelał dobrze, ale jeszcze chwilę, wydawało się, że czas stanął, już nie słyszał innych strzałów zaabsorbowany celem. Palec na pierwszym oporze spustu, trzyma niemca na muszce. Przeciwnik wyciąga łopatkę aby się okopać. Teraz, błysnęła myśl, ale palec jakby zatrzymał się na miejscu.

Czyni wysiłek aby przekroczyć tę granicę. Pada strzał. Przeciwni jakgdyby nie posiadał kości, zwala się na ziemię. ~~[illegible]~~ Składa się do drugiego. W tym momencie słyszy uderzenie pocisku w drzewo, tuż nad głową, widzi ślad wlotu pocisku na korze drzewa, ktoś strzelił z tyłu. W pierwszym momencie myślał, że to zabłąkany pocisk ale za chwilę drugie uderzenie pocisku i ślad centymetr nad głową. To ktoś celuje. - myślał - to drugi raz śmierć zajrzała mu w oczy. Kładzie się na ziemię aby stać się mniej widocznym. Ogląda się na wozy, tu pewne zamieszanie, niemcy między wozami. Żołnierze prowadzą ppor Przewoźnika do jednego z wozów, jest ranny, przestrzelona twarz. Otrzymuje meldunek, że dowódca plutonu radio ppor. Plisowski - zabity. Jeszcze oddaje dwa strzały do bliskich celów, ale niemcy wśród wozów rozbrajają jego żołnierzy. Muzg pracuje gorączkowo, co dalej? Poddać się? To niemożliwe, nie dopuszczał takiej myśli. Niemcy już kilkanaście kroków od niego. Chwyta do ręki pistolet i komenderuje - za mną - Grupa która znajdowała się wokół niego ruszyła. Błysnęła mu myśl - polanka to najbardziej zarośnięta część w tym rejonie, tu może być wyjście. Rzędem biegną przez polankę i na przeciwległej ścianie wpadają wprost na rozłożoną

niepozjacielska kyraliere. Strzelanina ze wszystkich stron. Przebiegając obok rannego niemca, jest zupełnie szary, opatruje go niemiecki sanitariusz, przebiegają, nie czasu na strzelanie, ogień nieprzyjacielski nie ustaje, ale grupka ta oddala się i ginie między drzewami z pola ostrzału. Wszyscy wyszli bez szwanku. Dobry los ocalił ich od śmierci a najmniej od niewoli. Duże uczucie wdzięczności dla tych drzew, dla tego lasu. Gdy znaleźli się wgłębi lasu, musieli odpocząć po tym biegu. Mały rozpęd, dlaczego to wszystko się udało? Przecież przebiegli parę kroków od nieprzyjaciół którzy nawet nie użyli broni, pewnie ze strachu, ogień broni maszynowej, dużo strzałów, to wszystko otworzyło ogień po ochotniczym z wrażenia, teraz to było już za późno, las zakrył ich. No cóż, zaskoczenie stwarza nadspodziewane sytuacje. Trudno to nazwać nakazem, to szarża piechoty. Z tą małą grupą żołnierzy, kapitan udał się na zachodnią linię lasu, bronioną przez 6 p.s.k. Odgłosy walki po tamtej stronie rozchodziły się echem po całym lesie. Do akcji weszła artyleria, po obu stronach. Kapitan odnajduje dowódcę pułku i melduje przebieg walki na jego odcinku. Pułkownik nie zwraca uwagi na meldunek i każe iść na odcinek jednego ze szwadronów. To wszystko odbywa się jakby mimochodem. Kapitan udał się w tym kierunku ale szwadron mając konie w ręku ujął się wycofywać. Razem z nim odchodzi i nasz oddział

W tym czasie przychodzi wiadomość, że ppłk. Mossoro decyduje się poddać pułk. Kapitana nurtuje myśl: - nie poddam się. Wyszedłem z gorszej sytuacji. Chodźmy w las, - zwrócił się do swoich żołnierzy. Teraz zaczął analizować możliwość wyjścia, z tak niebezpiecznej sytuacji. Iść w głąb lasu, znaczyło natknąć się na oddziały nieprzyjaciela, które zlikwidowały jego kompanię. Zostać na miejscu znaczyło, iść do niewoli. To wykluczone. Liczył jeszcze raz na szczęście. Szukał koncepcji ale mniej ryzykownej. Błysnęła mu myśl, ukryć się i przetrwać na miejscu do czasu opuszczenia lasu przez nieprzyjaciela. Swoją grupą odsunął się głębiej w las. - Tu ukryjmy się - rzekł - w podszyciu pod krzosami, które są bujne, lub na drzewach, każdy musi zrobić to pojedyńczo. Tak zaczekamy do zmroku, a potem namyślimy się co dalej robić. - Każdy na swoją rękę wybierał miejsce ukrycia. Kapitan namyślał się chwilę nad swoim ukryciem, stał pod niezbyt wielkim dębem, spojrzał przypadkowo w koronę, padło słowo - kameleon - Wydało mu się, że znalazł ratunek. Wydało mu się, że dokonał wielkiego odkrycia. Wszedł na drzewo w najwyższe jego partie i przylgnął do konara. Jeszcze zastanawiał się, czy może być widziany z dołu, chociaż

sam mógł obserwować dokładnie co się dzieje pod drzewem. Jego podwładni znikali w podszyciu lasu. Nie długo czekano. Za kilka minut przeszła tyraliera niemiecka, za następne kilka minut zjawiła się druga. Przeszukują dokładnie las. Kapitan widzi ich pod swoim drzewem. Słyszy rozmowę z jednym z jego podwładnych poznaje go po głosie, ten wpadł. Wreszcie cisza. Z oddali słychać wydawane rozkazy niemieckie, z których wynika, że odmarsz o godzinie szóstej. Słychać składanie broni na wozy, odmarsz koni, a w końcu komendy niemieckie, do odmarszu. Już po zapadnięciu zmroku opuszczono kryjówki. Kapitan zszedł z drzewa i zaczął nawoływać swoich ludzi, obchodził najbliższy rejon i nawoływał ale odnalazł tylko trzech. Co się stało z resztą, niewiadomo. Prawie w pełni nocy udli się nasi ocaleńcy do najbliższych zabudowań wiejskich aby trochę się przespać. Noce już zaczynały się chłodne, wszyscy bez płaszczy, trzeba było szukać jakiejś osłony. Gospodarz wskazał miejsce noclegu ale ostrzegł, że niedaleko kwaterują niemcy i trzeba brać pod uwagę ich obecność. To też przed świtem opuścili swoje legowiska i udali się do lasu. Krótka narada. – Teraz należy się zastanowić, co robić dalej – rzekł kapitan. – Podobno w rejonie lubelskim organizuje się armia, ja tam będę podążał. Daleka to droga, lecz to jest moim obowiązkiem,

Wy musicie sami o sobie zadecydować.
Nic wam dać nie mogę, bo sam nie mam,
Ani nie mogę wam zapewnić bezpieczeństwa
bo sam nie wiem jaka jest sytuacja i jakie
istnieją warunki przeprawy przez Wisłę.
Więc jaka jest wasza decyzja? - Chwilowa
cisza, jakby każdy namyślał się co robić
dalej. Zaczęli mówić prawie razem: - udamy
się do domów a tam zobaczymy co robić dalej -
Kapitan nie odradzał. Podziękował za ofiarną
służbę dla Ojczyzny. Każdy z nich poszedł
w swoją stronę. On pozostał sam. Nie bał się
samotności. Uwolniony od ciężaru dowodzenia
zyskiwał czas do przemyśleń, które nurtowały
go od początku wojny. Były to zagadnienia w brakach
wyposażenia i wyszkolenia. Najbliższe zadanie
to dotrzeć do Wisły i tam zobaczyć co się
dzieje. ~~Rad~~ Tak prawie na przełaj. Po drodze
napotkał mały folwark. Tu już zmajdowało
się dwóch oficerów i kilkunastu ułanów z
Kresowej Brygady Kawalerii. Gościnna pani
Pszeróżkowska, właścicielka folwarku, przyjmowała
wszystkich tych rozbitków. Kapitan zatrzymał
się na parę dni aby zebrać wiadomości
i rozpoznać rejon. Ale jego pole bitwy ostat-
niej, nie dawało mu spokoju. Po dwóch
dniach, wybrał się na swoje pobojowisko
to jest do Oszchowa. Chciał się dowiedzieć
ile jego ludzi zostało zabitych i gdzie są
pochowani. Na miejscu zastał trzech
rannych, pozostawionych przez niemców,

a pozostających pod opieką miejscowej ludności. Z żalem dowiedział się, że podporucznik Pozerożnik, który był ranny, jeszcze tego wieczoru chciał uciec lecz w tej ucieczce został zabity. W rezultacie zostało zabitych dwóch oficerów i szesnastu szeregowych. Niemcy stracili około dwudziestu żołnierzy. Jaki był wynik walki po drugiej stronie lasu który bronił pułk strzelców konnych, tego nie mógł się dowiedzieć. Z opowiadań ludności dowiedział się, że trzech, w tym rejonie, uciekało konną z okrążenia, jeden został zabity, dwóch uciekło. Powrócił do folwarku. Tu już napotkał ludność cywilną, tak zwanych uciekinierów, którzy powrócili z za Wisły. Wiadomości tragiczne, w lubelskim niema żadnej armii naszej. Wiadomości potwierdzały się z różnych stron. Pomimo wszystko zdecydował się udać za Wisłę w poszukiwaniu resztek walczących oddziałów własnych aby do nich dołączyć. Rozpytywał o możliwość przekroczenia Wisły. Podziękował właścicielce folwarku za gościnność, nałożył na wierzch cywilną kurtkę, pozostawił towarzyszy oczekujących na drogę przez Warszawę, i tak nocami i lasami, między kwaterującymi oddziałami, szedł na wschód w kierunku Wisły. W lasach przed Pilicą napotkał zniszczony sprzęt łączności i akta 13 dyw. piech. W tejże dywizji jego przyjaciel był dowódcą łączności. Pomyślał o nim jakie

jakie jego spotkały losy. Nie przypuszczają że dowie się dopiero po paru latach, zginął w Katyniu. Niedaleko Wisły przy ujściu Pilicy stał samotny wrak polskiego erotgu „P". Prawdopodobnie opuszczony przez załogę, kiedy wyczerpała się benzyna, zresztą nie miał możliwości przeprawy w tym miejscu. Do samej Wisły kapitan zbliżył się po minięciu miejscowości Ryczywół. Wieś spalona doszczętnie, stercał samotny kościół. Jeszcze starał się dowiedzieć jakie są możliwości przekroczenia Wisły, ale nigdzie nie było jakiejkolwiek łódki. Zbliżył się do brzegu Wisły, aby szukać środka przeprawy. Przypadek, niespodziewanie pojawiła się łódź, sterowana przez młodego chłopaka. Wydawało się, że ma zamiar udać się na drugą stronę rzeki. Jeszcze machał ręką i wołał: - niech pan mnie zabierze - W tym momencie świsnęła seria karabinu maszynowego, pociski znaczą ślad na wodzie, tuż obok niego, pada i przenosi się w miejsce bardziej bezpieczne. Chłopiec wskazuje miejsce gdzie mamy się przeprawić wołał: - ja wiem gdzie oni są, tutaj nas nie widzą, niech pan leży na ziemi, ja podpłynę a pan się wtedy do łódki - Kapitan ściśle wykonuje zalecenia i leży na dnie łodzi. Jeszcze seria z broni maszynowej, pociski biją o wodę i przeciwległy brzeg a łódź dobija do brzegu.

To drugi upragniony brzeg rzeki. Od pierwszych napotkanych ludzi dowiaduje się, że jest to rejon Maciejowic. Sytuacja z jaką spotkał się tutaj nasz kapitan, wstrząsnęła nim dogłębnie. Można by określić, że jest to nieznany kraj. Niema wojsk niemieckich i niema wojsk naszych. Pojedyńcy żołnierze z bronią i bez broni, włóczyli się po całym tym rejonie. Dużo ludności cywilnej oczekującej na możliwość powrotu do domów. Złorzeczenie na niezdolność dowódców i rządu. Tu dowiedział się o otwarciu wojsk sowieckich w granice Polski. Tu dowiedział się, że rząd i naczelny dowódca ewakuował się do Rumunii. Teraz dopiero wytworzył sobie obraz tej strasznej klęski, obraz strasznej tragedii narodu. Mimo tej strasznej tragedii postanowił wytrwać w walce do końca i zakończyć tę wojnę chwalebnie. - Udam się do oblężonej Warszawy, nawiążę kontakty, są pewne szanse. Ten plan również się załamał. W dniu 26 września doszły wiadomości, że Warszawa kapituluje. Dowiedział się również o istniejących oddziałach w rejonie Kocka, udał się w ten rejon bezzwłocznie. Tu również spotkało go zawód, nim doszedł do Kocka, tu również nastąpiła kapitulacja. W tym czasie toczyły się pertraktacje między Berlinem a Moskwą, gdzie ma przebiegać linia demarkacyjna. W pierwszej wersji, w tym rejonie miała przebiegać na Wiśle a drugiej ustanowionej na Bugu.

Z tąd powstała luka między Bugiem i Wisłą i ten „niczyj kraj". - To już koniec mojej wojny - myślał kapitan. - Teraz trzeba odszukać rodzinę pozostawioną w Brześciu. - Od rejonu Kocka do Brześcia nie napotykał wojska nieprzyjacielskie. Dopiero niedaleko Brześcia natknął się na wojska sowieckie. Pierwsze wrażenie negatywne. Uzbrojenie słabe, umundurowanie bardzo mizerne, żołnierz wyglądał na wystraszonego. Kapitan dotarł w pobliże twierdzy Brześ, gdzie pozostała rodzina, lecz tam nie wolno było wchodzić. Udał się do miasta do znajomych, może tam są jakieś wiadomości. Zastał ich jeszcze w domu, wybierali się do Warszawy. Ostrzegali, że muszę przekroczyć Bug, bo jutro będzie zamknięte przejście. Najważniejsze, o co mu chodziło, dowiedział się, że rodzina znajduje się w Janowie Podlaskim, lewy brzeg Bugu. Udał się tam natychmiast, i odnalazł rodzinę. Zastał zupełną nędzę. Ubranie, tylko to co na sobie, jakieś koce do spania, zupełny brak pieniędzy. Sytuacja beznadziejna. Wiadomość o jego śmierci pod Dłutowem dotarła do żony, co jeszcze pogarszało jej samopoczucie. Teraz dowiedział się, jaką drogę odbyła rodzina. Ewakuacja Twierdzy odbywała się w zupełnym bałaganie. Twierdzę i jej schrony, przygotowywano na siedzibę rządu i sztabu naczelnego wodza. Usunięto wszystkie rodziny wojskowe tam mieszkające. Podstawiono samochody, ale

każdy mógł zabrać ze sobą tylko tyle ile mógł unieść. W takim stanie wywieziono ich do wioski, po prawej stronie Bugu. Z chwilą kiedy żona dowiedziała się, że ten rejon będzie przynależny do Rosji, postanowiła przenieść na lewą stronę rzeki, wolała okupację niemiecką. Nadchodziły wiadomości, co działo się z ludnością polską, po stronie sowieckiej. Widmo Syberii przerażało każdego. Po naradzie, postanowiono odsunąć się od granicy. Tu zawsze będzie więcej dozoru niemieckiego, należało się liczyć, że ~~w~~ w wypadku ujawnienia stopnia oficerskiego, zostanie zabrany do obozu jeńców a nawet do więzienia, za nie zgłoszenie się. Pierwszy etap, to Konstantynów. Tu rodzina dostała trochę pomocy. Następnie Siedlce. Tu trzeba było dostosować się do nowych warunków i szukać źródeł dochodu. Życie od zera materialnego zaczynało się po raz drugi. Jako wojskowy miał duże trudności z ukryciem alibi. Na wyszkoleniu miał żołnierzy z całej Polski i często znajomych spotykał na ulicach, nie bał się ich zdrady, ale wiadomości łatwo przenikają, trudno uchować tajemnicę. Pierwsze posunięcie, to fałszywy dowód osobisty. Otrzymał go bez trudności. Trzeba było zarabiać na utrzymanie rodziny. Rozwija się masowo handel pokątny, zajął się tym na zmianę z żoną. Na dłuższą metę nie dawał on perspektyw a do tego

potrzebna była gotówka. Sam nie miał zaplecza handlowego, więc i ku trudności. Nawiązywał kontakty, szukał mniej i w miarę spokojnej pracy. W dziedzinie elektrotechniki i radiotechniki, gdzie posiadał przygotowanie, pracować nie mógł, bo było zakazane. Szukał kontaktów z podziemiem politycznym, ale do nie wychodziło nie trafił na jakąś zdecydowaną grupę. Stawał się pewnego rodzaju rozbitkiem psychicznym. W końcu doszedł do wniosku, że żona bez niego, Tatwiej będzie mogła dawać sobie radę. Rodziła się decyzja przedostania się do armii organizowanej na zachodzie. Gnębiły go dniem i nocą jakieś podświadome myśli, - idź, tu nie wytrzymasz, idź póki jeszcze czas, każda minuta jest groźna, zrobisz podświadomy odruch z powodu nienawiści do nieprzyjaciela, to cię wykończy i nie wykonasz swoich pragnień. Powziął decyzję. Nie starał się wyjaśniać żonie tej ~~da~~ decyzji. Wiedział, że na to nie będzie się godziła, że nie przekonają ją żadne argumenty, gdyż nie odczuwała ona tych przeżyć, ~~tak~~ a może przeczuć, jak on je odczuwał. Pierwszą wyprawę na granicę słowacką powziął w grudniu, prawie w nieznane, dla nawiązania kontaktów. W rejonie przygranicznym trafił w obławę niemiecką, wywinął się

z tej opresji. Zetkną się z przewodnikami, zapoznają się z nimi. Czas następnych przeprowadzek ustalili dopiero na wiosnę. - Teraz są bardzo ciężkie warunki atmosferyczne i duża czujność nieprzyjaciół. Trzeba zaczekać, marzec, kwiecień może być aktualny. Niech pan się dowiaduje, - mówili, z tymi wiadomościami powrócić do Siedlec i czekać na wiosnę. Grono znajomych ukrywających się oficerów w Siedlcach, powiększyło się, nawiązywano kontakty z ośrodkami gdzie można było uzyskać pomoc. W tych gronach dyskutowano na temat istniejącej sytuacji. Krytykowano to co było za nimi a że byli wojskowymi, ten temat był zawsze aktualny. Na jednej z takich dyskusji, kapitan z goryczą rozpoczął swoje wypowiedzi. - Dewizą moją jest, jakim jest naród, takie jest państwo i taki jest rząd. Możemy mu mieć pewne usprawiedliwienie, zabory, mało inteligencji. Trzeba było oprzeć się na warstwie chłopskiej. ~~Z~~ Silna i zdrowa moralnie warstwa. Z tej grupy najliczniejszej należało tworzyć inteligencję, ale na to potrzeba czasu i pokoleń. Dwadzieścia lat nie wystarczy. Nie zdążyły one osiągnąć poglądów na skalę państwa nie mówię już o skali światowej. Tylko nieliczne jednostki zdobyły osiągnięcia wyższe. Mieszczaństwo nieliczne, chociaż odegrało znaczną rolę. Robotnicy stanowili stosunkowo małą warstwę i nie zdominowali

środowiska. Przemysł na niskim poziomie, prawie w powijakach. Gospodarka agrarna jeszcze archaiczna. To wszystko nie wpływało na szybki rozwój ekonomiczny. Możnaby rzec: byliśmy państwem biednym. Kłopoty pozaborcze trzeba było usuwać na skalę całego państwa i we wszystkich dziedzinach. Na stanowiska ~~par~~ czołowe przychodzili ludzie mało przygotowani, poprostu nie było lepszych. To są aspekty które należy brać pod uwagę przy ocenie obecnej katastrofy. Na takiej bazie stworzone było wojsko, temat bezpośrednio nas dotyczący. Nie mogło ono różnić się od reszty społeczeństwa. Tu zabrakło ludzi wybitnych, którzy potrafiliby narzucić swoją inicjatywę i wnieść elementy twórcze. Jeżeli to wszystko weźmiemy pod uwagę, niewiele pozostanie nam do krytyki. Bo wszelkie błędy w dowodzeniu swoje źródło posiadają w przygotowaniu. – Ale nie wszystkie wyniki walk możemy usprawiedliwiać, można na to przytoczyć wiele przykładów. – Zauważył jeden ze słuchaczy. – Słusznie – ciągnął dalej kapitan – Tu trzebaby powiedzieć, że z każdymi prawami łączą się obowiązki, i odwrotnie. Zainteresowaniem naszym jest oczywiście armia. Mam tu dużo uwag i zastrzeżeń, patrząc nawet z tego niskiego szczebla oficerskiego. Ogólna moja ocena wygląda następująco: piechota wyszkolona słabo, artyleria dostatecznie, kawaleria dobrze. Taka byłaby cenzurka. Nie będę oceniał

lotnictwa i marynarki, bo nie jestem w tej materii dobrze zorientowanym. Z położenia geopolitycznego wiadomym jest, że tak na zachodzie jak i na wschodzie jest wielka przewaga nad nami. Tu mam zarzut dla piechoty, niedostateczne wyszkolenie w obronie. Tej wielkiej i tej małej, mam na myśli obronę ruchomą, do niej należało przygotować piechotę w stopniu najwyższym. Zdajemy sobie sprawę że żołnierz podrywający się do natarcia jest zupełnie bezbronny, jest tarczą strzelecką dla obrońcy. W naszych regulaminach nie mieliśmy tych akcentów, ba, preferowało się nawet szturm z okrzykiem „hura", a w kawalerii szarżę. Piechota nie umiała się okopywać, siedziała miękko w terenie. Stosowane wnęki poziome, były przeżytkiem, należało stosować wnęki pionowe, dające ochronę przed atakami lotniczymi i bronią pancerną. Jest to główny zarzut dla piechoty. Ponadto z moich bezpośrednich obserwacji, wszystkie ćwiczenia prowadzone były pod kątem natarć. A jak obrona? tę najczęściej przyjmowano, że istnieje, złośliwie dodam, u nieprzyjaciela. Starsi oficerowie nie potrafili przekazać ducha pola walki, tak niezbędnego elementu wyszkolenia. Może nie mieli takiego doświadczenia. Artyleria dobrze posługiwała się ogniem pośrednim nie ćwiczyła strzelań bezpośrednich do celów ruchomych, co w walce z bronią pancerną ma niepoślednie znaczenie a przecież działa 75 mm

z konieczności mogą być do tego celu użyte, jeżeli brak jest dział przeciwpancernych. Tej inicjatywy w artylerii nie było. Główny mankament to zbyt mała ilość artylerii w wielkich jednostkach. Kawaleria to element zaczepny i w tym była dobrze wyszkolona. należało tylko usunąć z regulaminu szarżę. Zresztą nasze regulaminy walki były archaiczne. – Powiedz nam teraz swoją opinię o łączności – zauważył inny słuchacz. – To temat specjalnie mnie interesujący a to z racji, że sam jestem łącznościowcem. Łączność, to sprzęt, wyszkolenie to umiejętność posługiwania się nim. Głównym zarzutem będzie brak sprawnego nowoczesnego sprzętu. Nawet w naszych warunkach ekonomicznych, było to możliwe do osiągnięcia. Mieliśmy już wzory które były stosowane w innych armiach, lecz nikt nie ruszył z martwego punktu. Główny zarzut, to brak fachowego przygotowania starszych oficerów dowództwa łączności armii. Nie wiem kto ich selekcjonował, ale była to paka karierowiczów. Czego możemy żądać w takim układzie? Postęp rozwoju sprzętu łączności posuwał się ślamazarnie, nie było racjonalnych pomysłów. Zresztą kto miał to inicjować. Zbagatelizowano całkowicie budowę linii stałych, kablowych, central wielomiejscowych, wzmacniaków. Po dwudziestu latach skonstruowano pierwsze radiostacje dla szczebla dywizji do tego poronione. Brak radiostacji dla szczebli powyżej dywizji.

Sprzęt telefoniczny dobry, ale ciężki, niewiele zmienił się od pierwszej wojny światowej. Ciężkie nieużyteczne w warunkach polowych aparaty telegraficzne Juza. Chciano jeszcze stosować aparaty sygnalizacji świetlnej, tarcze sygnalizacyjne, ba nawet gołębie pocztowe w ruchomych gołębnikach. Tłumaczyć to można było, tylko zupełną indolencją. W którymś roku wyprodukowano ogumione wozy telefoniczne. Miałem na próbie pierwszą partię tych wozów, miałem dać ich ocenę. Po pierwszych ćwiczeniach, dwa dni ściągałem te wozy z terenu, wyleciały wszystkie tarcze kół. Bardzo krytyczne sprawozdanie sporządziłem o tych pojazdach, ale produkcja poszła bez mian. Były to wozy przegubowe na wzór jaszczy artyleryjskich, ale co dobre w artylerii może nie odpowiadać potrzebom łączności. Ktoś jednak miał ambicje artyleryjskie. Duży ciężar pojazdu a brak miejsca na załadowanie, trudne przekraczanie przeszkód terenowych, konieczność równomiernego obciążenia pojazdu, co nie zawsze można utrzymać w warunkach polowych. Na domiar złego, radiostacje dywizyjne, rozwiązano w ten sam sposób. przegubowo, nie wiadomo po co, a woźnica siedział pod ogonami koni i w każdej chwili mógł być przez któregoś z nich kopnięty. Jeśli to były klacze, to ciepły przysznie gotowy.

Radiostacja, którą można było nosić na plecach, wiózł ciężki pojazd dwukonny. Ponadto generator zasilający nadajnik, napędzany siłą mięśni ludzkich. Najistotniejszą potrzebę łączności radiowej, zupełnie zaniedbano, to ignoranctwo. Nic dziwnego, że wielkie jednostki pogubiły się po zniszczeniu łączności telefonicznej. Za to wszystko odpowiadał płk. Cepa ~~i je~~ jako dowódca łączności armii i jego sztab. Nikt go z tego nie rozliczył zawsze umiał pływać na fali koniunktury. Przejdźmy teraz do oceny kadr dowodzenia. Jest ona krytyczna. Biorąc krańcowo, oficer w normalnym trybie, tylko po szkole podchorążych mógł awansować do stopnia generała. Śmiejecie się, nie, to prawda. Mamy przecież hasło napoleońskie, każdy żołnierz nosi buławę marszałkowską w plecaku. Szkolenia, ~~w dowodzeniu~~ w pełnym tego słowa znaczeniu, w dowodzeniu wielkimi jednostkami, nie było. Tylko kontrolne, tak zwane, gry wojenne, dla wykańczania niewygodnych. Ćwiczenia te układali inni na tym samym poziomie co egzaminowani. Ponadto prowadzono ćwiczenia szkieletowe i manewry. Brałem udział w wielu tego rodzaju zajęciach. Byłem takim oficerem prawie etatowym do pomocy starszych oficerów łączności, lub jako dowódca oddziałów łączności do ćwiczeń szkieletowych.

Opowiadania o takich ćwiczeniach, często mogły być przyjęte za dobry humor. Z zasady ćwiczenia takie, opracowywali oficerowie z otoczenia organizatora, którzy do tego rodzaju zadań nie byli przygotowani. Oficerowie ci tak zwani sztabowi, nie mieli szkolenia przygotowawczego, a pełnym tego słowa znaczeniu teez wszystko zamykało się w ramach gier i ćwiczeń. A wszystko odbywało się sporadycznie. Oficerowie młodzi objęci byli kursami, lecz nie wszyscy. Byłem na takich kursach. Stracony czas, poziom wykładowców niższy od słuchaczy. Czasem wykłady wzbudzały uśmiech lub politowanie. Jedyna korzyść to paromiesięczny wypoczynek. Wyższa Szkoła Wojenna zakładała przygotowanie oficerów sztabu wielkich jednostek. Dużo razy bratem udział w ćwiczeniach tej szkoły i zapoznałem się z jej systemem i zakresem szkolenia. Wydawało mi się zawsze, że jej absolwenci mieli więcej celów ambicjonalnych niż osiągania wiedzy. W tych właśnie okolicznościach poznałem gen. Kukrzeję. To jednostka pozytywna od dużej wiedzy wojskowej. Zasadniczym mankamentem korpusu oficerskiego, był brak tendencji do zdobywania wiedzy, nie było komu

dać takiego nastawienia, ba, nawet wyjazdy zagraniczne niechętnie widziano, natrafiały one na duże trudności. W ogólnej mojej ocenie korpus podoficerski był lepiej przygotowany do wypełnianych zadań. Może nie przez szkolenie lecz przez długoletnie doświadczenie. - Dobrze, dobrze ale jak ty oceniasz siebie w tym układzie? - zagadnął jeden z kolegów. - Nie wiele odskoczyłem od tej całej masy, lecz różniłem się szukaniem nowych rozwiązań w każdej dziedzinie, mam na myśli łączność. Za to oceniano mnie, że lubię eksperymentować, za to poniosłem konsekwencje, ale nie martwiłem się tym. U podwładnych zawsze miałem autorytet, nie ten służbowy ale rzeczywisty. Zawsze odczuwałem szacunek, nawet po wielu latach. Nikt mnie nie omijał a wręcz odwrotnie, uważał za zaszczyt sobie, że ten szacunek mógł mi okazać. Jednej rzeczy nienawidziłem w wojsku: stukania obcasami i melduję posłusznie, to relikt armii zaborczych. Z tego powodu, może źle wybrałem zawód. - A jak oceniasz, czy mogliśmy wyjść z tej kampanii bardziej chwalebnie? - zapytał jeden z obecnych. - Kapitan chwilę namyślał się. - Odpowiedź nie jest łatwą. Na ten temat historycy napiszą wiele prac, lecz wszystko to będzie, coby było gdyby było. Jedno co mi się nasuwa: W naszych rozwiązaniach wojny

posługiwaliśmy się wzorami pierwszej wojny światowej ewentualnie wojny roku dwudziestego. Wzory francuskie bardzo zaciążyły na naszym systemie rozwiązań taktycznych i strategicznych. Brak umysłów światły, przewidujących, chociaż wszystkich cechował głęboki patriotyzm. W pierwszym rzędzie bardzo krytycznie musimy oceniać marszałka Śmigłego Rydza. Nikt go z tego nie usprawiedliwi. Przegrał. Przegrał fatalnie i to nie tylko na polu bitwy. Odpowiada również za wyposażenie i organizację, to domena dowódcy w czasie pokoju, nie potrafił wyjść do przodu i to go degraduje do przeciętności. Weźmy dla przykładu odcinek organizacyjny. W wielkich jednostkach mieliśmy, dywizja, armia, brak pośrednich jednostek organizacyjnych. To też przy wszelkiego rodzaju działaniach, były wprowadzane grupy operacyjne, ulubiony konik wyższych dowódców. Te ad hoc zorganizowane twory, nie posiadały stałych sztabów ani środków łączności. Wszystko trzeba było improwizować. W czasie pokoju, można było sobie z tym radzić, nikt nie strzelał ale w czasie wojny, to jeden bałagan. Dlaczego nie stworzyć stałych organizacyjnie jednostek pośrednich n.p. korpus. Weźmy pułki piechoty, ni brygada, ni pułk. Przeciążone nadmiałem taborów. Armia nieruchliwa, ciężka, trudna w dowodzeniu, przy tak skąpych środkach łączności. Fatalna tendencja

do mieszania się przełożonych w zarządzenia podwładnych, stwarzało fatalną sytuację w dowodzeniu. Ten fatalny bieg spraw ~~zaczął~~ wojennych zaczął się na szczeblu naczelnego dowódcy i szybko przesiąkał do niższych szczebli. Tylko część dowódców o mocnym kręgosłupie, stało na swoich stanowiskach, do końca. Ci przejdą do historii jako bohaterowie tej wojny. Tylko część słabych, balast sztabów, karijerowicze, ugięli się pod ciężarem niebezpieczeństwa. Do nich należy naczelny wódz i nikt go z tego nie rozgrzeszy. Ciężkie to oskarżenie. Czy inaczej mogą to oceniać podwładni, naród, którzy dla ojczyzny oddawali życie i chcieli walczyć do końca. Oni to prawo mają. Tymi wywodami kapitan zakończył swoje wypowiedzi, myśli które go gnębiły, wylał całą gorycz. Zwisające głowy słuchaczy podniosły się. - No tak, ale co dalej? - ktoś zauważył. - Walczymy dalej - odpowiedział kapitan. Tylko jak? Podziemie trzeba dopiero organizować, daleka to droga, a wojna wciąż trwa. Nie mam dojścia do podziemia, a może jeszcze go wogóle niema. Kto ma przewodzić podziemiu, jeszcze nic nie wiemy na ten temat. Czy nasz rząd na emigracji zdecyduje się na podziemie i w jakiej formie nic jeszcze nie wiemy. Ja osobiście nie mogę znieść istniejącego stanu i każdej chwili mogę uczynić odruch niekontrolowany, a to nie jest właściwy sposób walki. Decyduję się pójść do organizującej się armii na zachodzie. -

Zagranica

Nasz kapitan drugi raz udał się na granicę, gdzie poprzednio nawiązywał kontakty, dopiero w marcu 1940 r. Była to wieś Bukosko. Przewodnik ostrożny ale po dłuższej rozmowie nabrał przekonania do prawdziwości słów i zgodził się przyjąć do przygotowywanej grupy na przejście. Termin wyznaczył na początek kwietnia. W tym terminie kapitan po raz trzeci wyjechał na granicę. Czwartego kwietnia wyznaczono termin zbiórki. Tegoż dnia w nocy wyszedł z Sanoka udając się do wsi Bukosko, na miejsce zbiórki, skąd miała wyruszyć cała grupa. Nikt nie wiedział ile ludzi będzie ona liczyć. Wiadomość przekazywana, znajomi znajomym. To też ludzie napływali do ostatniej chwili przed wyjściem. Przewodnicy zażądali broni. Argumentując tym, że ukraińcy często napadają i kolaborują z niemcami a niemców trzeba trzymać w ryzach. Grupa zastosowała się do tych poleceń. Najbliżej mieszkający dostarczyli broń. Sześć karabinów parę pistoletów i kilka granatów. Domarsz na miejsce wyjścia odbywał się nocą, pojedyńczo lub małymi grupkami. Było ciemno, z trudnością kapitan odnalazł drogę, która prowadziła na miejsce wyjścia, szedł sam. Po jakiejś godzinie marszu, zamajaczyła przed nim kępa drzew i poruszające się w niej postacie ludzkie. Trafił na miejsce w tym nieznanym terenie. ~~Nastrój~~ Zbierali się w lesie

jak powstańcy styczniowi. Znał te przeżycia z opowiadań dziadka. Panował tu nastrój poważny, trochę niepokoju na twarzach przybyszów. Nadszedł przewodnik i poprowadził grupę, do samotnej pustej osady góralskiej. Tu jeszcze oczekiwaliśmy na resztę dochodzącego. Przesiedzieliśmy w tej samotnej osadzie całą noc i dzień, dozorując aby nie stało się coś nieprzewidzianego. Kim byli ci zebrani tu ludzie? Większość, to wojskowi, trochę młodzieży i jedna kobieta. Kapitan był przeciwny aby brać kobietę na tak ciężką przeprawę. Znał góry a ponadto w wyższych partiach, leżała gruba warstwa śniegu, bez nart marsz bardzo ciężki i nie wiadomo jak długi. Kobieta uparła się, że pójdzie i wytrzyma trudy, podobno miała jakieś misje. Przed wyjściem o zmierzchu zjawili się przewodnicy. Obiecali osiągnąć granicę węgierską w ciągu jednej nocy. Jeden z przewodników był pół Cygan w tych stronach, drugi bez jednego oka to koniokrad, przeprowadzał konie na stronę węgierską. /Takie chodziły słuchy/ Trzeci z kolei kapitan nawiązywał kontakty, to reemigrant z Kanady, również miał za sobą podobno jakąś przeszłość, był on najinteligentniejszy z tej trójki. Nie żądali wygórowanych opłat, tyle co mógł, to dał. Wyglądało to raczej na pewien odruch patriotyzmu, a przecież z drugiej strony trzeba żyć. Grupa około 60 osób w niej jeden kapitan Węgier i kapitan marynarki

wojennej. Po załatwieniu spraw finansowych i omówieniu sposobu przejścia, przewodnicy zwracali uwagę na niebezpieczeństwa jakie mogą zagrażać ze strony niemców i ukraińskiej ludności cywilnej. Ustawiliśmy się w kolumnę trójkową. Na czole i na końcu kolumny rozmieszczono broń. W tych partia podnóży górskich, wiosna dawała o sobie znać. Trochę błota na zamarzniętej ziemi i tylko w zacienionych miejscach małe kupki śniegu. Zaczęliśmy marsz w nieznane. Po zbliżeniu się do pierwszej wioski, a była to noc, przed kolumną zjawił się jakiś mężczyzna, po cywilnemu i oświetlił kolumnę latarką elektryczną. Napewno zauważył broń, odskoczył w ciemności. Przewodnik ostrzegł, że są to ukraińcy, przyśpieszył marsz i zmienił jego kierunek. Za chwilę pojawiła się większa grupka ludzi nawołująca do zatrzymania się. Odezwały się strzały z jednej i drugiej strony. Kolumna podbiegła do luźno rozrzuconych drzew zagajnika i wsiąkła w ten zarośnięty teren. Ścigający zatrzymali się. W tym lasku, a był to początek masywu leśnego, rozproszona grupa, ponownie się zebrała. Ze stanu wyjściowego, brak było dziesięć osób w śród nich był również kapitan marynarki wojennej. Chwilę czekają nawet nawołują. Nikt z zaginionych nie dołączył. Całonocnym marszem przez lasy i po grubej warstwie śniegu osiągnęli granicę słowacką.

Tu nastąpiło pożegnanie Polski. W skupieniu niektórzy brali grudki ziemi i wkładali do ust. Co w tym momencie myśleli nie wiadomo, ale na pewno przyrzekali sobie do tej ziemi powrócić. Gdzie niegdzie pojawiła się łza na powiekach. Po takim odpoczynku, dalszy marsz wzdłuż strzałek po stronie słowackiej. Teraz można iść już tylko gęsiego, śnieg pokazana. Torują ścieżkę czołowi co jakiś czas zmieniani. Obuwie przemakało kompletnie, woda krążyła między palcami, wydając charakterystyczny dźwięk chlastania. Na każdym odpoczynku zdejmowano buty i wyżymano wodę ze skarpet. Nawet buty narciarskie przemakały kompletnie. Grupa osiągnęła przełęcz Łupkowską i wzdłuż granicy, podążała w stronę Węgier. Specjalnej ostrożności nie zachowywano, nabierając pewności w poruszaniu się wzdłuż granicy. Niemcy nie pojawiali się. Chociaż byli pewni, że wiedzą oni o tej wyprawie. Później doszły do nich wiadomości że placówki niemieckie zabarykadowały się w swoich siedzibach i żaden patrol nie wychodził na granicę. Ten pierwszy incydent z ukraińcami miał również swoją dobrą stronę. Dalszy marsz stawał się coraz cięższy, zmęczenie dawało znać o sobie. W partiach nastawionych, podmarzniętych śnieg na powierzchni łamał się pod stopami co tym bardziej utrudniało szybkość jak również powodowało większe zmęczenie.

Naszą kobietę, dwuch uczestników musiało prowadzić podwaniona. W pewnym momencie zasygnalizowano od czoła pojawienie się patrolu granicznego, nie podano czyj patrol, ujm wiadomość dotarła do końca kolumny, już rozległy się strzały. Natychmiast przyszła odpowiedź ogniowa ze strony uchodźców. Ta wymiana ognia odbywała się jużna bliskiej odległości w zadrzewionym terenie. Okazało się, że do patrol słowacki. Jeden z uczestników wyprawy, mając z odległości dwudziestu kroków strzela do słowaka i nie trafia, drugi podbiega do tegoż słowaka, chwyta go za kołnierz, daje mu kopniaka w dupę i zabiera karabin. Wszystko to dzieje się z pewnym zamieszaniem i pośpiechem, co uchroniło życie słowaka. Nastąpił krótki sąd nad jeńcami: rozstrzelać czy zabrać ich ze sobą aż do granicy węgierskiej. Zwolnić ich nie można. Mogli zawiadomić swoje placówki a te z kolei mogły zorganizować obławę, co stwarzało groźbę. Jeńcy na kolanach błagali o darowanie życia. Przewodnicy stawiali sprawę twardo:— Zabić tych skurwysynów, oni nas wiele wymęczyli.— Reszta uchodźców miała bardziej miękkie serca, rozglądano się za autorytetem. Wybór padł na kapitana. — Zabierzemy ich ze sobą aż do granicy węgierskiej a tam zwolnimy.— Nikt nie argumentował, lecz decyzję przyjęto z ulgą. Od tej chwili będzie już tym autorytetem aż do końca wyprawy.

Zabrano ich ze sobą. Dzielili wszystkie trudy uchodźców, lecz stanowili dodatkowe obciąże, gdyż trzeba było ich pilnować. Następną noc trzeba mieć odpoczynek, siły wyczerpały się. Zeszli w niższe partie lasu, rozłożyli ognisko i wieńcem na gałęziach świerkowych na zmiano odpoczywano. Uczestni nie mieli zimowego okrycia, to też co jakiś czas, podrywali się do wykonywania ćwiczeń gimnastycznych dla rozgrzewki. Noc przebiegła spokojnie. Od świtu dalszy marsz, trochę głodno, wyczerpały się zapasy żywności zabrane na drogę. Po zbliżeniu się do granicy węgierskiej może trzy kilometry odniej, zwolniono jeńców, oddając broń bez amunicji. Około dwa kilometry od granicy zauważyły uchodźców placówki słowackie. Widzieli jak straż graniczna stara się przeciąć im drogę marszu. Z najbliższej wsi podbiegł nie uzbrojony strażnik, zaczął tłumaczyć, że niema sensu przekraczać granicy, że będą mogli u nich odpocząć, że jutro udadzą się w dalszą podróż. Zmęczenie było tak duże, że mała grupa zaczęła się wahać a nawet decydować się na pozostanie. Kapitan słuchał tych wywodów słowaka, sprawa komplikowała się. Obok niego leżał kolega z karabinem skierowanym w stronę słowaka, zapytał się: zabić go?.

Kapitan odrzekł: — Nie, nie wiadomo jak cała ta historia się zakończy, nie możemy narażać tych, którzy pozostaną. — Zbliżył się tylko do słuchających słowaka, krzyczał aby odchodzili, pojechał, ale część z nich była tak zmęczona, że słowa jego nie skutkowały. Część odeszła, pięć osób w śród nich jedyna kobieta, pozostali. Kapitan już jako ostatni pobiegł w stronę lasu. Kapitan jako ostatni pobiegł za grupą, dopędził jeszcze dwuch kolegów lecz utracili kontakt z całą grupą nawet zgubili ślady. Zmierzch zapadł szybko, zbliżała się trzecia noc tego morderczego marszu po bezdrożach zasypanych grubą warstwą śniegu. Zima tego roku nie była łaskawa, zastanawiali się czy wytrzymają jeszcze tę noc. Bliskość granicy dodawała otuchy. Najpierw należało zastanowić się jaki przyjąć kierunek. Kapitan przypominał sobie z mapy, jak biegnie w tym miejscu granica słowacko-węgierska, ustalił kierunek wschodni, posłużył się gwiazdą polarną i wyznaczył kierunek w terenie. Noc gwiaździsta spokojna, śnieg skrzypiał w ciągu dnia na powierzchni, podmarł, tworząc skorupę, tarmana pod stopami wydawał chrzęst, słyszalny dość daleko. To element niekorzystny przy przekraczaniu granicy. Trójka obrawszy kierunek szła na przełaj. Minęli pasmo leśne, obszerny

polanę i znowu weszli do lasu. W lesie po jakimś czasie trafili na wyciąg jak las. Domyślali się, że to granica. Rozglądali się za słupami granicznymi, nie znaleźli, - Pewnie nie zdążyli jeszcze ustawić. - zauważył kapitan - W tym miejscu niedawno ustalono granicę. Nagle głos - Stój! - To ich nie zatrzymało, lecz dodało sił. Zbiegli w dół zbocza na stronę węgierską. Parę strzałów w ich stronę, ale to ich upewniło, że to upragniona granica. Po kilkudziesięciu krokach stanęli aby trochę odpocząć, kopny śnieg wyczerpał ich ostatnie siły. Cisza. Nikt nie nadchodził. Jeszcze nasłuchują. Cisza. Powoli schodzą w dół, przekraczają strumyk. Po drugiej stronie, otoczonej śniegu już nie było. Na ciemnym tle usiedli na chwilę aby odpocząć. Moment wystarczył aby cała trójka zasnęła. Spali parę godzin. Zbocze ciemne nie zdradzało ich obecności. Pierwszy zbudził się kapitan. Zwykle trzeźwy po obudzeniu, stwierdził w tym momencie, że nie wie gdzie jest, gdzie był i co robił. Przywołuje myśl, chwilę i już jest w pełni przytomności. Budzi towarzyszy, oni przechodzą ten sam proces obudzenia się. Po chwili podnoszą się i idą pod górę. Natrafiają na drogę bitą, to jakiś szlak komunikacyjny, ale wszędzie cisza nocna. Teraz idą tą drogą ale też z nieznane. Jeden z kolegów słania się jak pijany. - Co ci jest? - pyta kapitan. - Jestem głodny i słaby - odpowiada.

— Nie wiem co się zemną dzieje. Kapitan oddaje mu ostatni posiadany kawałek chleba. Zjadł. Tego pokrzepiło. Szli chwiejnym krokiem ostatkiem sił. Między drzewami zamigotały nikłe światła. — Musi to być osada — zauważył kapitan. To jakby dodało im sił. Zbliżają się do domów. Ktoś zamajaczył przed drzwiami, kobieta. — Czy to Węgry? — zapytał kapitan. — Tak, kolędy wasi są wśrodku chaty. — odpowiada kobieta. Wchodzą do środka, zadusili i zapach pokarmu. To cała ich grupa, która szła inną drogą. Przewodniey odeszli po dojściu do granicy Węgierskiej. Solidnie to byli ludzie w tym tak ryzykownym przedsięwzięciu. Pierwszy odruch tej zagubionej trójki, to napić się coś ciepłego. Niema nic. Wszystko wypili ich poprzednicy. Jest tylko ciepła woda po ugotowaniu kartofli w łupach. Tylko rozum mógł nakazać napić się takiej wody. Jej zapach i smak powodował mdłości. Kapitan nalał duży garnuszek tej ciepłej wody, zatkał nos i wypił. Tego smaku, tej ciepłej mdłej wody, nie zapomniał całe życie. Rzucił się na barłóg ze słomy aby choć trochę się przespać. Była północ. Jeszcze analizuje chwilę, jak długo mogli spać nad strumykiem, dwie a może trzy godziny, ~~nie~~ obudził i zasnął. Rano budzi węgierska straż graniczna. Zabiera wszystkich na posterunek graniczny. Tam

przestrzelania. Pytają się gdzie mamy broń. A więc już wiedzieli, że szli z bronią. Padają jednobrzmiące odpowiedzi. - Wyrzuciliśmy poprzedniej nocy, po wyjściu na teren węgierskie. - Wyjaśniło się, że niemcy podkradli straże węgierskie, że przeszła kompania uzbrojona i żądali odesłania na stronę niemiecką. Po pewnym ociąganiu, dowiedzieli się o decyzji. Mają być odesłani do granicy. Zbieranie tej grupy przebiega z kłopotami. Niektórzy starają się ukryć. W marszu, przy prowadzeniu do granicy, niektórzy kolejno znikają. Węgrzy nie stosują specjalnych rygorów. Około sto metrów od granicy, żołnierze pozostawiają ich, wskazują gdzie mają się udać, sami wracają na placówkę. Chwile oczekiwania nim żołnierze znikną z pola widzenia. Jedna tylko decyzja. Gdzie my na Węgry. - Udajemy się dalszą drogą, małymi grupkami, aby nie zwracać uwagi na siebie - taka jest decyzja kapitana. Dobierali się znajomi, rozeszli się jeszcze w lesie. Do kapitana dołączyło trzech kolegów, podoficerowie piechoty. Trochę za duża grupa, ale poszli razem. Mijają pierwszą wieś przygraniczną. Na przeciw na wozie nadjechał żandarm. Poznał, że są polakami, chce zabrać ich na posterunek. Łamaną niemczyzną tłumaczą, że właśnie idą na posterunek aby się zgłosić. Szczęście, uwierzył a może nie chciało mu się wracać,

Idą dalej, oczywiście na posterunek nie zaszli. Rozglądają się za środkami transportu, aby jak najszybciej oddalić się od granicy i więcej do niej nie wracać. Dowiedzieli się o istnieniu, w tym rejonie, kolejki leśnej i tam się skierowali. Gdzieś koledzy myśleli tak samo i przy kolejce zebrało się jedenastu. Załadowano ich na wagoniki ale powiadomiono żandarmerię. Tam byli również ustawieni ludzie dla władzy. W bliskości posterunku na torach, już oczekiwali żandarmi. Zatrzymali „einchejc" i kazali schodzić na posterunek. Ciężko odbywał się przebieg tej operacji, stawiali opór, rozbiegali się. Gruby otyły żandarm, chwycił kamień, był bez broni i zapędzał opornych za ogrodzenie posterunku. Kapitan wszedł na posterunek, jako jeden z pierwszych. Zauważył, że dom ma korytarz przelotowy, przeniknął korytarz przeleciał ogród z tyłu domu, przeskoczył płot i uszedł niezauważony. Za nim uczynili to samo dwaj inni koledzy. Podbiegają do niewielkiej rzeczki górskiej, wydaje się niezbyt głęboka. Dwaj towarzysze pobiegli dalej w górę rzeki, gdzie płytkie przejście, przekraczają już rzekę, woda powyżej kolan. Lecz za rzeką łapią ich żandarmi, toczy się jakaś rozmowa. Kapitan korzysta z tego momentu zamieszania, wchodzi do wody i drąży grunt pod nogami, płynie do przeciwległego brzegu, jest w zbroi zimowym

ma trudności w płynięciu lecz po paru metrach chwyta grunt, wychodzi na brzeg, ociekając z wody. Na drodze wzdłuż rzeki stoją ludzie miejscowi, wchodzi między nich. Zachowują się raczej obojętnie. Przechodzi listonos, kiwa ręką aby za nim poszedł. Udaje się za nim. Patrzący na tę scenę chłopi, kręcą głowami, odradzają aby nie szedł. Wahając się z dużą ostrożnością udał się za listonoszem. Nie zawiódł. Zaprowadził kapitana do jednego z końcowych domów i umieścił u gospodarza. Tam kapitan wysuszył ubranie i przenocował. Wieś ta, to Ruś Zakarpacka, niedawno zajęta przez Węgry. Ludność zamknięta w sobie nie dawała możności należytej oceny ich nastrojów. Trafił jednak do uczciwych ludzi. Rano gospodarz wyprowadził go na drogę i wskazał jak ma iść. Kapitan kierował się na Ungwar /Użhorod/ tam była polska placówka konsularna. Teraz już nie szukał środków transportu, szedł w pojedynkę, omijając miejscowości. W czasie drogi spotyka jednego z kolegów, wybrał on ten sam sposób podróżowania. Umawiają się, że będą szli w pojedynkę ale w bliskości siebie aby dać na czas ostrzeżenie. Kapitan szedł pierwszy, w pewnym momencie zmuszony był zejść na stronę, żołądek zareagował na nienormalne odżywianie. Jego współtowarzysz minął go, on teraz prowadzi. Cały czas idą na odległość wzrokową. Prowadzący wszedł do wsi, na drodze zaczepia go żandarm, zabiera ~~go~~ na posterunek.

Kapitan omija tę wieś. Pod wieczór dociera do Ungwaru. Niedziela, dużo ludzi na ulicach, świątecznie ubranych. Idzie głównym miejskim corsem. Nogawki spodni poszarpane ostrymi płatami zmarzniętego śniegu, zdradzały niezwykłego przybysza. Szczęście mu sprzyjało, nikt go nie zaczepił. Wszedł do żydowskiego sklepu i zapytał o drogę do polskiego konsulatu, wskazano mu most. Tu znowu zaczepił dwie żydówki bogato ubrane, zapytał również o konsulat polski, wskazały mu budynek. Już było zupełnie ciemno kiedy zapukał do zamkniętego konsulatu. Ktoś z personelu otworzył i wprowadził do środka. Kapitan objaśnił kim jest i jaki cel jest jego podróży. Poprosił o wodę do mycia i gorącą herbatę. Podano natychmiast. Zdjął buty i wymył nogi ale włożyć ich już nie mógł, stopy natychmiast spuchły. W konsulacie dano mu nocleg i wyżywienie jak również bilet kolejowy do obozu cywilnego w Zakony. Już w obozie starał się odnaleźć kolegów tej wyprawy. Spotkał wszystkich, łącznie z czwórką, która pozostała w Słowacji a między nimi kobieta jedynaczka. Panienka ta bardzo ciężko przeszła drogę i dwa tygodnie musiała leczyć nogi. Zjawiła się również dziesiątka zagubiona w pierwszym starciu, przeszli drugim etapem. Brak było tylko kapitana marynarki. Nikt nie wiedział o dalszych jego losach. Kapitan również odczuł skutki wyprawy, przeziębił się, usta, wargi, brodę pokrywały

wysypka. Tu rozpoczynała się zorganizowana trasa przerzutów do armii na zachodzie. Z obozu przerzut do Budapesztu do ośrodka rozdzielczego, hotel Matias Ter. Dalej na granicę Jugosłowiańsko-węgierską miejscowość Bares, gdzie znajdował się ośrodek przerzutów przez rzekę Drawę. Tu nie musiano kryć się ze swoim alibi, nawet żandarmi udzielali kwater, jednak sam przerzut przez rzekę odbywał się nocą i w tajemnicy. Węgrzy udawali, że nic o tym nie wiedzą. Jugosłowianie przyjmują gościnnie, są oficjalnymi uciekinierami i poruszają się oficjalnie. Do Zagrzebia kapitan przybywa 30 kwietnia 1940 roku, a więc dwadzieścia cztery dni od chwili wyjścia z Polski. Otrzymuje grupę ludzi i pieniądze na wyjazd do Splitu, nad Adriatyk. Miasto pięknie wkomponowane w wybrzeże, znane jeszcze z czasów rzymskich, stwarzało uroczą panoramę, powiązaną z morzem. Ośrodek wysyłkowy umieszczono w hotelu Jadranska Straża. Nie był to luksusowy obiekt ale dla naszych uchodźców wystarczał dach nad głową. Pobyt w tym ośrodku trwał parę dni w oczekiwaniu na statek. Po zamknięciu granicy przez Włochy dla naszych uciekinierów, cała ewakuacja odbywała się drogą morską. Dnia 8-ego maja o godzinie 23^{00} znaczną grupę załadowano na statek „Patris". Zaraz on odpłynął na pełne morze. Rejs odbył się bez przeszkód. Morze spokojne, rzadkość na tej trasie, stwarzało dobre warunki relaksu.

Dnia 12-ego maja o godzinie 07[00] statek wpłynął do portu w Marsylii. Jeszcze przed wyjściem w rejs, dano wyraźnie zachować się na terenie Francji jak również ocenę armii francuskiej, która miała być dla nas wzorem. Po przycumowaniu statku, zjawił się oficer francuski przyjmujący transport. Wrażenie zrobił niezbyt pochlebne, ubrany niedbale, nieodzowny monokl w oku, krzywy pajacowaty. Żołnierz pełniący wartę w porcie, robił takie same wrażenie, był tylko bez monokla. Gdzież ta wzorowa armia francuska. Kapitan nie miał szczęścia zobaczyć tej wzorowej armii do końca pobytu we Francji. Im bliżej ją poznawał, tym gorszą miał o niej opinię. Zgrupowanie oficerów oczekujących na weryfikację i przydział zlokalizowano w obozie wojskowym Carpiagne, niedaleko od Marsylii i w bliskości morza Śródziemnego. Dowódcą obozu polskiego płk. Sosabowski. Aby nie spędzać czasu bezczynnie, urządzano wykłady i ćwiczenia wojskowe. Była to parodia zajęć dla oficerów. Jeden z takich wykładów w bronii maszynowej wyglądał dość śmiesznie. Podoficer instruktor armii francuskiej, należy podkreślić, zawodowy, przyniósł rkm i rozpoczął wykład. Parę słów o częściach składowych, nie szło mu dotarło, więc zaraz przeszedł do instruktażu strzelania. Podniósł i opuszczał zamek, wykrzykując - fint, la, la, fint, la, la, na tym wykład zakończył. To jeszcze drobny przykład do oceny tej armii.

Jakiż sens miał wykład obroni maszynowej dla starszych oficerów, którzy broń tę znali na wylot. To był wstyd przed samym sobą. Ci co organizowali i prowadzili wykłady i ćwiczenia, stali na niższym poziomie od słuchaczy, - to upokorzenie. W każdym razie, takie odczucie mieli uczestnicy tych imprez. Nasz kapitan w czasie pobytu w ośrodku Carpiagne, zachorował na wyrostek robaczkowy. Był to już trzeci przypadek w ostatnich latach. Obawiał się, że teraz nie obejdzie się bez operacji. Nie było to coś strasznego, ale wiadomości z frontu napływały bardzo niekorzystne a leczenie może się przedłużyć. Odwieziony do szpitala wojskowego w Marsylii, trafił pod opiekę bardzo dobrego lekarza. Wyleczył go z tych zapaści na całe życie, bez operacji. W tym czasie odbył się nalot niemiecki na port w Marsylii. Jeden z podoficerów francuskich stał na dziedzińcu szpitala i krzyczał: - Zamykać okna! Zamykać okna! - Ktoś mógł myśleć, że przez otwarte okno bomba może wpaść do pokoju. Zamknięte okna mogły dać odpryski szkła do pokojów i ranić pacjentów. To jeszcze jeden przyczynek przygotowań armii francuskiej. Po powrocie ze szpitala otrzymał zawiadomienie, że formalności weryfikacyjne zostały zakończone i otrzymuje skierowanie do obozu oficerów łączności w Luçon nad Atlantykiem. Na froncie ponoszono klęski. Rozkład armii francuskiej postępował gwałtownie żołnierz

nie chciał walczyć, szedł, mówiąc prosto, do domu. Klęska była nie do uniknięcia. Krytyczna ocena naszej armii lansowana wśród Francuzów złagodniała, zaprzestano poruszania tego tematu. W tym czasie armia niemiecka szła od zwycięstwa do zwycięstwa. Przekracza Holandię, Belgię, zadaje anglikom klęskę pod Dunkierką, Francja kapituluje osiąga Paryż, przewyższa Francję. Położenie ośrodka oficerów Tczewskiej w Luçon, staje się zagrożone. Zbierają oni swoje skromne manatki i udają się w dalszą wędrówkę na południe Francji. Takie są dyrektywy polskiego rządu w Paryżu. Mają dotrzeć do najbliższego portu gdzie znajduje się możność ewakuacji do Anglii. Podróż kontynuują samochodami. Po dotarciu do rzeki Garonny, marynarka francuska nie chce przewieźć na drugi brzeg. Dopiero po awanturze, marynarze ich przewieźli. Po drugiej stronie dość szerokiej rzeki przy ujściu, mały port rybacki Pointe de Grave. Tu już odbywa się ewakuacja oddziałów brytyjskich i polskich. Przybywa część rządu polskiego z Paryża. Nowy Sącz czekają na okręty. Wśród władz francuskich panuje zamieszanie, nie chcą wypuścić polaków, mają oddać ich niemcom. Batalion francuski karabinów maszynowych otacza port i zamyka na niewielkiej przestrzeni, całe to zgromadzenie ludzi wojskowych i cywilnych. Dopiero po zagrożeniu z polskiej strony,

że zostaną wezwane oddziały brygady gen. Maczka ewakuowane w bliskości, dowódca francuski zebrał swoje oddziały i odmaszerował. Ładowanie na okręty odbywało się z promów. Płytki port okręty nie mogły przybić do brzegu. W porcie czekało, na ewakuację, kilka tysięcy ludzi. Trzy ładowane okręty, jednym posiadanym tutaj promem, kolejno odpływały w morze. Nasz kapitan przewieziony na okręt jednym z ostatnich rejsów promu, wszedł po drabinie linowej na pokład. Zmęczony i wyczerpany po odbytej chorobie, położył się w środkowej części ładowni. W tym momencie nadleciał pojedyńczy niemiecki bombowiec i zrzucił pięć bomb na ten ostatni okręt. Wielkie szczęście, pierwsza padła parę metrów od burty, reszta dalej, trochę wody wrzuciły na pokład. Na okręcie znajdowało się około 2.000 uchodźców, stłoczonych na jego pokładach. Można sobie wyobrazić masakrę, gdyby bomby trafiły w śródokręcie. W tymże czasie ukazały się myśliwce francuskie, ale nie ścigały widocznego dla nich nieprzyjaciela, zabawiały się akrobacją i wylądowały. Przykre wrażenie, jeszcze jedna okoliczność świadcząca o tej „bohaterskiej armii francuskiej". Do końca wojny nasz kapitan nie miał okazji aby zmienić swoje zdanie. Dnia 22 czerwca 1940 roku okręt odpłynął od brzegu Francji. Był to w zasadzie statek towarowy s/s Clan Ferguson, uzbrojony w karabiny

przeciwlotnicze, służył do transportu wojska i jego wyposażenia. Kurs na Atlantyk, daleko omijając kanał La Manch, aby uniknąć ataku łodzi podwodnych. Przy zbliżaniu się do wysp brytyjskich, okręt dozorowały samoloty angielskie. Okręt zawinął do portu Liverpool dnia 25-ego czerwca w godzinach rannych. Całą tę masę ewakuowanych ludzi, umieszczono na stadionie piłki nożnej a jeszcze tego samego dnia transportami kolejowymi przerzucono do Glasgow. Z tąd transportem samochodowym do namiotowych obozów prowizorycznych. W obozie takim było wszystko, co potrzebne jest do normalnej egzystencji człowieka. Namioty z siennikami, krany z wodą, latryny, kuchnie a nawet kantyny. Jeden z większych namiotów, zwykle przy kantynie, przeznaczony był na rozrywki kulturalne. Występowały tu zespoły własne lub lokalne znaczy szkockie. Nawet co tydzień przyjeżdżał samochód z pralni i zabierał bieliznę do prania. Urządzali imprezy, przysyłali nauczycieli języka angielskiego. Starali się wpływać uspakająco. Widać przecież zdenerwowanie tymi wszystkimi przeżyciami polaków. Ci zaś denerwowali się spokojem brytyjczyków. Polacy uważali, że niemcy zaatakują wyspy brytyjskie. Anglicy byli innego zdania, chociaż nie bagatelizowali takich możliwości. Polacy w swojej masie, naiwnie uważali, że należy uderzyć na niemców. Uważali, że są mądrzejsi w taktyce wojennej. Anglicy radzili odpoczywać uczyć się języka i czekać. Możnaby sądzić,

że rzeczywiście polacy lepiej znali taktykę
ale w warunkach wojny, nie orjentowali się,
a to są duże różnice w tych dwóch dziedzinach.
Anglicy, jak anglicy, zawsze spokojni, znali
swoje braki i uczyli się rzemiosła wojennego.
Nim się polacy spostrzegli, brytyjczycy dorówna
wiadomościami w sztuce wojennej, ba nawet ich
wyprzedzili. Ze zdziwieniem uświadomili sobie
że muszą się uczyć u brytyjczyków. Czas wyczekiwania przedłużał się, zaczęło rozmnażać różnice
kulturowe, raczej na swoją niekorzyść. Odczuwało dodatnio na ich psychikę. Powoli
wchodzili w życie anglosasów. Poznawali życie
prywatne społeczeństwa, było ono ciekawe chwilami
czasem uciążliwe i rygorystyczne. Przysłowie
„my home ist my castle", jest rzeczywistością,
w całym tego słowa znaczeniu. Życie towarzyskie
skupia się tu w hotelach lub klubach. Hotel jest
tu jakgdyby drugim domem. Tu spotykają się
znajomi, koledzy, pary, tu zawiera się nowe
znajomości, tu spędza się czas dla odpoczynku
nawet. Hotel można znaleźć w najmniejszym
miasteczku nawet w mało dostępnych terenach.
Godziny posiłków, ściśle uregulowane. Wszyscy
starają się do nich stosować. A oto jak wyglądają
dobowe posiłki: rano po obudzeniu się podawane
jest herbata, toast z masłem i dżemem. Po umyciu
i ubraniu się, śniadanie, podstawowy posiłek
dnia. Jako pierwsze danie, do soki owocowe lub
kompot, jako drugie - płatki owsiane z mlekiem
lub coś zastępczego, jako trzecie - danie treściwe,
tu jest szeroki wachlarz, lecz najczęściej są

jajka z bekonem, czasem ryba lub kiełbaski na gorąco jako czwarte – herbata z mlekiem i słodkie ciasko. Trzeba podkreślić, że na wyspach pije się dość często herbatę z mlekiem. Zresztą tutaj podawana jest z kunsztem a ma wspaniały smak i zapach. Godzina jedenasta, herbata i herbatniki. Między pierwszą a drugą, w naszym pojęciu obiad, tylko danie mięsne z jarzynami, herbata i ciasko. Między godziną czwartą i piątą – afternoon tea – małe danie danie mięsne lub ryba i herbata z ciastem. Między godziną szóstą a ósmą – właściwy obiad i teraz podawana jest zupa, danie mięsne i herbata. Alkohol pije się przed posiłkiem. Obiad może być zastąpiony kolacją, różnica polega na tym, że wówczas nie podaje się zupy. Do kawiarń uczęszczają przeważnie kobiety, by można nawiązać kontakt z panienką. Spotkania intymne odbywają się w czasie weekendu i do w hotelach. Na taki wyskok, on i ona zamawiają pokoje sąsiednie. W nocy odbywają się wędrówki między pokojami ale zawsze kobieta przychodzi do mężczyzny, nigdy odwrotnie. Są również organizacje, które pilnują moralności i odwiedzają pokoje gości hotelowych. Powoduje to przykre następstwa, jeżeli zastaną obcą osobę w pokoju właściwego lokatora. Bliżej żyjące ze sobą rodziny odwiedzają się również w domach, poczęstunkiem jest herbata albo alkohol. Anglicy piją alkohol często, ale w małych ilościach. Młodzież bawi się raz w tygodniu, w piątek wieczorem, sobota jest wyjątkowym W tym celu każde miasteczko posiada sale

Francja, w większych miastach, jest ich dużo. Wśród wyspiarzy jest wiele specyficznych form zachowania, ściśle przestrzeganych i będąc tam trzeba je ściśle przestrzegać. Uchybienie w tym względzie, wyrotuje, mówiąc z angielska po polsku, szoking. W każdym razie, chcąc się dobrze czuć na wyspach brytyjskich, trzeba przede wszystkim zapoznać się z tamtejszymi zwyczajami. Przykazane ku przykładu, są drobnym elementem rygorów towarzyskich tam istniejących. Powróćmy do naszego kapitana. Okres wyczekiwania na wejście do bezpośredniej walki, trzeba było czymś wypełnić, tęsknota za krajem i rodziną gnębiła go niepomiernie, stawała się udręką każdego dnia. Długie marsze po pięknych szkockich drogach aż do zmęczenia w pojedynkę lub z kolegą dawały trochę ulgi. Kupił samochód, przejechał wyspę od północy do południa, zwiedzając zabytki. Poznawał ludzi różnych warstw społecznych, dyskutował z nimi, starał się poznać ich poglądy, lecz to wszystko nie zabijało tęsknoty za krajem, czasami wręcz ją pobudzało. Rozpoczęła się organizacja oddziałów polskich w Wielkiej Brytanii. Wciąż jednak napływały różne rozbitki lub niedobitki, odmajdywały się zagubione grupy. Wszyscy zbierali się w obozach polskich. Obozy te odwiedzał gen. Sikorski, starał się podnieść podupadłego ducha. Tworzył armię

polską. Z obozów zabierano wszystkich zdolnych do służby wojskowej i przesyłano do rejonów tworzących się oddziałów polskich. Powstawała 10-ta Brygada Kawalerii pod dowództwem gen. Maczka. Trzon stanowiły oddziały tej brygady ewakuowane z Francji. Nasz kapitan otrzymał przydział do szwadronu łączności tejże brygady. Pełnił skromną funkcję, zastępcy dowódcy szwadronu, ale to już coś, czuł się ~~po~~ użytecznym w tych ciężkich okresach. Szwadron zakwaterowano w Forfar. Oczywiście wszystko to odbywa się na terenie Szkocji. Następuje trudny okres pracy wychowawczej. Żołnierz psychicznie załamany, przygnębiony, daleko od ojczyzny, opanowany tęsknotą za krajem i bez bliskich widoków do powrotu. Trzeba było z nim rozmawiać, dyskutować i to zadanie przyjął na siebie kapitan. Miał za sobą uczciwą przeszłość i przeszedł ciężkie walki co dawało moralne podłoże. Przejął na siebie pogadani wychowawcze ze szwadronem. Każdą taką pogadankę dyskusyjną przemyślał dokładnie. Żołnierz musiał mieć możność wypowiedzenia swoich uwag i żalów. Miał wdzięcznych słuchaczy i dyskutantów, lecz w tych wszystkich dyskusjach argumentacja musiała być logiczna i rzeczowa. Najczęściej pytania dotykały zagadnień i przyczyn przegranej, zarzutów w dowodzeniu, zarzutów w rządzeniu

państwem. Te wszystkie tematy wymagały wyjaśnień. W tych rozważaniach wolno było posługiwać się tylko prawdą i logiczną argumentacją. Pogadanek takich było bardzo dużo, efekt zadziwiająco dodatni. Żołnierz wracał do siebie. Kapitan miał wielką satysfakcję osobistą. Ten okres wychowawczy żołnierza, uważał za jedno z większych swoich osiągnięć. Była to jednak trudna praca, polegać trzeba było wyłącznie na własnej wiedzy, przeżyciach i doświadczeniu. Wytworzyła się przyjacielska więź oparta na autorytecie moralnym a nie na posiadanym stopniu wojskowym. Wojsko polskie, tak już wojsko, zaczęli odwiedzać różni dostojnicy. W pierwszym rzędzie zjawił się Churchil. Prawdopodobnie chciał się przekonać, czy zrobił dobre posunięcie, zawierając umowę z gen. Sikorskim. Następnie odwiedził król Anglii wraz z całą swoją rodziną. Wówczas córki jego były jeszcze małymi dziewczynkami. Defilada oddziałów polskich przed rodziną królewską, odbyła się w Forfar, gdzie stacjonowało dowództwo brygady. Grupę oficerów zaproszono do zamku rodziców królowej w Glamis, niedaleko Forfar. W czasie prezentacji wyszło pewne zamieszanie. Zwyczaj całowania w rękę kobiety w Polsce jest normą towarzyską, w Anglii nie jest stosowany. Oficerowie zawahali się jak postąpić. Wówczas gen. Sikorski zawołał - witać

Królową zwyczajem polskim -. To natychmiast poprawiło atmosferę i ułatwiło swobodę w zachowaniu. Królowa pielęgnowała wdzięki kobiet szkockich i była szanowana przez Szkotów. Oddziały polskie przechodziły wiele zmian organizacyjnych i zmian uzbrojenia. Pełniły funkcje obronne wyspy. Były to dni nudne. Beznadziejność oczekiwania i tęsknoty za krajem. To też w tych rejonach gdzie kwaterowały oddziały polskie, widziało się ich mundury, na różnych drogach. Szli oni zasępieni, skupieni, marzeniami przeniesieni do własnego kraju i swoich rodzin. Z czasem zaczęli tworzyć wokół siebie, warunki podobne do polskich. Organizowali obchody świąt narodowych, świąt kościelnych i nie rzadko rodzinnych. Uczyli się języka. Trzeba przyznać, że metody nauki języka obcego, anglicy mają doskonale wypracowane. Postępy w opanowaniu języka angielskiego ułatwiały w nawiązywaniu kontaktów z ludnością miejscową. Zapraszano polaków do własnych domów na tradycyjne tea. Rewanżując się zapraszano gospodarzy do kawiarń, hoteli na deaner lubo baru na podwójne whiski. Czas mijał, nie odczuwano bezpośrednio wojny, ale z każdym dniem wojna ta stawała się cięższą. Niemieckie łodzie podwodne, czyniły duże szkody w transportach morskich. Odczuwało się już pewne braki w zaopatrzeniu

Całe społeczeństwo brytyjskie pracowało kątem potrzeb wojny. Bez jakichkolwiek narzekań, trzeba przyznać, że jest ono bardzo zdyscyplinowane, darzy swoje władze dużym zaufaniem, lecz również trzeba podkreślić że władze państwowe nigdy nie posłużyły się kłamstwem. Wszystkie niepowodzenia i trudności podawano społeczeństwu. Nie było reklamy. Napad Japonii na Amerykę stał się sygnałem pewnych nadziei. Ameryka przystąpiła do wojny, konflikt się rozszerza. Nastąpiło intensywne zbrojenie wojska, chociaż na wyspie nie było to jeszcze widoczne. Polacy wiadomości te przyjęli z wielką ulgą, coś zaczyna się dziać jakieś lepsze nadzieje. Oddziały polskie przeszły na nowe formy organizacyjne, otrzymały nowe uzbrojenie. Z istniejących różnych oddziałów na wyspie zorganizowano dywizję pancerną. Nadano jej nazwę 1-sza Dywizja Pancerna pod dowództwem gen. Maczka. Jako odznakę dywizji przyjęto haftowane skrzydło husarii noszone na rękawach. Miało to być symbolem nawiązania tradycji, do sławnej husarii polskiej. W walkach zasłużyła ona sobie na taką tradycję. W kompozycji tej odznaki, również brał udział nasz kapitan ale sama idea tej odznaki była jego projektem. Rozpoczęto organizację szeregu kursów celem zapoznania się z nowym uzbrojeniem. Kursy oddziałów

pancernych odbywały się w Oxford. W jednym z nich uczestniczył również kapitan. Odczuwało się zbliżanie dnia uderzenia na kontynent. Organizacja przerzutu przez kanał tak dużych mas wojska i sprzętu, to wielkie koronkowe przedsięwzięcie. Jeszcze raz, ostatni, przeorganizowano dywizję, w której to formie weszła ona do działań. Dywizja składała się: z brygady pancernej, brygady piechoty, artylerii dywizyjnej, pułku rozpoznawczego oraz wojsk dywizyjnych i służb, jak saperzy, łączność, zaopatrzenie, kompanie, sanitarna i warsztatowa i regulacja ruchu. Na uzbrojenie zasadnicze przyszły czołgi Szerman a w pułku rozpoznawczym czołgi Kromwel. W artylerii dywizyjnej pod dowództwem płk Noela było cztery pułki. Dwa pułki artylerii lekkie - jeden samobieżny gąsienicowy, drugi ciągniony; działa 25-cio funtowe; pułk przeciwpancerny, dywizjony samobieżne gąsienicowe i dywizjony ciągnione, - działa 17-sto funtowe; pułk artylerii przeciwlotniczej - działa Bofors. Nasz kapitan otrzymał przydział służbowy jako dowódca łączności artylerii a obsługiwał tę grupę 2-gi szwadron łączności, z batalionu dywizyjnego łączności. Teraz już rozpoczęło się intensywne szkolenie zespołowe. Ostre strzelania artyleryjskie na różnych poligonach Szkocji, Anglii i Walii. Długie ćwiczenia marszowe kolumn. Pułki swoimi marszami przecinały wyspę

z północy na południe. We wszystkich tych ćwiczeniach, podstawa dowodzenia, to łączność. Ta część szkolenia nastręczała zawsze pewne trudności. Wojsko w dotychczasowym działaniu posługiwało się telefonem teraz trzeba było przejść na łączność radiową a więc i kłopoty, oficerowie z pewną nieśmiałością podchodzili do tego sprzętu, ale z konieczności trzeba było się nim posługiwać i nauczyć się nim posługiwać. Te wszystkie ćwiczenia dały swoje efekty. Cofniemy się nieco w naszym opowiadaniu. Międzynarodowe układy polityczne interesowały żołnierzy bardzo głęboko. Wstrząsem dla nich był wybuch wojny rosyjsko-niemieckiej. Wiadomość tę przyjęli z mieszanymi uczuciami, widzieli chmury nad Rzeczypospolitą. Fakt ten został przyjęty entuzjastycznie przez anglików, dawał nadzieje na szybsze zakończenie wojny. Polakom nasuwały się pytania: jak Rosja ustosunkuje się do sprawy polskiej. Podróże gen. Sikorskiego do Moskwy oraz podpisane układy, już wówczas dawały prognostyk niepomyślny. Wyszła sprawa Katynia, która spowodowała oburzenie. Wojska polskie organizowane na terenie ZSSR opuściły Rosję i przeszły na środkowy Wschód. Stosunki dyplomatyczne z Rosją zostały zerwane. Czarne chmury zaczęły się gromadzić nad sprawą polską. Przewidywano utratę znacznych obszarów kraju.

Zapanowało przygnębienie wśród żołnierzy, nie widzieli wyjścia z tej sytuacji. Powstawały nieporozumienia i konflikty w łonie rządu na emigracji. To wszystko niekorzystnie wpływało na psychikę żołnierzy. Chęć odwetu na niemcach przeważała. Dodatkowo sprawa powstania warszawskiego i ich rosjanie znowu zaakcentowali swój wrogi stosunek do Polski. Powstawały otwarte ostre wystąpienia przeciw Rosji. Docierały wiadomości o cierpieniach ludności polskiej w obozach rosyjskich i nieludzkie tam warunki życia. Jak wiadomo ludność polska z terenów zajętych przez Rosję w 1939 roku, została wywieziona do głąb Rosji. Z tej ludności organizowano armię gen. Andersa. Wobec wszystkich tych wypadków armia na zachodzie była bezradna. Stale narzekano w stosunkach z Rosją i nienawiść do niej wzrastała. Nie rzadko powstawały pytania, bić się dalej, czy zrezygnować z tej bezcelowej walki. Ten przymus wewnętrzny zakończenia wojny musiał przerazić żołnierza, nie utracił chęci walki i nie utracił ducha bojowego, szedł dalej walczyć. Ten końcowy epizod nie należy do naszego tematu ale stanowi to warunków jakie wówczas istniały. Musiały one wyciskać piętno na psychice żołnierza, który każdej chwili mógł wejść do bezpośredniej walki a wartość tej psychiki może ocenić tylko ten, kto sam bezpośrednio brał udział w walce. W takiej sytuacji nadszedł moment inwazji na Kontynent.

Dywizja pancerna

W czasie tych wydrówek, połączonych z ćwiczeniami po wyspie brytyjskiej, dywizja polska uczestniczyła w manewrach wespół z brygadą francuską stacjonującą również na wyspach. W tym czasie nadszedł rozkaz z dowództwa brytyjskiego - ciężka radiowa aż do odwołania - przerwanie ćwiczeń. Bez środków radiowych, jednostki pancerne, manewrować nie mogą. Natychmiast rozeszły się pogłoski: - inwazja na kontynent - lądowanie rozpoczęło 6-go czerwca 1944 roku. O świtku zbierały się masy bombowców, tworzyć kluczę. Kierowały się na południe do bombardowań strategicznych, strategicznych obiektów na terenie Francji i Niemiec. Kiedy wiadomości o inwazji napływały z radia i codziennej prasy. Przyczółek lądowania kolosalny. Organizacja i umocnienie przyczółka trwały dość długo, akcja ta przeciągała się. Prasa występowała z zarzutami, że lądowanie sił głównych wciąż nie następuje, czyniąc nawet aluzje o niedołęstwie dowództwa wojsk inwazyjnych. Dywizja weszła w kolejce lądowania. Za nią szły inne wielkie jednostki brytyjskie i kanadyjskie. Następnie skierowano dywizję do portów załadowczych. Tu zgrupowania układano według możliwości załadowczych okrętów. 2-ga szwadron Pierwszej podległy

kapitanowi a dowodzony przez por. Zaleskiego wraz z dowództwem artylerii dywizyjnej ładował się w porcie Londynu. Inne oddziały dywizji ładowały się w innych portach. Przed załadowaniem na okręty oddziały oczekiwały kilkanaście godzin na placach wyczekiwania. Pojazdy ustawiono w kolejności w jakiej miały odejść do załadowania. To wyczekiwanie nie było zbyt bezpieczne. Londyn już od dłuższego czasu stanowił cel dla bomb V1. Miasto bardzo ucierpiało od tej broni i żyło w stałym zagrożeniu. Pociski te padały na cały obszar wielkiego miasta a każdy wybuch zbierał ofiary ludzkie i niszczył obiekty. Ludność ze stoicyzmem angielskim znosiła to niebezpieczeństwo, nawet zrodziło się szereg dowcipów okolicznościowych. Z dowcipów można się śmiać ale wytrzymać te bombardowania przez tyle miesięcy to wielka sztuka. Były momenty depresji ale miasto powracało do normalnego życia. Jeżeli taki bieg życia możnaby nazwać normalnym. Stolica imperium musiała wytrzymać ten ciężar, aby nie załamać psychiki całego narodu. Mimo dobrze zorganizowanej obrony i zestrzeliwania tych bomb przez lotnictwo nad kanałem, szereg ich dolatywał do miasta. W czasie wyczekiwania przed załadowaniem w polu widzenia polskich żołnierzy padło tych bomb kilkanaście. Bomba taka wyglądała jak samolot myśliwski, ponad ogonem znajdował się silnik ~~odrzutowy~~ rakietowy z którego cały czas lotu wydobywał się płomień. Po dojściu

nad cel, silnik gasł i bomba szła wdół do celu. Jedna z nich sprawiła niespodziankę ~~naszej~~ polskiej grupie. Szła wprost na ten rejon, żołnierze skoczyli do rowów ochronnych, wydawało się że trafi w to zgrupowanie. Odziwo, silnik zgasł przed celem ale bomba poszybowała jeszcze dość daleko, wyłamała się z rutyny swych poprzedniczek. Mieli szczęście, w przededniu akcji nie ponieśli strat. Przed zaokrętowaniem, każdy żołnierz otrzymał porcje żywnościowe i pasy ratunkowe na czas rejsu. Samo okrętowanie przebiegało bardzo sprawnie. Pojazdy podchodziły na molo, chwytane przez dźwig, niknęły w lukach okrętów. Wozy amunicyjne ustawiano na deku okrętu. Miało to ułatwiać ich zepchnięcie do morza w wypadku powstania pożaru na okręcie. Okręty załadowane odpływały na redę, ustawiały się w trzech torach i tak wychodziły na pełne morze. Po zaokrętowaniu, instrukcja: płyniemy kanałem, jesteśmy w zasięgu dział z wybrzeża francuskiego, nie wolno palić papierosów, należy zachować ciszę. Okręt którym płynął ~~sam~~ oddział kapitana nazywał się s/s Sam Houston II. Dnia 30-ego lipca ~~jesteśmy~~ konwój już w morzu. Obok ~~nas~~ pojawiają się inne okręty. Tworząc jakgdyby pas transmisyjny, jak okiem można było sięgnąć. ~~Stoimy~~ Żołnierze stoją na pokładzie, oparci o balustradę.

Zapada mrok. Sylwetki okrętów niknę coraz bardziej, wyglądają jak cienie. Monotonny szmer śrub okrętowych, przypomina tylko, że ~~jesteśmy~~ żyją w ruchu. Między innymi znajduje się również nasz kapitan. Wzrok skierowany w stronę wybrzeża ale nawet zarysów jego nie widać, cisza, może nawet przygnębiająca, żadnych świateł, okręty mijają najwęższy rejon kanału, bez incydentu. Myśli kapitana przebiegają przeszłość i biegną w przyszłość. - Dotychczas miałem dużo szczęścia z najbardziej niebezpiecznej sytuacji, udawało mi się wyjść bez szwanku ale czy będzie również tak samo teraz. Ileż przypadków może zaistnieć, ileż niespodzianek, czy w dalszym ciągu pociski czy odłamki będą mnie omijać. Mam przeczucie, że wyjdzie z tej wojny cało. Przecież czeka na mnie moja rodzina, jak mógłbym nie wrócić. Przecież ja walczę o Polskę po to aby do niej wrócić, muszę wrócić, tam na mnie czekają. - Francja nie była dla niego atrakcją. Ostatnie spostrzeżenia z tego kraju nie dodawały sympatii, traktował ten kraj jako obszar przejściowy w drodze do swojego celu. Nad ranem 31 lipca okręty zbliżyły się do wybrzeża francuskiego, w rejon przylądka. Caen, tylko zgliszcza widoczne z daleka. W pobliżu prowizorycznego portu, kadłuby zatopionych okrętów, tworzą falochron.

W tym niewielkim obszarze wodnym wokół lądowiska, już prawie miesiąc wre bezustanna praca. Kręcą się promy między brzegiem a okrętami, od czasu do czasu, syrena okrętowa. Po zakotwiczeniu zaraz podpływają promy desantowe. Na rozłożone siatki wjeżdżają pojazdy. Dźwigi okrętowe przenoszą je na promy, tam znowu pojazdy ustawiane są jeden obok drugiego, ludzie schodzą po trapach. Promy podrzucane falą, podskakują lub się przechylają ale to nie zwalnia szybkości przeładunku. Tablica czasów musi być dotrzymana, aby na redzie nie stworzył się zator. Tylko radiostacje na promach desantowych „skrzeżą", promy przynaglane do pośpiechu. Prom desantowy napełniony po brzegi udawał się na plażę a tu pojazdy swoimi silnikami musiały same dawać sobie radę i pomoście z żelaznych belek odjeżdżały na ląd. Te same czynności w identyczny sposób odbywały się na sąsiednich okrętach. Obsługi tych promów pracowały tak od początku lądowania pod nabojami i ogniem artylerii. Na twarzach ich widać było wielkie zmęczenie. Morze spokojne, przetrwało ten kataklizm bez uszczerbku, może gdzieś, jakaś ofiara tej wojny, biła swoimi szczątkami o piasek wybrzeża. Przejmować się tym nie było czasu. Refleksje przychodzą dopiero później.

A oto ląd. Już kontynent Europy. Każdy centymetr tak zwanej plaży, wielokrotnie przeorany gąsienicami czołgów, kołami samochodów i stopami żołnierzy, przemieszany lejami bomb i pocisków artyleryjskich, tworzył żałosny obraz. Cała cywilizacja i sama natura, zostały zniszczone. Tumany kurzu nad tym polem unosiły się za sunącymi pojazdami i maszerującymi oddziałami. Kolumna wjeżdża, na niby drogę, wytyczoną przez regulację ruchu. Dowództwo artylerii i szwadron łączności udają się do wyznaczonego rejonu kwaterowania. Gorąco i niesamowity kurz o ciężkim zapachu pola bitwy, przesiąkniętym spalenizną prochu i rozkładającymi się trupami, ludzi i zwierząt. Zapach ten jest ciężki, wywołujący mdłości, można się trochę przyzwyczaić, ale to nie uwalnia od jego uciążliwości. Szczególnie uciążliwy jest zapach padłych koni. Żołnierze nakładają chusteczki na usta i nos, daje to trochę ulgę. Ten zapach i kurz towarzyszył im przez całą Normandię. W miejscu koncentracji dywizja przebywała siedem dni. Przedmoście na wybrzeżu miało kształt półkola o promieniu 12 km. Cały ten teren zapchany wojskiem i magazynami. Gdziekolwiek pocisk artyleryjski uderzył, czynił straty w ludziach lub sprzęcie. Całe to zmasowanie

środków walki stanowiło przygotowanie do ofensywy. Jak sprawnie funkcjonowała ta organizacja, można przytoczyć charakterystyczny przypadek, który miał miejsce w Szwadronie Łączności artylerii dywizyjnej. ~~Na~~ Jeszcze na terenie Anglii nie dostarczono jednego samochodu pancernego, zwanego popularnie „Stakandem". Był to pancerny wóz kołowy uzbrojony w działko i karabin maszynowy oraz wyposażony w radiostację średniego zasięgu. Otrzymano polecenie: samochód odebrać na plaży, dnia, godzina i współrzędne mapy. Kapitan nie wierzył aby taka możliwość w tej masie ludzi i sprzętu zaistniała. Dla spokoju ducha, jak to się mówi, wysłał oficera po odbiór samochodu. Kolumna już była w marszu. Nie mieściło się w głowie, kiedy ujrzał ten samochód na skrzyżowaniu dróg, czekający na wejście w kolumnę. Tak jak podano w zleceniu odbioru, dokładnie w wyznaczonym miejscu samochód stał na ruchu z pełnym wyposażeniem paliwa, amunicji i żywności dla załogi. Krótki instruktaż dla kierowcy, to wszystko. Wóz odebrany. Można się było dziwić sprawności i opracowanej organizacji. W takiej masie jednostek bojowych, jeden pojazd nie wzbudził uwagi. Na zajmowanym obszarze można było spotkać pojedyncze

jednostki ludności cywilnej, którzy nie zdążyli opuścić rejonu zagrożonego walkami musieli znosić te okropne dni. Dziwi się tylko, że znowu widzę Polaków na terenie Francji. Parę słów dotyczących oceny tej polskiej dywizji. Dywizja pancerna jest jednostką ofenzywną, posiada potęgę ognia i dużą szybkość, jest groźną bronią tej wojny. Dowodził nią gen. Maczek. Mężczyzna średniego wzrostu, krzepki, twarz pogodna. W obcowaniu bezpośredni, lubiany przez żołnierzy, tak oficerów jak i szeregowych. Można określić jednym zdaniem: odpowiedni dowódca dla tej dywizji. Dowódcy oddziałów, bez względu na stopień, byli dobrymi oficerami, istniała możliwość dużego wyboru. Na terenie Anglii pozostało jeszcze dużo oficerów. Ogół żołnierzy, chociaż średnia wieku wysoka, którzy przeszli pola bitwy w Polsce, Francji i Norwegii. Uzupełnienie stanów dywizji pochodziło, rzec można, z całego świata. To byli najbardziej ochotnicy. Ocena wartości tego wojska, przed bitwą, była raczej ostrożne, ze względu na wysoką przeciętną wieku. Wyszkolenie należało uważać jako całkowicie zakończone, sprzętem bojowym posługiwano się dobrze. Dużo szeregowych z wykształceniem średnim a nawet wyższym, dużo inteligencji. Ogólnie dominował patriotyzm narodowy, bez względu do jakiej

partii kto kiedyś należał, byli nawet komuniści z okresu przedwojennego. Ten stan nie stwarzał najmniejszych trudności, upolitycznienie wogóle nie istniało, to był zupełny margines. Żyjąc ze sobą w przeżytych bitwach tworzyli koleżeńską masę bez względu na stopień. Tamasa pełna świadomości celów wojny, nie szczędził wysiłku aby uzyskać końcowe zwycięstwo. Takiego żołnierza upiększa tylko spotkać w powieściach Sienkiewicza. Był on rzeczywiście sienkiewiczowskim żołnierzem. Dnia siódmego sierpnia 1944 roku dywizja wchodzi do bezpośredniej akcji. Ustawiona w zgrupowania bojowe przekracza Caen. Miasto dosłownie zrównane z ziemią. Nie widać ani jednego całego domu, dotrwały ciężkie walki. Pasy dróg wyznaczone białymi dąśmami, za które nie wolno się zapuszczać. Tam rejon pól minowych, lub pułapek minowych. Czołowe elementy dywizji obok innych jednostek alianckich. Po przekroczeniu zgliszcz miasta, bezpośrednia walka. Obrona nieprzyjaciela, jest twarda, walka jest ciężka, dużo broni przeciwpancernej. Czołgi zwalczają punkty oporu, gąsienicami niszczą schrony polowe. Walka staje się ciężka. Sukcesy są ale nie wielkie aby dywizja mogła nabrać rozmachu w swym uderzeniu. Piechota sąsiednich dywizji, która miała przełamać pierwszy opór, nie wykonała swoich zadań i czołgi

ciężar walki przejęła na siebie polska dywizja. Dowództwo artylerii dywizji w pierwszym rzucie, wspiera brygadę pancerną. Nasz kapitan w „Stakandzie" utrzymuje łączność z dowództwem dywizji. Bez przerwy wokół padają nieprzyjacielskie pociski artyleryjskie, są straty w tak zmasowanych oddziałach. Spotyka~~my~~ się ~~nie~~pogrzebane ~~trupy~~ i rozkładające się trupy naszych poprzedników, którzy już od kilkunastu dni próbowali złamać obronę. Wokół zaminowane. Do pomocy przyszły „~~krokodyle~~ Skorpiony". /~~Krokodyl~~ Skorpion/ - czołg, przed nim umocowany walec z przymocowanymi łańcuchami. Walec napędzany obrotowo, łańcuchami bił o ziemię. Te uderzenia powodowały wybuchy zakopanych czy ukrytych min/ Taka młocka przedpola prze „krokodyle" dawała przejścia czołgom i piechocie. Kapitan wjeżdża na stanowisko nieprzyjacielskich moździerzy, wyskakuje z wozu i zagląda do schronu, przed chwilą zapewne niemcy uciekli. Leży oporządzenie puszki żywności do połowy zjedzone, jakieś fotografie i bielizna. Masa czołgów posuwa się dalej aby jak najgłębiej wejść w zorganizowaną obronę nieprzyjaciela, aby ją złamać. Ostatnie elementy dywizji opuszczały Caen i tu własne lotnictwo bombowe, zbombardowały własne oddziały. Pomylono Caen z Falaise. Ten nalot spowodował straty w dywizji. Zginął oficer łączności pułku artylerii przeciwlotniczej, który organizacyjnie należał do 2-ego szwadronu łączności, był on pierwszym zabitym w szwadronie

W tym nalocie znaczne straty poniosła artylerja kanadyjska średnia, która dawała wsparcie dywizji. To ostrzeżenie, że przy płynnym froncie takie pomyłki mogą mieć miejsce. Do pierwszego rzutu przyjeżdża gen. Maczek. Oficerowie wśród nich kapitan ~~wychodzimy~~ wychodzą z czołgów aby zasięgnąć informacji o ogólnym położeniu. „Baca" (kryptonim) uśmiecha się, jest raczej w dobrym nastroju ~~mówi~~: - ciężko ale idzie dobrze. - W tym momencie przenikliwy gwizd, pocisk artyleryjski, pada w luźno rozstawioną grupę oficerów, rekoszetuje i około dziesięciu kroków pada na rżysko, młynkuje, nie wybuchł. Gen. Maczek tylko zauważył: - Nie wiele brakowało aby dowództwo dywizji przestało istnieć, mogliśmy rozmawiać z aniołkami. - Pocisk 155 mm obstawiono tykami, aby ktoś na niego nie najechał. Tu dróg niema pojazdy posuwają się na przełaj, tworząc własne szlaki najbardziej dla nich wygodne. Gorąco i dokuczliwy kurz. Są zabici i ranni, ginie paru kolegów naszego kapitana. Przeżywa śmierć jednego z kolegów rotmistrza Kikrsza z którym przed chwilą rozmawiał. Pokazywał mu telegram (telegram na polu walki) od rodziców żony, ożenił się z angielką. Treść telegramu nie pozbawiona humoru. Posłuchaj Piotr zawołał co mi teść napisał: - syn, gratuluję, dobra robota. - Cieszył się, wyszedł z czołgu i już do niego nie wrócił. Był to dobry oficer.

Orjentacja w terenie jest trudna, poprzecinany żywopłotami ułatwia zaskoczenie ogniem przeciwpancernym. Ogólnie, niekorzystny teren do walki dywizji pancernej. Po paru dniach żołnierz oswoił się z polem walki z ciągłym ogniem broni maszynowej i ogniem artyleryjskim. Noc dawała pewien odpoczynek. Kopano jamy pod czołgami, trochę słomy i spać, spać aby się zregenerować. Tylko obsługi radiostacji i oficerowie dyżurni w sztabie, czuwali. Na jedną z takich nocy kapitan wrócił do drugiego rzutu sztabu. Obok znajdowały się stanowiska artylerii ciężkiej. Po wystrzale tych dział, wozy wykonywały ruch wahadłowy. Położył się w wykopanym dole pod swoim „stakandem", spał, wystrzały go nie budziły, tak bardzo był zmęczony. Przed świtem pierwszy rzut sztabu artylerii udaje się na stanowisko wysunięte aby wspierać ogniem jedną lub drugą brygadę, która była wiodącą w bitwie. To był już szablon. Po zniszczeniu jednych ośrodków oporu, natrafiają na następne nie mniej groźne. Rzut sztabu artylerii składał się z trzech pojazdów, czołg z radiostacją w sieci pułków zajmowany przez dowódcę artylerii z oficerem operacyjnym; „stakand" z radiostacją ~~do T~~ w sieci dowództwa dywizji z kapitanem łączności i drugi „stakan" z radiostacją w sieci brygady wspieranej z oficerem łącznikowym. Któregoś już dnia walki, wysunięty rzut dowództwa artylerii zajmuje stanowiska przed lasem Qusney. Obok stanowiska

pułku artylerii samobieżnej. Obok ~~działa~~ dalej stanowiska kanadyjskich dział przeciwpancernych. Widok z lasu przesłaniają rzadko rozrzucone drzewa i trochę krzaków. Ogień nieprzyjacielski bez przerwy, pociski padają między czołgami, obsługi w czołgach lub pod czołgami. Jeden z pocisków trafia w kanadyskie działo przeciwpancerne, przeraźliwy krzyk, jednemu z kanonierów pocisk uciął rękę, zakładają mu opaskę uciskową i ewakuacja sanitarką, spokój, tylko ostrzeliwanie trwa bez przerwy. Zdobycie tego ufortyfikowanego ośrodka jest bardzo trudne a panuje on nad znacznym obszarem terenu walki. Poszukuje się możliwości obejścia. Dowództwo armii decyduje się zniszczyć ten ośrodek przy pomocy lotnictwa. Dywizja otrzymuje rozkaz wycofania się z pod tego lasu. Oddziały ~~p~~ wycofują się na nakazaną odległość oczekują na nalot. W szykach na niebie ukazuje się chmara bombowców, tysiące, jedna wielka ława, przed nimi pojedyncze sygnałowe, które wskazują odkąd należy rozpocząć bombardowanie. Są już nad oddziałami dywizji, drzwi wyrzutni otwarte, sypią się bomby na własne oddziały. Natychmiast startuje samolot towarzyszący artylerii, krąży pod bombowcami, daje sygnał, że to własne oddziały. Kapitan z uwagą obserwuje tę akcję, myśli sobie, - to pewnie koniec, niema gdzie się skryć. - Widzi w pewnym momencie,

że drzwi wyrzutni bombowców zamykają się. Kapitan oddycha z ulgą, - jesteśmy uratowani - mówi do najbliższych kolegów. Znowu kanadyjska dywizja oberwała od własnego lotnictwa ale straty były znacznie cięższe niż pod Caen. Pomyłka nastąpiła na skutek rozrzutu zadrzewienia przed lasem Quesney i sam skraj celu od którego miało nastąpić bombardowanie, został pomylony. Ten leśny ośrodek oporu został jednak zbombardowany. Dywizja polska nie poniosła strat. Lasu nie potrzeba było zdobywać, nie było z kim walczyć. Dywizja przechodzi tę nieprzyjacielską linię obrony i idzie do dalszych natarć. Okresy nocy dają pewne wytchnie ale w sztabie artylerii czuwa się jeszcze długo. Przygotowany plan ogni uciekających na zaplecza nieprzyjaciela trzeba jeszcze kontrolować. Jakiś drobny posiłek i wyprostowanie nóg w pancernym wozie dowodzenia czasem na łóżku polowym. W międzyczasie drobne uwagi o przebiegu akcji lub własnych przeżyciach. - Wie pan co - mówi kapitan do szefa sztabu - ten okres walki, zlewa mi się jako jedna całość, wielki wysiłek dniem a nawet nocą, zaciera poczucie czasu i biegu godzin w głowie huczy od stałego słuchania wiadomości radiowych na radiostacji. Pole walki poprostu śmierdzi padliną końską i spalonym prochem i ten niesamowity kurz. Chusteczka na nosie niewiele pomaga - Mam takie same odczucie, popatrz pan na moje spieczone usta - odparł szef sztabu. Przysiedli na stołkach oparli się o ścianę wozu, i spali.

Lotnictwo alianckie bezkarnie buszowało na zapleczu nieprzyjaciela. Te męczące naloty potwierdzali jeńcy. Oddziały dywizji osiągnęły dużą sprawność i śmiałość w działaniu, potęga ognia staje się istotnym elementem działania. Zabierają dużo jeńców. W oddziałach czołgowych odczuwa się brak ludzi do konwojowania jeńców. Zdarzają się nawet wesołe epizody. Kiedy pojedyńczy strzelcy przyprowadzają całe kompanie niemieckie. Dnia 15-ego sierpnia dywizyjne odziały przechodzą Jort nad niewielką rzeczką Dives. Przejście tej rzeki zostało wykonane przez śmiałe uderzenie rozpoznawczego pułku 10 P.S.K. na czołgach Cromwel. Akcja ta wybitnie wpłynęła na szybkie dalsze postępy dywizji i zamknięcie kotła pod Chambois. Na przeprawie przez rzekę, ginie jeden z kolegów kapitana, jeden z dowódców pułku pancernego, mjr. Kański. Wychylony z czołgu, dostał odłamek w szyję. Był on znacznej tuszy i tłuszcz dostał się do układu krwionośnego, (taka diagnoza lekarza) Nie zdołano go uratować, mimo, że rana nie wyglądała groźnie. Dowództwo artylerii zakłada swój posterunek bojowy, tuż za Jort, między pozostawionymi niemieckimi działami 88 mm. Wokół leżą trupy niemieckie, niektóre poopalane. Ten typ dział był bardzo groźny dla czołgów, ale 10 PSK zaraz po przekroczeniu rzeki, zaskoczył te działa. Obsługi ich chowały się między snopy skoszonego zboża, serie pocisków świetlnych

zapalaty stonę, zład opieczone trupy stwarzały charakterystyczne widowisko pola walki. Na okres nocny oddziały pancerne na zagonach tworzą pewnego rodzaju obozy ubezpieczone ze wszystkich stron. Teraz następuje uzupełnienie materiałów pędnych, amunicji, żywności. Podchodzą wozy zaopatrzenia i dowożą wszystko Tędzie z wodą do picia, o zapachu i smaku bardzo nieprzyjemnym ale pewnie jest dla zdrowia a niżeli brana woda z terenu. Załogi czołgów wydostają kuchenki benzynowe i jak kto umie i lubi, przygotowują posiłek gorący z posiadanych racji żywnościowych. Taka racja żywnościowa, to skrzynka w której była żywność na całą załogę czołgu na 24 godziny Tędzie z papierosami a nawet papierem toaletowym. Teraz się przespać to marzenie każdego po całym dniu walki. O świcie silniki w ruch i naprzód dzień powtarza się jak poprzedni z niewielkimi zmianami. Punkty obserwacyjne artylerii, rozpoczynają swoją normalną pracę, zwalczają punkty oporu nieprzyjaciela, idą serie, nie żałują amunicji, chronią życie własnych żołnierzy. Dywizja naciera na kierunku Trun - Chambois. Postępuje bojowy dowództwo artylerii i brygady pancernej, zlokalizowany na wzgórzach na wysokości Trun. Wspaniały widok na pole walki, z siedziby dywizji kanadyjskiej 4-ej dywizji pancernej. Również wgląd na równinę aż pod samo Chambois. Dowódca brygady

zwołał oficerów i analizował przebieg walki czołgów, na zakończenie powiedział: Takiej okazji do oglądania pola walki, nigdy już mieć nie będziecie. Dywizja wyszła około cztery kilometry do swoich sąsiadów, tworzyła jakgdy klin zamykający. Pas natarcia nie był zbyt szeroki, lecz zdarzały się przecieki, małych grup a nawet pojazdów pancernych nieprzyjaciela. Tutaj wszelki ruch po osi natarcia dywizji był kontrolowany przez pojazdy pancerne. Niemcy wszelkimi sposobami starali się wyjść z kotła, który co raz szczelniej był zamykany przez polską dywizję. Zajęcie rejonu Chambois tworzyło zaporę zamykającą całkowicie wojska niemieckie znajdujące się między armią angielską i amerykańską. 10 PSK zamknął Chambois. Natarcia nieprzyjacielskie szły z południa na 10 psk z północy na brygadę pancerną ~~na~~ znajdującą się na wzgórzach, później zwanych „Maczugą." /nazwa wzięta od kształtu warstwic szeryków/ Nieprzyjaciel rzucił wszystkie siły dyspozycyjne aby zgnieść tę zaporę. Dowódca brygady pancernej decyduje przenieść swoje stanowisko pod Chambois, a więc i dowództwo artylerii także. Dojazd rozpoznany. Wozy przeciskają się wąskimi ścieżkami przez teren i las, co jest nie lada trudnością dla czołgów. Docierają do jakiejś farmy z której przed chwilą uciekli

niemcy, pozostawiając wszystko nawet pieniądze. Na pozostawionych ubraniach opaski SS. Na farmie pierwsze spotkanie z ludnością cywilną, częstują winem i cieszą się, że przyszli polacy. Czołgi dowództwa rozstawiane w ogrodzie, przygotowane do walki, gdyż niemcy mogli tutaj przeciekać, lecz specjalnej ostrożności nie zachowywano. Noc spokojna tylko dyżury na radiostacjach i czołgach, normalne ubezpieczenie na noc. Oświcie rozpoczęła się normalna toaleta a przede wszystkim golenie, co było w zwyczaju bez względu na tok walki. W pewnej chwili zagrała broń maszynowa w bliskiej odległości, były to serie z pancernych pojazdów niemieckich. Obsługi wskoczyły do czołgów. Nasz kapitan z półogoloną twarzą biegnie do swojej wieży jego obsługa również. Wieża kieruje się na przedpole skąd może nadejść nieprzyjaciel. Już słychać strzały własnych dział czołgowych. Niemieckie samochody pancerne kluczyły między drzewami prawie tuż przy polskich czołgach, starając się jak najszybciej oddalić, bronią maszynową chcą załogi polskie utrzymać na ziemi. Jednak już niektóre czołgi otworzyły ogień, pięć strzałów i pięć wozów niemieckich rozbitych. W tej okoliczności zaimponował płk Skibiński, był wówczas zastępcą dowódcy brygady, on pierwszy oddał strzały skuteczne. Było przypadkowe spotkanie z przedzierającymi grupami niemieckimi.

Po tym incydencie dowódca brygady zdecydował powrócić na poprzednie stanowiska ady nie utrudniać sobie dowodzenia. Wydaje się, że był to dzień 17-ego sierpnia, kiedy dowództwo znalazło się na swoich dominujących wzgórzach. Wysunięty rzut sztabu dowództwa dywizji również tu się znajdował. Walki nasilają się i są bardzo ciężkie. Zdarzają się wypadki, że artyleryjskie punkty obserwacyjne kierują ogień na cele znajdujące się między punktami obserwacyjnymi a stanowiskami dział, co świadczy o wymieszaniu się oddziałów własnych z nieprzyjacielskimi. Ustalają się dwa zgrupowania dywizji. Jedno pod Chambois, drugie na wzgórzach „Maczuga". Oddziały niemieckie już bezładnie pchają się drogą z Chambois na północ. Trzy rzędy pojazdów, wozy konne, samochody, czołgi, to wszystko pomieszane. Taką sytuację przyłapuje jeden z pułków pancernych dywizji. Podchodzi frontalnie do traktu i całą siłą posiadanego ognia bije w tę ciągnącą się masę. To były zupełne jatki. Drogę tę po walce, brygada czeska oczyszczała przez miesiąc. Mimo sukcesów, nie można było bezkarnie dostarczyć zaopatrzenia, ewakuować rannych i jeńców ze zgrupowania „Maczudze". Na tych wzgórzach, czołgi walczą nie tylko bronią ale masą swojej stali w bezpośredniej styczności z czołgami nieprzyjaciela. Na to wzgórze nacierają

dwie niemieckie dywizje pancerne i inne oddziały. Chcą otworzyć drogę dla oddziałów znajdujących się w kotle. W rejonie Chambois walki również się nasilają. Skupione masy wycofujących się wojsk niemieckich prą na północ aby otworzyć drogę z kotła. Nagromadziło się w tym zgrupowaniu dywizji dużo jeńców, jeńcy stawali się problemem. Jeden z generałów niemieckich zabranych do niewoli odniósł się nawet arogancko mówiąc – nie wiadomo kto kogo ma w niewoli – dojdę do zrozumienia, że jest ich tutaj bardzo dużo. W niewoli jednak pozostał. Zgrupowanie to wreszcie nawiązało styczność z oczekiwanymi oddziałami amerykańskimi. Amerykanie dostarczyli zaopatrzenie i przejęli jeńców a było ich około 20.000. Dnia 20-ego i 21-ego sierpnia były krytycznymi dla dywizji. Mogło się wydawać, że oddziały nie wytrzymają tego nacisku. Oddziały własne zbyt wysunięte nie mogły być odciążone przez sąsiednie jednostki aliganckie, które również miały trudności. Nasz kapitan był świadkiem rozmowy gen. Maczka z oficerami sztabu, powiedział wówczas: jeżeli wytrzymamy jeszcze dwa dni, wygraliśmy, jeżeli nie wytrzymamy, przegramy wszystko. Wytrzymali i wygrali. Zachowanie się żołnierzy dywizji w tych walkach, było nie tylko bohaterskie ale również zadziwiające. Towarzysze w grupie artylerii oficerowie kanadyjscy

wyrażali najwyższe słowa uznania dla żołnierzy dywizji. W tych akcjach zachodziły wypadki które rzadko zdarzają się w historii wojen. Na „Maczudze" zachodziły wypadki, że czołgi strzelały do siebie z odległości paru kroków, umówiło się na długość lufu armatniej. Przemieszanie kolumn było tak duże, że w pewnym momencie, w czasie nocy, niemieccy regulatorzy ruchu zatrzymali kolumny własne i przepuścili polską kolumnę czołgów. Niemcy odsyłają do swoich oddziałów, polskie zespoły sanitarne, które przez przypadek znalazły się w kolumnie niemieckiej. Wszystko to wyglądało jak bajka. Nie była to bajka lecz rzeczywistość, to rzeź jaką rzadko można spotkać w historii wojen. Do walki stawali wszyscy bez względu na pełnioną funkcję nawet kapelani. Dnia 22-ego sierpnia walki ustały. Niemcy ponieśli wielką klęskę. Przegląd pola walki. Wszędzie leżą zabici, rozbite czołgi, działa, masa pojazdów, dużo koni zabitych. To widoczne straty poniesione przez niemców. Ilość zabranych jeńców przekracza parokrotnie stan dywizji. Są i własne straty, wynoszą około jednej czwartej stanu dywizji. Po tej akcji komunikaty wojenne armii alianckich przytaczały tę bitwę i działania polskiej dywizji jako wzór działań jednostek pancernych. Prasa angielska poświęcała całe szpalty tej akcji, akcentując zasługi polskiej jednostki. Gratulacje dla

dywizji od władz alianckich i polskich. Zgrupowano i uporządkowano oddziały, uzupełniono zaopatrzenie. Dywizja przechodzi do odwodu. Sztab artylerii dywizyjnej rozlokował się w jakimś terenie zadrzewionym niedaleko Chambois. Oficerowie sztabu gromadzą się zwykle wokół wozu dowodzenia, /wóz dowodzenia, to duży samochód ciężarowy o napędzie na wszystkie koła opancerzony 10 m/m blachą stalową, posiadał kabinę radiostacji z obsługą, kabinę sztabu i kabinę kierowcy./ tu rozkładano namioty i łóżka polowe. Czas odpoczynku spędzano różnie, odwiedzano kolegów, porządkowano akta walki, grano w karty. Przyjmowano gości. Napływały rozkazy pochwalne, listy gratulacyjne. Rozkazy odznaczeń i awansów. Nasz kapitan został odznaczony krzyżem walecznych. Rozkaz Dzienny 1 Dyw. Panc. Nr 44/44 z dnia 25-ego sierpnia 1944 roku. Również został awansowany do stopnia majora, Rozkaz Naczelnego Wodza L. dz. 2150/tj/pers z dnia 7-ego września 1944 roku. Rozkaz 1. Dyw. Panc. Nr 51 z dnia 17-ego września 1944 roku. W tymże czasie otrzymał list gratulacyjny od Ministra Obrony Narodowej, gen. Kukiela, z powodu awansu na polu walki. Oto treść tego listu:

/Tłoczony orzeł/

Ministerstwo Spraw Wojskowych

Londyn dnia 12 września 1944 r.

Przesyłam Panu Majorowi serdeczne gratulacje z okazji awansu, tak pięknie zdobytego na polu bitwy.

Minister Obrony Narodowej
M. Krukiel
Gen. Dyw.

Pan Major Piotr Chełchowski

Od tej chwili w naszym opowiadaniu zmieniamy nazwę uczestnika tych przeżyć. Będziemy używać nazwy nasz major. Być może, że major ~~za~~ snuł refleksje z przeżytych ostatnich dni, myślał: — tak, przeżyliśmy może najcięższe dni tej kampanii, może wykonaliśmy najcięższe zadanie, lecz ponieśliśmy największe straty. Sprzęt można wymienić uzupełnić ale straty w ludziach są bezpowrotne. Dla nich Polska się skończyła, dobyt domowe ich wędrówki do Polski. Napewno historia wojen naszego narodu, będzie brać tę walkę jako przykład operacji jednostek pancernych, jako przykład wielkiego bohaterstwa żołnierza polskiego. Prasa rozpisuje się, napływają gratulacje. Cóż, przyjemne, ale czy nie za marne. — To pytanie gnębiło go bezustannie. Zakończone tragicznie powstanie warszawskie, kładło się czarną plamą na umyśle żołnierza. Władza ze frontu wschodniego i cierpienia tam Polaków jeszcze pogłębiała troskę o przyszłość Polski. Nurtowało pytanie, co będzie dalej.

Przy porządkowaniu „Stakanda", kierowca zauważył tak niby od niechcenia: - niech pan major trochę w czasie bitwy uważa - Co się stało? ~~[illegible]~~ zapytał major. - Proszę popatrzeć na peryskop, - wskazał kierowca. - To jeszcze pod laskiem Ausney. - To już trzeci podobny wypadek jaki spotkał mnie w tej wojnie - zauważył major. - To co stwierdziłem bezpośrednio kiedy śmierć zajrzała mi w oczy, ale ile było takich, których nie zauważyłem, tego nie wiem. Do trzech razy sztuka Jasiu, trzeba więcej na siebie uważać. - Podświadomie miał jakieś wyczucie niebezpieczeństwa i to przez całe swoje życie, ileż to już razy uchylił się od legendarnej kosy. Żołnierz często ma swoje przesądy, wyczucie niebezpieczeństwa i wiele razy ratuje go to od śmierci. Odnośnie ostatniego wypadku, trzeba dać pewne objaśnienie. Normalnie w czołgu obserwowało się pole walki przy otwartej klapie w łazu. Tylko w bezpośrednim zagrożeniu, klapę zamykano, w tejże klapie znajdował się peryskop. Przy otwarciu klapy i wysunięciu głowy, dolna część peryskopu był tuż przy głowie. Pocisk karabinowy uderzył w peryskop. Z toru pocisku można było wnioskować, że minął głowę z lewej strony a rekoszet poszedł poza głową. Parodniowy odpoczynek dywizji dobiega końca uzupełnia się stany personalne i sprzętowe. Są wypadki, że polacy zabrani jako jeńcy niemieccy, zmieniają tylko mundury

na dywizyjne i wchodzą w jej skład walcząc na równi z innymi. W tych dniach odpoczynku, również w niektórych wypadkach zmieniano kadrę oficerską. Ci oficerowie którzy się nie sprawdzili odeszli do Anglii. Inni utracili swoje stanowiska. Z 2-ego szwadronu tęczowej odszedł jego dowódca a na miejsce został powołany kapitan Cinda.

Dywizja powoli wchodzi do bezpośredniej akcji. Pościg. Piękne dobrze. Jego pragnie każdy dowódca. Uczucie jest przyjemne, nieprzyjaciel pokonany i wycofujący się, czasem uciekający. Dywizja idzie w kierunku granicy belgijskiej, stacza większe lub mniejsze bitwy przy zdobywaniu miast lub przekraczaniu rzek, mija Abbeville, St. Omer. Zatrzymuje wkraczając w atmosferę walki. Ludność francuska, wita spontanicznie, wiwaty na każdym kroku, butelki z winem, dziewczęta rzucają się w objęcia. To daje duże przeżycie psychiczne, tego się nigdy nie zapomina. Wszystko to piękne, ale od czasu do czasu, śmierć zbiera swoje żniwo. Chociaż walki nie są tak ciężkie jak w pierwszych dniach po wylądowaniu.

Dnia 6-ego września dywizja przekracza granicę belgijską. Ukształtowaniem terenu, kraj taki sam jak Francja, tylko powitania bardziej spontaniczne i bardziej serdeczne. A dla Polski, już sama nazwa mówi za siebie. Pierwsza wojna światowa, długotrwające walki

walki. Żołnierze patrzą na tłok przy wyjeździe z miasta, szukają nazwisk polskich, nie zabrakło ich. Tysiące nazwisk poległych tu żołnierzy alijanckich. Za tłokiem skansen dawnych okopów. Rynsztunek, broń, leży leży, jakby rozrzucona. Większe wyrwy po pociskach artyleryjskich, ale wszystko to wydaje się małe, mizerne, w stosunku do obecnych zmagań. Następnie Thielt dalej Gent/Gandawa/ Tu spotyka Polaków żywiołowe powitanie, pełno ludności cywilnej na ulicach. To już drugi raz w historii tego miasta, gdy wojska polskie wkraczają tutaj jako armia zaprzyjaźniona. Walki trwają jeszcze w mieście i poza miastem. Jadąc wozem przez miasto, w części zajętej, pełno ludności na ulicach, pełno flag belgijskich i polskich, napisy powitalne po polsku. Zbliżając się do linii frontowej, coraz mniej ludności na ulicach, mniej wiwatów. Jeszcze dalej ulice puste, gdzie niegdzie flagi. W końcu i tej oznaki radości zabrakło. Załoga przestaje rozdawać cacusy i pokłony, kryje się w pancerzu pojazdu a włazy zamyka wtazy. To już pierwsza linia walki. Z ludnością Gentu nawiązano wiele przyjaźni, wielu polaków po wojnie tu się osiadło. Gandawę oczyszczono z resztek oddziałów niemieckich. Teraz dywizja idzie na St. Nicol. Dalej na północ w kierunku morza. Granica

holenderska. Walki na przeprawie przez kanał Axel-Hulst. Przy przekraczaniu tego kanału, zdarzył się bardzo nieprzyjemny incydent. Dwa szwadrony pułku dragonów zostały rozbite, przez pewną lekkomyślność. Pułk dragonów zorganizował dwoma szwadronami wypad nocny na drugą stronę kanału. Kto takie zarządzenie wydał lub sugerował, stanowiło tajemnicę. Wypad się nie udał, szwadrony rozbite i rozproszone po stronie nieprzyjacielskiej. Na tym odcinku działań pułk dragonów podporządkowany był dowódcy brygady piechoty dowodzonej przez płk Skibińskiego. Z tego tytułu musiał on wiedzieć co się dzieje na jego odcinku walki. Dowódca artylerii nie przygotował ogni osłonowych, również ponosi winę. Oficjalnie winę obciążono dowódcę pułku dragonów którym dowodził w tym czasie kpt Kownas. Po tym wypadku został on zdjęty ze stanowiska dowódcy dragonów i przeniesiony na stanowisko dowódcy szwadronu czołgów. Dla wyjaśnienia tej sprawy dowódca dywizji zarządził dochodzenie. W niedługim czasie kpt. Kownas zginął w walce, sprawa upadła. Koledzy jego nadmieniali, że narażał się bezpotrzebnie jakby umyślnie dążył do samozagłady. W walce cały czas zostawał wysunięty ponad wlaz wieży i tak zginął. Przykry to incydent, wywoływał niesmak.

Dalsza zorganizowana akcja była skuteczna i kanał zforsowano. A oto pewien obrazek z tej akcji. Tuż za kanałem, wozy ~~na~~ z jakiejś tam przyczyny zostały zatrzymane na chwilę. Jak zwykle kierowcy wyszli z wozów dla odpoczynku ale co ciekawsi zajrzeli do okopów niemieckich. Jeden z nich wyniósł na ramieniu odciętą nogę żołnierza niemieckiego wołając: - Ten dostał dwa razy - Rzeczywiście kolano było zabandażowane a noga odcięta dużo wyżej. Ktoś krzyknął - rzuć to. - Noga powędrowała do okopu. Dywizja dociska reszty oddziałów niemieckich do morza ~~w~~ rejonie Terneuzen. Mówiono - trzeba ich wytopić zanim zdążą się ewakuować - A oto już morze. Jeszcze w niedalekiej odległości barki załadowane niemcami, są w zasięgu dział czołgowych. Pociski rozpryskowe biją po barkach, te toną jedna po drugiej. Tak zostały dobite resztki niemców którzy walczyli na tym odcinku holenderskim. Po oczyszczeniu rejonu Axel-Hulst dywizja idzie na Antwerpię. Duże belgijskie miasto, duży port. Tak wędrują w walce żołnierze dywizji z Francji do Belgii z Belgii do Holandii i znowu z Holandii do Belgii ale to jeszcze nie koniec po zdobyciu Antwerpi znowu Holandia. Pierwsza miejscowość Belgijsko-Holenderska to Baarle Nassau. Enklawa belgijska w Holandii. Można określić, że granica

jest tu śmiesznie ukształtowana. Zdarzało się, że dom mieszkalny jest na terenie jednego państwa a zabudowania gospodarskie tego samego właściciela są na terenie drugiego państwa. Wiz jednak nie potrzeba, ludzie ze sobą współżyją a walki graniczne nie istnieją. Przy zabitych niemcach w tej miejscowości, znaleziono listy od ich kolegów, którzy likwidowali powstanie warszawskie. W listach tych narzekali na ciężkie walki i nieprzychylność ludności polskiej. Ztąd kierunek Breda. Dnia 30-ego października zdobyto Bredę, bez specjalnie ciężkich walk, oszczędzano miasto. Gościnne przyjęcie, ludność okazywała dużą serdeczność. Ale do morza jeszcze kawałek drogi usiany przeszkodami, olbrzymie zalane tereny, tylko wyniesione drogi, na nasypach zagrodzone ~~przez~~ zaporami żel-betonowymi, trzymanymi pod ogniem, wskazywały kierunki możliwe do nataré. Niemcy trzymają przyczułek Moerdijk, to ich ostatni bastion. Do natarcia na ten przyczułek dywizja otrzymała dodatkowe wsparcie dziewięciu pułków artylerii oraz doświadczalną baterię rakietową. Ogień artylerii całkowicie przydusił obronę niemiecką. 10 psk podszedł do zapór na drodze i bezpośrednim ogniem przy użyciu pocisków przeciwpancernych zkruszył zapory, czołgi przedostały się do przyczułka, likwidując

resztki obrony. Z tych walk, jako humor opowiadano, że dowódca 10 psk. rotmistrz Wasilewski z miarką centymetrową, mierzył szerokoś wybitego otworu w betonowej zaporze dla sprawdzenia, czy czołgi będą mogły już przejść. To humor, ale fakty prawdziwe. Cofniemy się trochę w naszym opowiadaniu. Między Bredą a Moerdijk, znajdowała się jeszcze jedna przeszkoda terenowa, kanał Mark, którą trzeba było sforsować. Ognie artylerii kładzione za przeszkodę spowodowały pewną niespodziankę dla artylerzystów. W dniu tym pogoda czysto holenderska, powietrze wilgotne na ziemi opary do tego bez wiatru. Ogień dział intensywny, tak że lufy dział okładano zmoczonymi kocami. Wokół dział zaległa chmura zmieszana ze spalinami prochu. Obsługi dział tak wymiotowały, że co jakiś czas usuwano je poza stanowiska dział. W tym czasie nasz major znajdował się na punkcie przejścia. /punkt przejścia - miejsce składania kolum oddziałów wchodzących do walki/ Patrzył zadumany na tę potęgę żelaza, potęgę która ~~go~~ uskrzydlała jego wyobraźnię. Wilgotna ziemia holenderska, mieszana gąsienicami rozpryskiwała się na boki. Czołgi wydawały, wydawały się być lekkimi pojazdami, tylko ryk silników świadczył o ich ciężarze. Kierowcy prowadzili je, jak najlżejsze pojazdy posuwające się po gładkiej drodze. Nad wieżami

gotowy do wódców z mikrofonami przy ustach tylko od czasu do czasu zwracali uwagi dla kierowców. Załogi dworzyły jedną całość z tą masą żelaza. Major oderwał ich potęgę. Zdawał sobie sprawę już wówczas, że do wojska nie wróci do kraju. Ludzie ci, mimo tak wspaniałych zwycięstw, tak radosnych powitań na każdym kroku, sami tej radości nie posiadali, zamknięci w sobie. Uśmiechali się do niewiadomych, może w tych momentach wydawało się im, że wkraczają do Polski, o której stale marzyli. Ta wojna nie otwarzała pieśni na ich ustach, pieśni wojennej czasem frywolnej, która towarzyszy nam w bitwach i marszach i na postoju. Zima zastała dywizję w Bredrii i jej okolicach. Z zadaniem dozorowania 25-cio kilometrowego odcinka w zatoce Mozy. Służba nudna jak dla dywizji pancernej ale stany nadzwyczajnie wykruszone w czasie walk a również częściowo trzeba było wymienić czołgi, które miały za sobą limit przebiegu. Stopniowo przybywały uzupełnienia. Częściowo z Bliskiego Wschodu, częściowo polaków ~~jeńców~~ ~~armii niemieckiej~~ przymusowo wcielonych do armii niemieckiej a którzy dostali się do niewoli a także ochotników z Francji. Stany dywizji doszły do pełnych etatów. Wymieniono ciężki sprzęt i część uzbrojenia. Postój w Bredrie stał pod znakiem odpoczynku i regeneracji do pełnej sprawności bojowej. Rozpoczęły się urlopy. Wyjazdy do Anglii, Francji a przede wszystkim Belgii. Bruksela stała się

największym ośrodkiem urlopowym.
Wyjeżdżano tam nie tylko dla zmiany otoczenia i przypomnienia sobie świata cywilizowanego ale również dla wymiany pieniędzy na której mieli korzyści osobiste. Powstał nawet pewien proceder handlu, znaleźli się polscy żydkowie, chętnie dając ustugi, oczywiście nie za darmo. Proceder ten łypiły władze wojskowe. Żołnierze korzystali z wydzielonych hoteli oficerowie również teer podzielone według państw należących. Dywizja wchodziła w skład armii kanadyjskiej, która weydawała w hotelu „Atlanta", przy głównej ulicy miasta. Urlopy takie trwały trzy dni, w czasie tym czyniono niezbędne zakupy. Były również sklepy wojskowe w których można było zakupić przedmioty przydziałowe. Pomadko nawiązywano kontakty z płcią piękną a do tego konieczne. Hotel „Atlanta" urządzony luksusowo. Z pewną oprawą artystyczną przebiegały kolacje. Zawsze występowały zespoły muzyczne o różnym składzie. Podawano wykwintne dania i wszelkie trunki. W Brukseli nie nie brakło nawet owoców południowych krajów. Kolonie wszystko dostarczyły i to bardzo szybko, gdy akweny morskie stały się bezpieczne. O ile Paryż nie mógł się wygrzebać z przejść wojennych, o tyle Bruksela tętniła życiem. Sklepy przepełnione towarami. Tu płynął pieniądz armie aliantckie pozostawiały swój żołd. Krążyły pogłoski, że jedynie Belgia ma bilans dodatni w tej wojnie. Do czasu osiągnięcia Bredy,

żołnierz nie przywiązywał znaczenia do wartości pieniądza, można powiedzieć, nie dbał o dobra doczesne. Chętnie dzielił się wszystkim co posiadał, papierosy, czekoladę rozdawał ludności cywilnej, sprawiało mu to przyjemność. Rozkosze życia miejskiego prawie pokojowego, poczęły budzić potrzebę pieniądza. Powstawały nadmierne wymiany w kasach wojskowych. Ograniczono wielkość kwot wymienianych. Pobyt w Bredzie mógł być sielankowy jak na front wojenny, gdyby nie Kapelsche Veer. W miejscu tym znajdował się niewielki przyczółek niemiecki po polskiej stronie Mozy. Niemcy mieli jeszcze nadzieję, że z tego przyczółka uderzą na tę część Holandii a następnie dalej na południe na Belgię. Patrole niemieckie z przyczółka zapuszczały się w głąb terenów dozorowanych przez polską dywizję. Postanowiono ośrodek ten zlikwidować. Polskie natarcie nie dało rezultatu ale dało rozpoznanie obrony nieprzyjaciela. Dowództwo alianckie zorganizowało natarcie komandosów, ponieśli ciężkie straty. Zorganizowano drugie natarcie komandosów, przy wsparciu dużej ilości artylerii oraz czołgów. Przyczółek zlikwidowano. Główną linię obrony na przyczółku, stanowił wał ochronny w którym urządzono schrony ale wejścia do nich były od strony przeciwnika. W czasie walki nikt nie mógł się wycofać. Zaopatrywano się tylko w czasie nocy.

Trzecie uderzenie na przyczółek zorganizowane starannie i z dużą siłą ognia. Środki ogniowe przeciwnika strzelające z za Mozy, zostały całkowicie przyduszone ogniem artylerii. Czołgi trzymały pod ogniem strzelnice niemieckie umieszczone w wale. Kommandosi po dotarciu do wału, posuwając się w dłuż nasypu likwidowali poszczególne punkty oporu. Przyczółek zlikwidowano. Ze stanu batalionu pozostało tylko trzydziestu niemców. Trzeba przyznać, że dzielność tych żołnierzy była wielka, co nawet wyraził dowódca komandosów, zabierając do niewoli dowódcę przyczółka. W tych walkach, stanowisko dział artylerii, ~~pracowały~~ nie było zakłócone ogniem nieprzyjacielskim. Punkty obserwacyjne miały bardzo utrudnioną pracę, krótkie pola widzenia z wykopów ziemnych, teren płaski. To też obserwatorzy zbliżali się do linii nieprzyjacielskich. W jednej z takich rozmów między radiotelegrafistą na punkcie obserwacyjnym a stanowiskami, padło kilka komend skracania odległości. Radiotelegrafista na stanowiskach zaskoczony tym zawołał do mikrofonu - czego tak drobisz - na to obserwato cichym głosem - Stasiu przybijacie dobrze bo pociski trzydzieści metrów przede mną. /Dokładność ognia dział angielskich w pewnej mierze zależał od dokładności przybicia pocisku w komorze amunicyjnej działa/

Z rejonu Bredy, dywizja wyjeżdżała do różnych akcji związanych z przygotowaniem wojsk do forsowania Renu. W jednej z takich akcji, około Bożego Narodzenia, sztab artylerii zakwaterował w małej wiosce, tuż obok kościoła. Przygotowywano się do wieczerzy wigilijnej. W pewnym momencie przeraźliwy ryk V1. Każdy z obecnych odruchowo skurczył się, wydawało się, że pocisk szybuje wprost na dom. Mieli wielkie szczęście, pocisk przeleciał tuż nad dachem, niszcząc przeleciał między kościołem i wysokimi drzewami, pozostawiając za sobą tylko smugę dymu. W tym czasie niemcy bombardowali Antwerpię bombami V1. Dywizja była na trasie tych pocisków, dlatego artyleria przeciwlotnicza rozpoczynała ich zestrzeliwanie. Ta ostatnia to jakiś niepotrzebny egzemplarz, narobił tylko strachu. W tym czasie armia niemiecka pod dowództwem Rundstedta przez Ardeny szła w kierunku Brukseli. Armia amerykańska poniosła duże straty. Dywizję postawiono w ostry stan pogotowia. Czekano na wprowadzenie do akcji. Rozmach tego uderzenia niemców zdołano zahamować w końcu rozbić główne siły. Niemcy wycofali się. Dywizja polska powraca do Bredy. Dnia 6-ego kwietnia 1945 roku dywizja wchodzi w skład korpusu brytyjskiego i przygotowuje się do działań na terenie niemiec. Brytyjczycy mieli pewne obiekcje użycia polaków na terenie Niemiec, liczyli się z masakrą ludności cywilnej

jako rewanż za marktyrologię na terenie Polski. Zdarzały się wypadki, że używano polaków jako straszaka w stosunku do jeńców. Skutkowało to radykalnie rozwiązywało języki. Dnia 8-ego kwietnia wymarsz dywizji z Bredy do nowego rejonu koncentracji. Forsowny marsz do Goor-Neede-Borculo-Lochem. Uderzenie na północ w kierunku miasta, wzdłuż granicy holendersko-niemieckiej. Walki w miejscowościach Almelo, Emmen, Ter Apel. Rejon trudny do działań jednostek pancernych. Oddziały te co jakiś czas utykają na kanałach. Grunty podmokłe, czołgi mogą się poruszać tylko po drogach. Saperzy mają bardzo dużo roboty. Oddziały polskie przekraczają rzekę Ems pod Haren i wchodzą na tereny niemieckie. W toku tych walk zaszedł wypadek wtargnięcia radiowej, rzadko spotykany na terenie kontynentu. Przez pewien okres cała sieć radiowa dywizji była głucha, radiostacje z odległości kilkuset metrów nie były słyszalne. Działania wstrzymano. Ta, nazwijmy, cisza radiowa, trwała dwie godziny. W tym właśnie czasie dowódca artylerii dywizyjnej płk Noel, chcąc dokuczyć swojemu dowódcy łączności, siedząc na wieży czołgu rozbijał orzechy włoskie mikrofonem radiostacji. Nasz major stanął i patrzył krytycznie na pułkownika. — Taki jest nasza łączność, tylko do rozbijania orzechów się nadaje — zawołał pułkownik i dał dalej orzechy. Major ze spokojem odpowiedział:

-Niech pan ma pretensje do nieba a nie do radiostacji. Ponad nami jest taka warstwa zjonizowana, która raz się podnosi innym razem obniża. Od tego zależą zasięgi radiostacji. Dla orjentacji otrzymujemy specjalne wykresy. Ten jednak wypadek jest unikalny i trudno wytłumaczyć przyczynę. Fakt ten można by pominąć i potraktować jako przypadek. Ale w odczuciu majora stanowił on nawiązanie do innych odczuć nagromadzonych przy pracy w sztabie. W tym momencie, dla siebie, sprecyzował opinię o pułkowniku. Krytyczne oceny zaczęły się gromadzić. Myślał: - prezencję on ma, elokwentny on jest, tym osiągał awanse i stanowiska ale fachowiec wojskowy, żaden. W sztabie, tylko szef sztabu mjr Sulewski (Sulewski) był dobrym artylerzystą i miał swój autorytet, toteż trzymał go do końca wojny. Reszta oficerów to podporucznicy i porucznicy bez większej wartości. Służyli do asysty i nadskakiwania i podziwiania pułkownika. „Dwór Nocla" mawiano. W pułkach, dotyczy dowódców pułków, nie tolerował dobrych fachowców, którzy mogliby skrytykować jego fachowość. Tak usunął płk Rydla i płk Kraudwalda. Major znał kulisy tych manipulacji. Ten ostatni zwierzał się naszemu majorowi, ze swoich poglądów na całkształt działań artylerii. Z szefem sztabu majorem Sulewskim, tylko mimochodem nawiązywał do tego tematu

Nie chciał aby w sztabie wytworzyła się atmosfera nieufności.

Zaraz po przekroczeniu granicy niemieckiej zostaje uwolniony obóz polek, żołnierzy A.K. z powstania warszawskiego w miejscowości Oberlangen. Wiadomość podano natychmiast przez wszystkie radiostacje dowodzenia. Wielkie poruszenie w dywizji, ciekawość spotkania znajomych z Polski. Kobiety rzucają się na ogrodzenia obozowe. Łzy po obydwuch stronach. Wielkie wzruszenie. W oddziałach wydano zalecenie aby dać dla obozu wszelką pomoc jaka jest możliwa. Zarządzono zbiórki darów indywidualnych, aby polepszyć warunki bytowania tych kobiet. Pobudziła się chęć zemsty na niemcach. W zajętych miejscowościach, wybijano szyby wystawowe. Wieprze drób, wędrowały do kuchen żołnierskich. Takiego procederu dotychczas nie stosowano, wręcz odwrotnie, żołnierz dożywiał ludność krajów zaprzyjaźnionych. Artyleria kładła ogień po miejscowościach, nawet bez specjalnych potrzeb, tylko aby zniszczyć i spalić. Cóż to jednak było w stosunku do tych strat jakie poniósł własny naród. Koniec wojny się zbliża, nie zdołają niemcom zapłacić ich cierpieniami. Uczucie bezsilności. Echa machinacji politycznych docierają do żołnierzy. Wielki żal do wszystkich i wszystkiego co ich otacza. Jednak walka trwa jeszcze dalej. Uderzenie na

Lingen, Papenburg, Wilhelmschaven. To już tylko dobójanie resztek tej wielkiej armady niemieckij. Dnia 5-ego maja 1945 roku o godzinie 08⁰⁰, artyleria otrzymała rozkaz przerwania ognia. Do ostatniej chwili działa biły bez przerwy, amunicja jest już nie potrzebna. O tej godzinie działania zostały zakończone. Koniec wojny. Nie było wiwatów z tej okazji, żołnierz stał posępny, stanął na rozdrożu, nie wiedział gdzie go losy poniosą. To nie taki koniec wojny, jakiego się spodziewał. Zdawał sobie sprawę, że nie wróci do kraju jako jednostka bojowa, że nie będą jej witać właśni rodacy. To było najbardziej przykre, bo mimo trudów i tych walących się kataklizmów politycznych, gdzieś głęboko pod sercem nosił żołnierski romantyzm. Wszystkiemu winna bezwzględna zaborczość rosyjska. Zabiera jedną trzecią część Polski. To nowy rozbiór. W takim nastroju zakończenia wojny światowej, dnia 6-ego maja dywizja przekracza Jade-Kanal, osiąga Wilhelmschaven i jego rejon, dla dozorowania złożenia broni i zebrania jeńców. Wejście na ten teren odbywało się z ostrzeżeniem gotowości do walki ale bez prowokacji. Oddziały dywizji szły między masami wojsk niemieckich, które wycofujące się

z frontu północno zachodniego, skupiły się na tym stosunkowo niewielkim obszarze. Tu wciąż jeszcze na stanowiskach niemiecka artyleria przeciwlotnicza wszelkiego kalibru a było jej dużo. Lufy skierowane ku niebu stały nieruchomo, wyglądały żałośnie ale również groźnie. Niemcy znosili broń i udawali się do rejonów zbiórek. To wielka wewnętrzna satysfakcja patrzeć na taką kapitulację. Przykro jednak patrzeć na te masy jeńców, którzy w jednej chwili, stali się podrzędną masą ludzką. Armia która przez pięć lat trzęsła nie tylko Europą ale całym światem, przegrała wojnę, skończyły się mity o jej potędze. Równocześnie do tego rejonu weszła armia niemiecka z północnej Holandii. Wojska te nie brały znaczniejszego udziału w walkach, przeważnie dozorowały wybrzeże morskie. Trzymani w rygorze wojskowym, weszli w pełnym porządku. Po uporządkowaniu spraw związanych z rozbrojem i segregacją jeńców, dywizja przechodzi do wyznaczonego rejonu dla okupacji Niemiec. Korzystając z przerwy nim oddziały przejdą do nowych zadań, zajrzymy do kasyna sztabu. Koszta tu zaraz rutyna stosowane przy posiłkach. Po obiedzie przy herbacie, oficerowie dobierali się towarzysko, aby wymienić jakieś spostrzeżenia lub uwagi wymienić zasłyszane nowinki.

Tym razem, nasz major wybrał pomocne krzesło, zamyślony, przygotowywał fajkę, powoli, zatrzymując się w czynnościach. Szef sztabu natychmiast to zauważył podsunął swoje krzesło i niby od niechcenia zagadnął - coś pana trapi, jakiś temat myślowy pan snuje. - Tak - odrzekł major - tematów jest dużo, ale w tej chwili nie są to tematy, które nas najbardziej interesują. Myślę o globalnym zagadnieniu wojny. Nie należy powodować się wynikiem takiej czy innej operacji, to są efekty chwilowe, które wpływają na czas okres wojny. Podstawowym elementem w obliczeniach jest chyba globalny stan przemysłu oraz masy sił ludzkich. Bez względu jakie współczynniki przeliczeniowe zastosujemy, to przewaga istniała nawet na początku wojny, nie mówiąc już o stanie przy końcu wojny. Analiza prosta i żaden rozsądny człowiek nie mógłby jej negliżować. Napewno w Niemczech ludzie tacy byli. - To prawda, odparł szef sztabu - ale tu trzeba brać pod uwagę jeszcze jeden aspekt. Dyktatury i ambicje Hitlera, przekreśliły zdrowy rozsądek. Musimy zdać sobie sprawę jak groźną jest taka sytuacja i do czego może doprowadzić. Brak kontroli społecznej, brak demokracji, brak mniejszości krytyki, spowodował zaślepienie umysłów a dalej wszystko szło siłą rozmachu, nastąpiło zezwierzęcenie - To prawda - analizował dalej major - ale ja jeszcze

szukam podłoża, które mogło powodować takie olbrzymie ambicje niemieckie. Jako cel, Niemcy postawiły sobie, zdobycie surowców oraz rynków zbytu. Takim środowiskiem spełniającym obydwa te warunki, był wschód. Aby dotrzeć do tych rejonów, należało pokonać przeszkody pośrednie. Te przeszkody w pierwszym rzędzie to Polska i Czechosłowacja. Z wypowiedzi zakulisowych, wiem, że Niemcy rozpoczęli swoją kampanię od ofenzywy dyplomatycznej, mówiło się nawet o konkretnych planach. Stanowisko Polski jest nam znane. Niemcy postanowili użyć siły. Do całej tej rozgrywki wchodziły również państwa bałkańskie, ze względów strategicznych, z tyłu Austria, Czechosłowacja i inne państwa bałkańskie aż do morza Czarnego. To najbliższa droga do surowców. Zajęcie Czechosłowacji, to dla nas ostatnie ostrzeżenie. Wiem również, z wypowiedzi ministra Becka, że dyplomacja nasza czyniła wszelkie wysiłki aby nawiązać współpracę z Czechami aby związać się paktem obronnym, ale wszystkie zabiegi trafiały na mur niechęci, wręcz odmowy. Czesi mieli swoją stawkę współpracy z Niemcami albo z Rosją. Uważali sobie za dyshonor aby Polacy przewodzili w jakimkolwiek układzie. Wynik znany a Rosja złożyła tylko protest dyplomatyczny, oświadczając

Czesi byli nastawieni tak antypolsko, że nawet w tym absolutnie groźnym momencie nie uczynili jednego kroku do współdziałań z Polską. Całe uzbrojenie potulnie oddali niemcom. Ani jeden oddział zwarty nie przeszedł na stronę polską, ani jeden samolot wojskowy nie wylądował na naszych lotniskach. Jedna prywatna awionetka i mała grupa żołnierzy z gen. Swobodą znalazły się w Polsce. Wymuszone nasze zajęcie Zaolzia, było tylko posunięciem taktycznym, chodziło o osłonę Górnego Śląska. Pomimo istniejących antagonizmów czeskich, społeczeństwo nasze nieprzychylnie komentowało to posunięcie. Zdawano sobie sprawę, że zbliża się do nas niebezpieczeństwo niemieckie. W naszych władzach nie był planowany współudział w agresji. Znam tę sprawę również. W tym czasie odbywały się manewry na granicy wschodniej, brałem tam udział, nic nie wskazywało na jakiekolwiek przygotowania. Improwizowano składy oddziałów, w drodze dostarczano amunicję. Manewry zakończyły się przedwcześnie. Potem przyszły zabiegi dyplomatyczne, jak pan wie ale to wszystko nie pomogło. - Szef sztabu dorzucił tylko: - Pakt Rybentrop-Mołotow to czwarty rozbiór Polski - odszedł do swoich zajęć. Nasz major pozostał i jeszcze analizował dalszy bieg wypadków. W myśli przebiegał mapę Polski. Granica Narew-Wisła tam jest mój dom rodzinny. Później korekta, po ustępstwach Niemiec

w obszarze państw bałtyckich, granica na Bugu. Sam osobiście widział te zmiany kiedy szedł szukać swojej rodziny. Znamy te wyjaśnienia w których na czoło wysuwają się względy taktyczne ale to tylko propaganda dyplomatyczna. Rosja chciała mieć korzyści polityczne, bez udziału w wojnie. Rosja komunistyczna nie wyzbyła się imperializmu carów. Spełniała wszystkie warunki zgodnie z treścią układu, a spełniała je tak skrupulatnie, że dostawy zboża dla Niemiec odbywały się do ostatnich godzin przed wybuchem wojny sowiecko niemieckiej. Ludność polską wywożono w głąb Rosji. Opisy tych wędrówek i związanych z nimi cierpień napływały od żołnierzy z bliskiego wschodu. Oni tworzyli armię Andersa. To wojsko nędzarzy którym udało się wyjść z Rosji. Gen. Sikorski chciał wykorzystać konflikt niemiecko-sowiecki aby ułożyć poprawne stosunki ze wschodnim sąsiadem Polski. Tak długo dokąd Rosja ponosiła klęski na polu bitwy, wydawało się, że stosunki są możliwe do ułożenia. Z chwilą kiedy armia niemiecka zatrzymała się w sukcesach polityka w stosunku do Polski uległa zmianie. Sowieci stawiali warunki nie do przyjęcia dla narodu polskiego. Tak w kraju jak i zagranicą a nawet w łonie samego rządu, powstawały tarcia, czyniono zarzuty gen. Sikorskiemu, że idzie na zbyt dalekie ustępstwa. Wyszła sprawa Katynia. Doszło do zerwania stosunków dyplomatycznych. Doszły sprawy powstania

Warszawskiego w czasie którego nie pozwolili Sowieci lądować samolotom ~~na~~ działaniom ~~na terenach~~ pomocy powstaniu na terenach przez nich zajętych. Przyszła Jałta. Ciche gen. Sikorski w wypadku samolotowym. Sowieci aresztują żołnierzy AK. Tworzy się nowy rząd i nową armię na terenie Rosji. Tragedia narodu polskiego staje się rzeczywistością. Nasz major ocknął się z zamyślenia, do wszystko przebiegło jak we śnie, wstał i rzekł sam do siebie: - idziemy do zajęć, trzeba kończyć tę Golgotę. Dywizja przechodzi do rejonu dozorowania na okres okupacji. Północno - zachodnia część Niemiec, od morza aż po Ruhrę, wzdłuż granicy holenderskiej. Miejsce postoju dowództwa artylerii - Lingen. Zmienia się całkowicie charakter działania oddziałów. Polegał on w pierwszym okresie tylko na patrolowaniu. Tylko oddziały tyłowe nie zmieniły swojego trybu pracy. Rozbudowa linii telefonicznych, obsługa central i dozorowanie urządzeń pozostałych, wykorzystywanych dla celów wojskowych. W krótce wyłonił się wielki problem. Pod opiekę dywizji napływali jeńcy z obozów jenieckich, z obozów karnych i tych którzy wywiezieni byli na roboty przymusowe. Z obozów jenieckich, oficerów jak również i szeregowych wcielano do dywizji dla uzupełniania stanów a nawet ponad dozwolone stany. Dla ludności cywilnej organizowano specjalne ośrodki. Całe wioski opróżniano

z ludności niemieckiej, w których kwaterowano Polaków. Cała ta manipulacja obejmowała sztaby dywizji. Część tej ludności polskiej oczekiwała możliwości ewakuacji do kraju, część zaś szukała możliwości pozostania na zachodzie lub wyjazdu poza Europę. W samej dywizji powstawał również problem - wracać do kraju czy pozostać na zachodzie gdyż przewidywano demobilizację dywizji. Pomimo tych perturbacji dyscyplina wojska nie uległa niekorzystnym zmianom. Czas pobytu na okupacji trzeba było czemś wypełnić. W pierwszym rzędzie, to urlopy. Oczywiście wyjazdy brytyjskie. Tam mieli swoich znajomych przyjaciół, przyjaciółki, tam byli przyjmowani serdecznie. Ponadto chcieli poznać Europę. Toteż można ich było spotkać we wszystkich państwach aż do sowieckiej linii demarkacyjnej. Bruksela jednak najbardziej przyciągała. Tradycyjny już hotel Atlanta stał się najczęściej odwiedzany przez oficerów. Żołnierz który dotychczas niedbał o dobra materialne teraz cały swój wysiłek włożył w ich poszukiwanie. Chciał przynajmniej na początek po zdemobilizowaniu zapewnić sobie egzystencję. To też wymiana pieniędzy, handel zdobytymi lub kupionymi rzeczami, stał się normalnym procederem, którego nie wolno było uprawiać, ale wszyscy o tem wiedzieli, że się go uprawia. To też w całej zachodniej Europie można było spotkać zambonowy z odznakami dywizji.

W dywizji nastąpiło szereg zmian w korpusie oficerskim. Gen. Maczek odchodził na stanowisko dowódcy korpusu z Wielkiej Brytanii, wielu oficerów ze sztabu dywizji zabierał ze sobą. Przed odjazdem odwiedził dowództwo artylerii i był przyjęty pożegnalnym podwieczorkiem. Atmosfera, jak zwykle lubił to generał była swobodna i przyjemna, chociaż ciążył pewien żal z powodu jego odejścia. Toczyła się swobodna dyskusja na temat naszej sytuacji. Stawiano wprost propozycję gen. Maczkowi aby dywizja wymówiła posłuszeństwo dowództwu brygadyjskiemu i uderzyła na wschód, będzie to demonstracja przeciwko układom krzywdzącym Polskę, która poniosła tak olbrzymie straty i doznała tak wielkich krzywd. Na to gen Maczek po pewnej chwili namysłu odpowiedział — No tak, dojdziemy do linii styku z armią sowiecką, anglicy nie będą z nami walczyć, wystrzelamy posiadaną amunicję, spalimy posiadaną benzynę, i co dalej? Brytyjczycy zamkną kurek dostawy amunicji i benzyny, to uniemożliwi dalsze nasze działanie, patrzmy realnie na nasze możliwości. — Argumenty całkowicie przekonywujące. Na ten temat dyskusję zakończono. Podwieczorek dobiegł końca. Oficerowie żegnali go serdecznie odprowadzając do samochodu. Przez około cztery lata był ich dowódcą, prowadził ich przez najcięższe bitwy tej wojny, w których osiągnęli do największe sukcesy. To pozostaje w pamięci na zawsze.

W dowództwie artylerii zaszły również zmiany. Płk. Noel odszedł do dowództwa dywizji na stanowisko – nijakie. Pożegnania nie było. Na jego miejsce przyszedł jeden z dowódców pułków artylerii lekkiej – intelektualne zero. Odszedł do Anglii szef sztabu artylerii mjr. Sulewski. Naszego majora łączyły z nim stosunki przyjacielskie, przecież razem w tym samym sztabie przebyli całą tę kampanię. Nasz major z żalem go żegnał. Na ostatniej rozmowie rozpoczętej od wspomnień zeszli na stosunki jakie panowały w sztabie. – Przykro mi, – rozpoczął nasz major, – że pułkownik nie zaakcentował należycie zasług pańskich. Przecież pan był duszą tego sztabu i głównym manipulatorem działań artylerii a osobiście okazał pan dużo odwagi, chociażby przytoczyć działania działania w rejonie lasu Quesney. Przecież ci pomocnicy w sztabie to podporucznicy i porucznicy na poziomie młodszych oficerów w baterii. Cechowało ich tylko schlebianie, nie powiem wazelinowanie, pułkownikowi. Za to zostali odznaczeni wysokimi orderami bojowymi. Przepraszam, że tak otwarcie się wypowiadam, ale mnie to gnębi. Przypuszczalnie nie spotkamy się już w życiu i nie chodzi mi o jakiekolwiek względy z pana strony. Chodzi mi zaś o uczciwość jaką należy przykładać do innych ludzi. – Szefowi sztabu drgały usta. Chciał się wypowiedzieć otwarcie, wylać swój żal, ale przecież chodziło tu o jego osobę, jego poczucie

honoru nie pozwalało na to. Nie chciał ujawnić swoich pretensji do pułkownika. Opanował swoje odczucia. - Nie pan, - zaczął po chwili, biorąc głęboki oddech, - pańskie spostrzeżenia są dla mnie jakgdyby nagrodą za naszą zgodną współpracę. Sam czasem myślałem, że może mylę się w swojej ocenie, pańskie wypowiedzi mnie podbudowały. Odnośnie pracy sztabu nasze oceny są zgodne, odnośnie pułkownika, nie mówmy, to mnie nasuwa przykre refleksje, odchodzę, może trafię na uczciwszych ludzi. - Nasz major chciał do końca wyczerpać temat i rzekł: - Chciałbym jeszcze wyrazić zdanie o jednym z naszych towarzyszy, który nie brał czynnego udziału w prach sztabu ale w tym sztabie czynił dużo zła, domyśla się pan o kogo chodzi, pułkownik dla uzupełnienia swojego dworu, sprowadził szwagra. To szabrownik, intrygant i donosiciel. To tak tylko dla uzupełnienia całości obrazu. - Szef sztabu uśmiechnął się, to tak jakby przyszło odprężenie i przytaknął - Taką opinię mam ja również, wszystkie odznaczenia były uzgadniane między szwagrami, ja w nich udziału nie brałem. - Rozmowa toczyła się dalej odnośnie przyszłych planów ułożenia sobie życia. Szef sztabu pozostawał na zachodzie, nasz major planował powrót do kraju. Pod koniec rozmowy szef sztabu zagadnął z uśmiechem: - Jaki temat

obecnie pan analizuje, może coś związane z naszą poprzednią rozmową? — Uśmiechnął się nasz major i zaczął: — To nowy temat. Analizuję obecnie, po tych doświadczeniach, pracę sztabu w założeniach ogólnych jak również organizację armii, te tematy się wiążą. Nie mam jeszcze konkretnych przemyśleń, ot tak chwytam poszczególne zagadnienia. Zacząłem od analizy pracy sztabu nie tylko w czasie wojny ale i w czasie pokoju. Czytałem w jakimś opracowaniu, że sztab buduje się, bo tak to trzeba nazwać, przez dwadzieścia pięć lat. Nie dobrnęliśmy tej końcówki w czasie pokoju ale zakończyliśmy ją w czasie wojny. Pan również dał swój wkład w tę końcówkę, ale czy będzie ona wykorzystana w polskiej armii, raczej wątpię. Oczywiście sztab tworzą ludzie. To też stawiane im wymagania muszą być bardzo wysokie. Tu moglibyśmy wyliczać różne chechi człowieka ale podstawowym elementem jest twórczy umysł. W tym miejscu miałbym zastrzeżenia odnośnie naszego sztabu przed wojną, może był brak ludzi na poziomie a może ci co wybierali, nie byli na poziomie. Moglibyśmy tu analizować cechi poszczególnych oficerów w przedwojennym sztabie głównym z ich znanych nam posunięć, ale to nie wyczerpuje zagadnienia, trzeba by wniknąć w całokształt ich pracy a na to potrzebne są materiały. Drugi temat który mnie nurtuje, to organizacja armii przedwojennej. Gdybym chciał określić jednym zdaniem, to ocena

prosta, była ona haotyczna i to od kompanii aż do armii. Weźmy dla przykładu najniższy element organizacyjny, kompania. Liczono ją w karabinach a nie sile ognia, karabiny i parę karabinów maszynowych, byle pojazd pancerny, nawet pojedyńczy mógł rozpędzić taką kompanię, jak to się mówi, na cztery wiatry. W swoim organicznym składzie winna ona mieć poza bronią ręczną, ciężką broń maszynową, swoją artylerię, to jest moździerze, i swoją organiczną broń przeciwpancerną. Tak wyposażona kompania może tworzyć nawet samodzielny ośrodek walki. A wyższe jednostki organizacyjne, jak brygada, nie istniały. Zastępczo w walce tworzono oddziały wydzielone, to komplikuje organizację. Brak szczebla korpusu, zastępczo tworzono grupy operacyjne. Te dorywcze organizacje nie posiadały środków dowodzenia. Na to wszystko moglibyśmy przytoczyć setki przykładów. – A co pan myśli o łączności? – wtrącił szef sztabu. – To jest oddzielny temat – ciągnął dalej major – o tym lepiej nie myśleć, to dno. Wymagałoby zająć się tym jako oddzielnym tematem. My jako łączność pracowaliśmy system z pierwszej wojny światowej, to wystarczy na wydanie opinii. Jeszcze na zakończenie naszej rozmowy chciałbym nadmienić o wyszkoleniu kadry

oficerskiej. Teoretycznie a nawet praktycznie po ukończeniu szkoły podchorążych, można było awansować do stopnia generała i takie wypadki mieliśmy, nie sądzę, że byli to geniusze. Wszystkie te dalsze kursy, to kursiki, nie wniosły należytego wyszkolenia. A szkolenie stopnia szeregowych? Opierało się na doświadczeniu własnym oficera, brak było programów ogólnie obowiązujących. – Może zajmie się pan opracowaniem tych zagadnień? – Zauważył szef sztabu. – Nie widzę potrzeby – odparł nasz major – to polskiej armii nie będzie potrzebne. To już tylko historia. Nie miejmy złudzeń. – Pożegnali się, życząc sobie szczęścia na dalszej drodze życia. Nasz major jeszcze tylko dorzucił: – ~~W tym sztabie~~ Do tego sztabu wszedłem z chwilą rodzenia się dywizji i odejdę z chwilą jej demobilizacji. – Odszedł na kontrol central telefonicznych, przeglądał kwatery żołnierskie, pojazdy ustawione w szeregu, wszedł do wieży „Stakanda", uruchomił radiostację, pokręcił gałkami, przeszedł skalę na wszystkich zakresach, trochę telegrafii i radiofonia w obcych językach. Ruszył pokrętłami wieży, otworzył i zamknął zamek działa. Coś mu brakowało. Coś ginęło, to coś co już nigdy nie powróci. Jeszcze patrzył na tę masę stali, która uratowała mu życie i to nie wiadomo ile razy. Odszedł na swoją kwaterę.

Ze szwadronu łączności awansowany majorem odszedł kpt. Ginda do oddziałów organizowanych w Anglii. Na jego miejsce przydzielono por. Delimatę. Bardzo dobry oficer, wspaniały kolega, miał tylko jedną cechę, która nie podoba się wielu przełożonym, mówił prawdę w oczy. Naszemu majorowi to nie przeszkadzało gdyż sam lubił mówić prawdę w oczy. Przyjaźń zawiązała się szybko. Obydwaj przygotowali się do życia cywilnego, a więc zbieranie urządzeń technicznych do założenia przyszłych warsztatów pracy. Wędrowali wspólnie do różnych miast niemieckich aby nabyć odpowiedni sprzęt. Por. Delimata wyjeżdżał do Irlandii, ożenił się z irlandką, gdzie miał zamiar się osiąść. Nasz major wyjeżdżał do Anglii aby zabrać tam nabyte aparaty pomiarowe. No i oczywiście Bruksela jako ośrodek handlowy. Czasem w Lingen zjawiał się wojskowy zespół artystyczny a nie obyło się również bez zabaw żołnierskich, polek było dużo. Stosunków z niemcami i niemkami nie utrzymywano, „bratanie się – zabronione." Któregoś dnia nasz major otrzymał telefon z dowództwa łączności dywizji, że ma się zgłosić w Mepen u płk. Grajkowskiego, dowódzcy łączności dywizji. Chwilę się zastanawiał, co może być powodem tego wezwania. Pułkownik nigdy dotychczas go nie wzywał ani jako przełożony nie odwiedzał, wiedział przecież, że służba przebiega bez usterek.

Wsiadł do samochodu i wyjechał do Mepen ale w drodze prześladowało go pytanie, po co? Pułkownika znał jako pracowitego i uczciwego człowieka, chociaż prochu nie wymyślił. Meldowanie się jak zwykle służbowe. Pułkownik w swojej prostocie i bez wprowadzenia do tematu rzekł: - Podałem pana do odznaczenia krzyżem Virtuti Militari ale pułkownik Noel się nie zgodził. - Naszego majora nie zaskoczyła ta wiadomość powiedział tylko spokojnie: - wreszcie się zemścił, nie mógł, czy może nie wypadało zrobić tego otwarcie, posłużył się osobą pana pułkownika. - Czy powstał jakiś konflikt między wami - zapytał pułkownik. - Tak, nawet duży konflikt, - major chwilę się zastanawiał, czy wyjaśnić tę sprawę, przecież to nie będzie miało wpływu na stanowisko płk Grajkowskiego, ale chciał odpowiedzieć na to pytanie. - Miałem konflikt. Płk Noel usunął mi dwuch dowódców szwadronu i to bez mojej zgody a nawet wiedzy teraz chciał usunąć trzeciego, bo mu nie odpowiadał, to znaczy nie ~~st~~ praktykował wazeliny, ~~tym bardziej~~ służbowo zaś nie miał żadnych zarzutów. Rozmowa przebiegała gwałtownie nie mogłem się opanować, rzuciłem fajką w pułkownika, którą trzymałem w ręce, ale mogłem uczynić to każdym najbliższym mi przedmiotem. Na tym nasza rozmowa się zakończyła. Myślałem, że pociągnie

mnie do odpowiedzialności. Ale tego nie uczynił, bo musiałby postawić mnie do raportu przed dowódcą dywizji a tu bał się skandalu, nie chciał poniżyć swojego prestiżu. Znalazł inne środki jak ten o którym mówi pan pułkownik. Chciał mnie poniżyć w oczach oficerów sztabu, podał mnie do krzyża zasługi zamiast odznaczenia bojowego ale tym wystawił sobie świadectwo, bo przecież całą tę kampanię przebyłem razem z nim czołg obok czołgu i to we wszystkich akcjach jakie prowadziła dywizja. Namyślałem się nad odmową przyjęcia tego odznaczenia, ale w tym miejscu ja nie chciałem skandalu, na koniec mojej służby w dywizji, ja nie walczyłem o medale, nigdy o nich nie myślałem. Ja walczyłem o Polskę. Do tego weszła jeszcze kobieta, ale to już prywata i sprawa intymna, której nie chcę tu wyjawiać. To stanowisko płk Noela dyskwalifikuje go, nie tylko jako przełożonego ale nawet jako człowieka, posługuje się zamaskowanymi intrygami. - Tymi wypowiedziami wylał swój ukrywany żal, odczuł ulgę. Patrzył jeszcze na pułkownika aby odczytać jego reakcję ale zgóry wiedział, że nie będzie żadnej. To człowiek nie zdolny do jakiejkolwiek inicjaty, która mogłaby złagodzić sprawę. Uważał, że spełnił swój obowiązek służbowy i sprawa ta przestała dla niego istnieć.

Jeszcze parę zdań o mało znaczącej treści i rozmowa została zakończona. Pobyt na okupacji przedłużał się. Czas trzeba było czymś wypełniać. Nasz major miał dobre stosunki z pułkami to też na wszystkie uroczystości urządzane przez pułki był zapraszany. Tam gdzie byli myśliwi zapraszano go na polowania. Lubił wogóle polować, czasem sam, tylko z psem, przemierzał pola i zarośla, czasem brał kolegów ze sztabu. Głównym celem przedłużania swojego pobytu w dywizji, było zdobycie jak największych oszczędności aby rozpocząć życie cywilne z pewną podstawą materialną. Również miał na uwadze pomoc rodzinie w jej ciężkiej egzystencji. Co pewien czas przesyłał pieniądze i odzież przez odjeżdżających do kraju. Wszystko to co wysyłał przez żołnierzy szwadronu łączności, którzy wcześniej zgłosili się do ewakuacji, dotarło do żony w całości. To zaś co przekazał przez znajomych z obozów, zaginęło. Wartość może niezbyt duża, to jest ~~tr~~ sześćdziesiąt dolarów i odzież, ale dla rodziny miało to również wielkie znaczenie. Tak przebiegły dwa lata tej okupacyjnej służby. Zbliżał się czas powrotu do kraju. Wiadomości napływające z kraju były nie pomyślne. Rozprawy z A.K., postępowanie z żołnierzami powracającymi z zachodu, nie rzadko zdarzały się ich aresztowanie. To mogło budzić zastrzeżenia odnośnie

decyzji powrotu do kraju. Nasz major nie zmieniał decyzji. Przede wszystkim myślał o rodzinie i o nowym życiu w nowych warunkach. Do podróży przygotował się starannie. Przede wszystkim zgromadził sprzęt techniczny do planowanego warsztatu pracy. Następnie odzież cywilną dla siebie i odzież dla żony i dzieci. To wszystko zapakował w skrzynie. Część mniej wartościowego sprzętu zapakował w odzielne skrzynie i przesłał przez YMCA, gdzie miał dobrego znajomego a ten z całym wyposażeniem tej organizacji udawał się również do kraju. Oszczędności swoje i należność demobilizacyjną, która wynosiła trzysta funtów, przekazał na bank angielski w którym lokował swoje oszczędności. Kilkaset dolarów zachował przy sobie aby te pierwsze dni w Polsce trochę zabezpieczyć. W ciągu tych ostatnich dni miał czas na przemyślenie planu przyszłej pracy. Zdawał sobie sprawę z trudności przejścia z trybu życia wojskowego do życia cywilnego. Tu wszystko dostajesz, wyżywienie, ubranie, kwaterę i nic cię nie obchodzi zkąd to wszystko przychodzi. W życiu cywilnym, to wszystko musisz sam wypracować. W wojsku nie myślisz co masz robić, na to są rozkazy i pewna rutyna. W życiu cywilnym, to wszystko musisz sam przemyśleć. Nie jest łatwo przestawić swoje kilkudziesięcio letnie przyzwyczajenia na nowy tryb życia. Taki człowiek, to człowiek chory a leczyć może się tylko sam.

Powrót do kraju

Nasz major przygotowany całkowicie na powrót do kraju załadował swój bagaż, a było go prawie cały samochód ciężarowy, ~~i odj~~ i odjechał do ośrodka repatriacyjnego, który znajdował się w QUAKENBRÜCK. Tu znajdowały się dwie władze polskie. Dywizyjna wystawiająca zaświadczenia o stanie w armii polskiej na zachodzie i przygotowująca transport. Druga, to przedstawiciele nowego rządu w Warszawie, którzy kwalifikowali czy dany osobnik może powrócić do kraju. Każdy był zobowiązany zgłosić się w tej delegaturze aby otrzymać odpowiednie zaświadczenie. Takie, można powiedzieć, badanie przeszedł również nasz major. Do tego urzędu wchodził w przygnębieniu, on który tyle walczył o Polskę, dzisiaj zdany jest na łaskę osobników o podejrzanej przeszłości a napewno nie sprawdzonej przeszłości. Może on handlował tylko rybanką a może przesiedział w czasie wojny za kątkiem. Trudów wojny na nich nie było widać. Na stawiane pytania odpowiadał mechanicznie, że wszystko wyszedł ~~spocony~~ z tego urzędu spocony. Zezwolenie na powrót do kraju otrzymał. Krótki pobyt w ośrodku w oczekiwaniu na transport. Podstawiono zestaw wagonów, osobowe dla ludzi i towarowe na bagaże. W składzie tym odjeżdżało do Polski około tysiąca ludzi. Na okres podróży wydano porcje żywnościowe. Na komendanta tego transportu wyznaczono naszego maja. Niechętnie przyjął ten problematyczny

zaszczyt, gdyż zdawał sobie sprawę jakie komplikacje mogą zachodzić w czasie podróży. Poza wojskowymi, była część ludności cywilnej nie przyzwyczajona do rygorów jakie mogą być konieczne w takiej podróży. Do transportu dołączono pluton wojsk brytyjskich jako konwój składu pociągu a do tego celu aby skład ten powrócił do ośrodka demobilizacyjnego, gdyż zdarzały się wypadki, że takie składy ginęły gdzieś po drodze. Odjazd. Kończą się związki z armią polską na zachodzie. Żal pożegnania z koleżankami z tym patriotycznym dzielnym wojskiem. Rzeczy teraz w nieznane. Pierwszy postój na linii demarkacyjnej między armią brytyjską a sowiecką. Kontrola celna po stronie brytyjskiej przebiegła bezkomplikacji. Po stronie sowieckiej, zaczęto czegoś szukać po wagonach, nikt nie wiedział o co chodzi. Mówiono, że szukają motocykli. W transporcie nikt nie posiadał motocykla, były tylko mowy wózki inwalidzkie i te chciano zabrać. Konieczna była interwencja zakropiona sporą ilością wódki. Wózki zostawiono. Dalsza podróż przebiegła spokojnie, trwała około dwie doby. Dnia 24-ego czerwca transport dotarł do Szczecina. To już Polska. Późnym wieczorem, kiedy przybył transport, zgłosił się przedstawiciel P.U.R. /Państwowy Urząd Repatriacyjny/ i objaśnił o dalszym przebiegu czynności w obozie przejściowym, skąd repatriantki będą mogli udać się do swoich miejsc zamieszkania.

Na drugi dzień rano, przewieziono ludzi i bagaże do obozu, na który przyjechały koszary poniemieckie. Nasz major przekazał transport formalnie oraz oddał pozostałe prowianty do kuchni obozowej. Na tym skończyły się kłopoty związane z prowadzeniem transportu. Teraz pozostały tylko kłopoty własne. Po siedmiu i pół roku powrócił do ojczyzny. Zestawmy teraz całokształt przeżyć wojennych majora. Jeden cały rok walk w pierwszej linii. Pięć razy przechodził linię frontu z jednej strony wojsk walczących na drugą stronę. Trzy razy przebijał się z oddziałem z okrążenia. To co wiedział na pewno, trzy razy był na celowniku, powiedzmy o milimetry od głowy. Trzy razy przechodził przez granicę na zielono w tym dwie pod ogniem. To wystarczy jak na jedno życie. Jako formy wynagrodzenia, do awans na porucznika. Odznaczenia: krzyż Virtuti Militari, krzyż walecznych z tarczą krzyż zasługi z mieczami, medal wojska polskiego na zachodzie, medale angielskie - 1939-1945 star, France and Germany star, Defence medal, The war medal. Jednak te wszystkie odznaczenia nie mogą rekompensować, rzucania na szalę własnego życia, ale do jakiś filozofia. W tych wszystkich okolicznościach i niebezpieczeństwie, człowiek ma nadzieję, że wyjdzie cało. Wyszedł o czym świadczą te zapisane strony o jego przygodach.

Wróćmy do obozu repatriacyjnego. Tu znowu cały szereg formalności, papierki, formularze, dowody i symboliczna złotówka za wwieziony majątek osobisty. Szczegułowe przesłuchanie na placówce U.B. /urząd bezpieczeństwa/ gdzie zabierano wszystkie dowody osobiste, nawet legitymację towarzystwa Polsko-Szkockiego. Przez pomyłkę w dywizji wystawiono majorowi dwa dowody oficerskie, jeden oddał, drugi zachował na pamiątkę. Posiadaną broń zabrało U.B. Broń myśliwską potraktowano jako depozyt. Po zakończeniu tych wszystkich formalności, co trwało dwa dni, dawano bilety kolejowe do miejsca przewidywanego zamieszkania. Jak wiemy major miał ze sobą duży bagaż a ponadto pies myśliwski zwał się „Asan". W pojedynkę nie było możliwości pilnować tego bagażu, zdarzały się kradzieże, o czym ostrzegano, równocześnie organizować transport a nawet gdyby był, to tych posiadanych skrzyń w pojedynkę nie mógł załadować. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, syn jego jakby wyczuł datę ~~mojego~~ przyjazdu, zresztą pisał o powrocie ale nie mógł przewidzieć gdzie go skierują. Syn dowiedział się gdzie przybywają repatrianci z Niemiec i przyjechał do Szczecina. Odnalazł ojca jeszcze w obozie repatriacyjnym. Major zauważył jak syn zbliżał się w jego stronę, bagaże leżały na polu, pozostawił go jako małego chłopca, dzisiaj to wysoki młodzieniec. Przywitali się serdecznie.

Trzymał go w objęciu, to była ~~p~~część jego osobowości, myśli i nadziei. - Jak mnie poznałeś - zapytał ~~m~~ojciec. - Ten duży bagaż i pies, o którym wiedziałem, że posiadasz, zwrócił moją uwagę i zaraz cię poznałem. - Jak mama, jak Hanka, jak mieszkacie, czy mama pracuje, jak ~~dawali~~s, dajecie sobie radę - Oto pytania które stawiał ojciec. - Szczęśliwie, że przyjechałeś, to daje szansę dowiezienia w całości tego bagażu do domu. - Bagaż przewieziono na dworzec. Tu nowe trudności z załadowaniem bagażu do pociągu osobowego. Papierosy i dolary ułatwiały pokonywanie wszelkich przeszkód. Droga do Warszawy przebiegła bez przeszkód. W Warszawie znowu dużo kłopotu. Bagaż trzeba było przerzucić samochodem z dworca głównego na dworzec wschodni. Starania o samochód ciężarowy. Dotarli na dworzec wschodni. Tu znowu komplikacje, bagaż pozostał w magazynie i miał czekać na pociąg towarowy. Do tego nie wolno było dopuścić, bo to znaczyło, pożegnać się z bagażem. Krótka rozmowa z magazynierem, parę dolarów do ręki i bagaż w ostatniej chwili znalazł się w pociągu osobowym, razem z ojcem i synem. Nawet pies nie był kwestionowany. Wreszcie stacja kolejowa Siedlce. Koniec podróży. a bagaż dowieziony w całości. Syn pobiegł do domu aby zawiadomić o przyjeździe i sprowadzić furmankę na przewiezienie bagażu.

W międzyczasie nadbiegła córka, mimo, że pozostawił ją jako małe dziecko, poznał od razu, że już duża dziewczyna. Rzuciła się na szyję ojca, trochę ciekły łzy. Łzy radości, odzyskała ojca. Żonę spotkał dopiero w domu, była na lekcjach, pracowała jako nauczycielka. Spotkanie przebiegło rozczulająco. Siedem i pół lat żyli zdala od siebie, żyli nadzieją że znowu się połączą i stworzą tak pożądany dom rodzinny. Tyle mieli trudności życiowych, tyle niebezpieczeństw, nie tracili nadziei i są znowu razem, teraz już razem do końca życia. Warunki mieszkaniowe w Siedlcach, trudne, pokój i kuchnia, to co było w domu nie można było nazwać meblami. Przywieziony bagaż stworzył te warunki jeszcze gorsze. Nastroje poprawiły przywiezione zasoby, znajdowało się tu wszystko, co umiejscea poprawiło stan egzystencji. Pomijając sprzęt techniczny, można wyliczyć tu odzież, materiały ubraniowe, bieliznę, buty, kilkadziesiąt par, sprzęt sportowy i zegarki dla dzieci, nakrycia stołowe a nawet naczynia kuchenne. Zasoby na kilkanaście lat. To jednak nie wystarczało do normalnej egzystencji rodziny. Trzeba rozpocząć pracę. Pierwsze dni to wejście w środowisko, które stało się odmienne od przedwojennego i różne od społeczeństwa zachodnich, w których obracał się przez parę lat a które wyparło na nim pewne piętno zarówno w sposobie bycia jak i charakterze. To jakgdyby nowe odczucie raziło go na każdym

kroku swoim zachowaniem. Brak poszanowania porządku ogólnego i życia społecznego. Wielka rozpiętość standartu życia, może pozorna ale wyraźnie widoczna, chociaż ogólną ocenę można określić jednym słowem, bieda. Na twarzach ludzi przebijał strach, terror U.B. Inteligencja wyniszczona przez obydwóch wojujących sąsiadów. Odnosiło się wrażenie, że wojna jeszcze tutaj trwa wciąż. Można zaryzykować określenie, że było tak w rzeczywistości. Naród wyzwolony od wojny, wszelkimi siłami bronił się przed dominacją Radziecką i przed wpływami komunizmu. Różnego rodzaju porachunki nie rzadko kończyły się śmiertelnie. Atmosfera ciężka, zniszczenia wojenne olbrzymie, społeczeństwo wymieszane, władze rządzące na niskim poziomie. To koszmar. To zaprzeczenie pojęcia istnia państwa. W takiej sytuacji trzeba jednak pracować dla zapewnienia egzystencji. Stosunek do służby wojskowej naszego majora nie był jasny. Formalnie z wojska go nie zwolniono. W swej naiwności w stosunku do istniejącej sytuacji i w swej uczciwości, uważał że to powinno być załatwione prawnie. Udał się do dowództwa łączności MON, aby wyjaśnić, jak ma dalej traktować swój stosunek do służby wojskowej. W tymże dowództwie spotkał znajomego mu pułkownika, pełniącego funkcję zastępcy, gdyż dowódcą łączności był rosyjanin. Pułkownik przyjął go nawet z entuzjazmem i zaproponował

przyjęcie do wojsk łączności. Cechowała go ta sama naiwność jak innych, że wojsko to będzie prawdziwie polskie. Tam w MON rządzili inne prawa. Takich jak nasz major to znaczy z takim przebiegiem służby w tym wojsku, nie potrzebowano, bano się wprowadzać ich do istniejącej armii. Spełniając jednak życzenia znajomego um pułkownika złożył podanie, chociaż wydawało mu się, że jest to bez sensu, gdyż znał już rzeczywistość. Podanie załatwiono odmownie, czym nie był zdziwiony. Dało to mu pełne prawo na przejście do zawodu cywilnego i szukania pracy na własną rękę. Pierwsze wyjazdy do Warszawy. Praca jest i to odpowiadająca jego specjalności ale brak mieszkania więc sprawa upada. Myślał o Gdańsku, zawsze to okno na szeroki świat, do którego się już przyzwyczaił, lecz to strefa graniczna i to znów trudności. W międzyczasie dowiedział się, że brat żony mieszka we Wrocławiu. Po rodzinnej naradzie, zdecydował się pojechać tam razem z żoną. — Zawsze to duże miasto, są lub będą wyższe uczelnie, dzieci będą miały możność dalszego kształcenia się. — argumentował major — zorjentujemy się na miejscu, tu w siedleckiem niema czego szukać. — Wyjechali. A oto i Wrocław. Pierwsze wrażenie przygnębiające. Ruiny, śmieci i nie ciekawe społeczeństwo. Mieszanina ze wszystkich dzielnic Polski.

Spotkanie z bratem żony ułatwiało poruszanie się po tym mieście. Miał on już pewne znajomości w mieście i łatwiej mógł zasięgnąć informacji. Przypadkowo spotkany urzędnik administracji dzielnicowej, wskazał adres na krańcu miasta w tej samej dzielnicy, ulica Okrężna 8. Obecny lokator ma zamiar wyjechać, będzie chciał odstępne, trochę zabezpieczył dom. Udają ~~my~~ się tam, poznają lokatorów i objaśniają co ich sprowadza. Wszystko się zgadza co podał administrator. Na tej ulicy, tylko domki jednorodzinne na parcelach około 900 m². Na całej ulicy, tylko dwa domy zamieszkałe, reszta puste lub zrujnowane. Dom który był przedmiotem zainteresowania, częściowo zrujnowany mocno uszkodzony pociskami artyleryjskimi, otwory po pociskach zamurowane i dach położony, to już wkład lokatora. Dom podpiwniczony z garażem w piwnicy, parter zamieszkały przez wspomnianego lokatora i piętro raczej poddasze częściowo zrujnowane. Od frontu wykusz z balkonem z tyłu domu taras z wyjściem na ogród. W ogrodzie ~~dro~~ parę drzew owocowych i krzewy owocowe. Parę dołów po pociskach, niektóre już zasypane. Nasz major zdecydował się na nabycie tego domu, koszta remontu były w granicach jego możliwości a ponadto liczył na własne siły. Tranzakcja doszła do skutku. Omówiono terminy w których nastąpi objęcie domu przez nowego lokatora.

Żona majora sprzeciwiała się tej decyzji. Wrocław ją przeraził. Nowe nieznane jeszcze otoczenie, nowe warunki bytowania. A tam w Siedlcach, dużo koleżanek nauczycielek, dobre stosunki i wokół dużo dobrych znajomych. Po przebytych trudach okupacyjnych w ubogiej wsi nad Bugiem, bez źródła utrzymania, warunki Siedleckie wydawały się wielkim osiągnięciem a tu nie wiadomo jak się wszystko ułoży. Perswazje męża i brata pomogły. Powrót do Siedlec i przygotowania do wyjazdu. Jako osiedleniec na ziemiach odzyskanych miał prawo do bezpłatnego transportu. Tu znowu szereg biurokratycznych załatwień. Wreszcie otrzymał wagon towarowy z piecykiem węglowym, bo to już listopad, i tak pociągiem w składzie towarowym wraz z dziećmi dojechał do Wrocławia. Żona pozostała jeszcze w Siedlcach gdyż jako nauczycielka musiała czekać na rozwiązanie stosunku służbowego. Jej przybycie do Wrocławia przewidywane było po upływie miesiąca. Obejmowanie domu odbyło się zgodnie z umową. Poprzedni lokator dotrzymał wszystkich zobowiązań uczciwie, co w tych czasach było rzadkością. Z wyszukaniem pracy nie było trudności, już na drugi dzień zaangażował się w Centrali Handlowej Przemysłu Elektrotechnicznego na stanowisko zastępcy dyrektora do spraw handlowych. Od dnia 19 listopada 1947 roku funkcja ta obejmowała zakupy, sprzedaż i przejmowanie poniemieckiego sprzętu elektrotechnicznego z całego Dolnego Śląska. On był jedynym pracownikiem w centrali, który znał się na tym sprzęcie.

Własny dom

- To już trzeci raz od początku a właściwie od zera rozpoczynamy nasze gospodarowanie. Nie wiem czy starczyłoby mi sił na jeszcze jedno startowanie od początku - rzekł major do żony. - Nie wierzę - odpowiedziała żona, - abyśmy pozostawili nasze stałe, przecież niemcy nie zrezygnują z tych terenów. Za wszelką cenę będą chcieli je odbrać, a wówczas co, jeszcze jedna wędrówka, nie jestem entuzjastką osiedlania się tutaj. -
W istniejącej sytuacji politycznej jest to niemożliwe, pozostaniemy tu na długo, niedługo my ale nasze dzieci a nawet wnuki a co będzie dalej to trudno przewidzieć. W każdym razie przyjmę zasadę wojskową, jak zajmiesz kwaterę na dzień urządzaj ją jakbyś pozostawał na niej tydzień. Jeśli na miesiąc to przygotowuj ją na cały rok. Dzieci do szkoły a my do roboty, trzeba tu dom urządzać według naszych potrzeb i możliwości. - Taką decyzję wypowiedział major. Robót dużo poczynił od domu a skończywszy na ogrodzie. Lecz ta pierwsza zima to dużo pracy w domu, no i w przedsiębiorstwie. Zaczął orjentować się już w systemie ustrojowym i doszedł do wniosku, że w własnego warsztatu pracy zatoczyć nie można, to nie zajęcie na dłuższą metę a to co się posiada można tylko stracić, więc sprzedał instytucjom państwowym aparaturę pomiarową, którą przywiózł ze sobą. Dzieci uczęszczały do szkoły. Jurek do liceum elektrycznego a Hanka do szkoły podstawowej.

w nowym miejscu pobytu, do uregulowania wojskowych stosunków służbowych, a więc zgłoszenie się do R.K.U. Wzywano go kilkanaście razy, na przesłuchanie, wszystko rozpoczynało się od pisania życiorysu i przebiegu służby wojskowej, mimo że posiadał wszystkie dokumenty. W końcu przeniesiono go do rezerwy i wydano książeczkę wojskową. To było formalne zakończenie służby wojskowej. Nadszedł czas aby uregulować sprawę domu i stać się prawnym właścicielem. Takie dumki jednorodzinne państwo odprzedawało repatriantom. Należało wykorzystać tę okoliczność. Z biegiem okoliczności w komisji która zajmowała się sprzedażą, był kolega z dywizji pancernej, on pośredniczył i doradzał w sprawach kupna. Sprawa załatwiona pomyślnie. Wartość oszacowana nie była duża ale spłaty należności trwały pięć lat. Mimo tych wszystkich trudności i perturbacji wydawało się, że życie powoli się normuje. Nawet już nie były ciężkie obowiązkowe uczestnictwo w pochodach 1-szo Majowych, które traktowano jak rozrywkę. Terror jednak nie ustawał. Około roku 1950 zaczęła się nagonka na ludzi z podejrzeniem, takim właśnie jak nasz major. Nazywano to potocznie „polowanie na czarownice". Usunięto go z pracy. Argumenty, nie może pan zajmować stanowiska kierowniczego. Obowiązki swoje wykonuj pan bez zarzutu, ale taki mamy nakaz partii,

go prezesem spółdzielni. Pracował tu parę lat. Czas pozwalał na lepszych lub gorszych warunkach. Dom i ogród doprowadzony do przyzwoitego wyglądu. Dzieci kończyły szkoły podstawowe i średnie. Trzeba było podejmować starania aby dostały się na wyższe uczelnie. To zasadnicze marzenie teraz naszego majora. Wiedział, że dzieci rodziców o takiej przeszłości jak on nie mają szans wstępu. Nie rezygnował z tych pragnień, szukał różnych dróg, jednak bez powodzenia. Jurek rozpoczął pracę w spółdzielni w której pracował ojciec i równocześnie uczęszczał na wieczorową szkołę inżynieryjną wydział elektryczny, kontynuował specjalność ojca. Otrzymał dyplom inżyniera. Takie same trudności wystąpiły przy przyjmowaniu na wyższą uczelnię córki Hanny. Podjęły się jednak inną drogą. Dopuszczono ją do egzaminu na W.S.R. Egzamin zdała ale na liście przyjęć na uczelnię jej nie było. Kiedy zgłosiła się w sekretariacie uczelni z zapytaniem dlaczego nie została przyjęta, sekretarka odpowiedziała wprost: — czy pani wie, że tacy kandydaci jak panie nie mogą być przyjęci. — Był to już czas kiedy nasz major nauczył się obracać w istniejących stosunkach środowiskowych. Przyjęcie na uczelnię zależało od delegata Z.M.P. przysłanego z Warszawy. Przez znajomości dodarł do tego „bosa". Skromne trzy tysiące złotych otwarło drogę na wyższe studia. Ciekawe spostrzeżenie odniosła Hanka.

Już po ilu odwiedzeniach doktryna rządzenia państwem nie zmieniała się. Obchody majowe przedstawiały zawsze ten sam obraz i ten sam ceremoniał. A oto przebieg jednej z takich uroczystości we Wrocławiu, które były utrapieniem wszystkich mieszkańców a dla naszego majora w szczególności, uważał to za pasję. Obecność na pochodzie obowiązkowa, nieobecność pociągała za sobą konsekwencje. W dniu pochodu, wszyscy zbierali się w swoich zakładach pracy. Personalny sprawdzał listę obecności i pilnował aby nikt nie zbył w czasie przemarszu. Przydzielano sztandarówki, napisy z hasłami podanymi przez partię, portrety ideologów partyjnych i aktualnych przywódców partii. Następnie przemarsz do wyznaczonych rejonów. W czasie wyczekiwania na przemarsz, retransmisja przemówienia pierwszego sekretarza. Rozstawione kioski spożywcze w rejonach zgrupowań, dożywiały amatorów. Następowało kasto do przemarszu. Poszczególne dzielnice wchodziły według ułożonego planu na główną trasę przemarszu. Zwykle taką defiladę odbierał pierwsze sekretarz wojewódzki PZPR. na placu Grunwaldzkim. Na jednym z tych pochodów, grupa młodych ludzi w barwnych ubiorach wyposażona w papierowe tulipany, do świeżych jeszcze nie było, przechodząc przed trybuną, skandowała w takt marszu: Stalin, Bierut, Stalin, Bierut, do wznoszenia do opuszczania tulipany. Wyglądało to barwnie

dzisiaj? - To pan nie wie, że w Poznaniu rozruchi - usłyszał odpowiedź. Przyjął to do wiadomości i teraz dopiero uświadomił sobie przyczynę obecności zagatkowych samochodów. Ci którzy dotychczas panoszyli się, szukali drogi do czeskiego azylu. Najbliższym możliwym do wyjazdu autobusem odjechał do Wrocławia. Tu rozruchi już w pełnym toku. Młodzież na ulicach, transparenty, okrzyki przeciwko Związkowi Radzieckiemu i przeciwko Rokossowskiemu. Zrzucano tablice z nazwami niektórych ulic naprzykład ulica Stalina. Tłumy zbierały się na ulicach, młodzież okupowała uczelnie. Władze bezpieczeństwa nie interweniowały, zamknęły się w swoich siedzibach. Ten entuzjazm trwał parę dni. Naród odczuwał, że zrzuca jarzmo U.B., że może mówić otwarcie, że może wznosić okrzyki przeciwko Związkowi Radzieckiemu, tak znienawidzonemu. Naród odczuł powiew wolności. W swoje pracy nasz major odczuł również pewne ulgi, ba, nawet mógł zajmować stanowiska kierownicze ale już nie powrócił do tych ambicjonalnych poglądów, wolał dużo zarabiać, korzystając ze swojej fachowości. Zaczął przygotowywać się do emerytury, gdyż okres dziesięcioletni brano pod uwagę przy jej wymiarze. W roku 1958 gen. Rómmel wydał swoją książkę pod tytułem: Za Honor i Ojczyznę.

rozumiem to doskonale - zakochany kolega. Nasz major napisał zaraz list do gen. Rómla powołując się na jego książkę. Odpowiedź otrzymał następującej treści:

~~Zaświadczenie~~

~~Stwierdzam~~

Panie Kapitanie!

Bardzo się zawsze cieszę z listów swoich dzielnych żołnierzy i z tego, że mogłem ich po 20 latach zakłamania, oczyścić od krzywdzących zarzutów - moją książką Za Honor i Ojczyznę oraz doczekać się sprawiedliwego traktowania ich przez Rząd i Społeczeństwo. Przesyłając zaświadczenie komunikuję, że nadane przez mnie odznaczenia są uznane przez M.O.N. gdzie obecnie prowadzę nad zakładaniem kartotek i skąd każdy odznaczony otrzyma przepisowe zaświadczenie potwierdzające prawo. Przesyłam żołnierskie pozdrowienie i wyrazy przyjaźni. J. Rómmel.

Warszawa 17/4 59

Zaświadczenie

Stwierdzam, że rozkazem z dnia 29 września 1939 roku. Sztab armii Łódź i Warszawa do 30 Dyspozycji. Dow-ca Kompanii Łączności Kapitan Piotr Chełchowski za wykazane męstwo i wybitne zasługi na swoim stanowisku został odznaczony Orderem Virtuti Militari za walki w Armii Łódź i Armii Warszawa.

Były Dow-ca Armii Łódź i Warsz.
gen. dyw. J. Rómmel

Dzieci wchodziły w okres młodzieńczy. Studiowały na uczelniach. Dom otwarty dla ich koleżanek i kolegów. Odbywały się tu imieniny, herbatki połączone z tańcami. Gwarno tu było. Znajomi również chętnie zaglądali aby porozmawiać o sprawach bieżących a nie rzadko o polityce. Można powiedzieć, dom prowadzony na stałą przedwojenną. Młodzież czasem tylko na zabawy noworoczne udawała się do klubów studenckich. W normalne dni pracy, wspólnie opracowywano zadania lub przygotowywano się do egzaminów. Kłopotów z nauką nie było. Raz tylko zaszło nieporozumienie na uczelni córki. Jeden z profesorów uprzedził się do córki, tak przynajmniej wyglądało, i parę razy z rzędu oblewał ją na egzaminie. Po takim kolejnym wypadku, żaliła się:- Nie wiem dlaczego, przecież jestem przygotowana, a profesor mnie oblewa. Nasz major znał tego profesora jak również jego asystenta. Chciał sam się udać do katedry, lecz przypadkowo spotkał asystenta. Zwierzył mu się ze swoich kłopotów i prosił go aby wyjaśnił tę przyczynę. Przyrzekł zapoznać się z tą sprawą i poinformować córkę. W rozmowie asystenta z profesorem w tej sprawie i wyjaśnieniu, o kogo chodzi, sytuacja wytworzyła pewne zażenowanie. profesora
-Ja wiem, że to jest córka lub krewna sekretarza wojewódzkiego partii - rzekł profesor - niech się ona do mnie zgłosi. Córka zgłosiła się. Indeks podpisany bez egzaminu. Takie stanowisko profesora możemy komentować jako nie słuszne, ale

charakteryzuje ono stosunek społeczeństwa do partyjnych władz rządzących. Niepotrzebnie wynikło na skutek tych samych nazwisk naszego majora i sekretarza partii pomiędzy nimi nie było żadnego rodzinnego związku. Syn będąc z wizytą u kolegi w Warszawie, poznał studentkę biologii Barbarę Strzęb. Nawiązali bliższe stosunki, wywiązała się miłość i po ukończeniu jej studiów, odbył się ślub w domu jej rodziców w Kielcach. Oczywiście zamieszkali we Wrocławiu w domu naszego majora, tu rozpoczęli swoje współżycie małżeńskie. Urodził się syn dnia 11-ego lutego 1957 r. Ciężkość rodu zachowana. Nasz major został dziadkiem. Z czasem słowo dziadek powtarzało się co raz częściej aż wkońcu pogodził się z tym faktem i uznał, że już jest starszym panem. Córka kończyła studia. Oczywiście jak wszyscy młodzi miała również sympatię. Nie byli rodzice zadowoleni z tego pana, za często zaglądał do kieliszka do mogło skończyć się tragicznie. Po perswazjach zerwała z nim stosunki, chociaż nie było to łatwe. Przeżyła tę pierwszą miłość. Na balu studenckim, poznała jugosłowianina, przebywał na stażu we Wrocławiu w Instytucie Etnografii. Był on etnografem. Nawiązali ze sobą bliższe stosunki a dalsza kolejność, jak zwykle, to miłość dwojga młodych ludzi. Ostatecznie wyłoniła się sprawa małżeństwa. Nie było to łatwe decyzja dla rodziców: On nie decydował się pozostać w Polsce. Będzie co będzie, obcokrajowiec.

Córka daleko od domu i nie wiadomo jak przyjmie ją druga strona rodziny. Ponadto nie wiadomo jakie będą warunki egzystencji w nowym kraju. Można powiedzieć trudności się piętrzyły. Ponadto że same zastrzeżenia wyłaniały się ze strony jego rodziny. Dzięki takiemu przyszłego życia, wszystko zakończyło się pomyślnie. Ślub odbył się we Wrocławiu 25-ego sierpnia 1960 roku. Tak Dušan Drljača /czytaj Dušan Drljača/ został zięciem państwa Chełchowskich. W międzyczasie córka kończyła pracę dyplomową na uczelni i w tym roku otrzymała dyplom magistra inżyniera. Zięć po ukończeniu stażu, powrócił do swojego kraju. Postarał się jednak o powtórną praktykę i przyjechał do Polski jeszcze na cały rok. W tym czasie urodziła im się córka. Dnia 5-ego stycznia 1961 roku nadano jej imię Jadranka Małgorzata. Przybyła do rodziny wnuczka. Żoję odjechał do Jugosławii aby przygotować warunki zamieszkania. Rodzice w tym czasie przygotowywali córkę i wnuczkę do wyjazdu. Trudności dużo. Paszport, przygotowanie zabieranych rzeczy, nazwijmy to wyprawa, bo przecież musiała z czymś zacząć nowe życie. To wszystko należało odpowiednio zapakować, przeprowadzić przez komorę celną i nadać na bagaż. Wreszcie nadszedł i dzień wyjazdu. Bardzo ciężki dzień dla rodziców. Odprowadzili ją wraz z wnuczką do granicy czeskiej. W domu powstała pustka. To tętno życia które było na codzień, raptem urwało się. Nasz mąż przyzwyczajony do gromadnego życia odczuwał to dotkliwie.

Syn przez pewien okres zamieszkał w innej dzielnicy miasta, tylko wnuczek przebywał stale u dziadków. Po doprowadzeniu piątka domu do znośnych warunków mieszkalnych syn powrócił do własnego domu i zamieszkał na piątce. Dla córki, stosunki w Jugosławii ułożyły się pomyślnie. Rodzina zięcia przyjęła ją ekspto, weszła do rodziny. Jakiś czas mieszkali w Serajewie a następnie przenieśli się do Belgradu. Córka rozpoczęła pracę w zakładach elektronicznych. Rodzice parę razy wyjeżdżali do Belgradu, poznali rodzinę zięcia. Przyjmowani zawsze serdecznie, nie odczuwali, że są w kraju obcym. Córka jednak tęskniła za krajem a kiedy zaistniały warunki, co roku przyjeżdżali do Polski. Mimo wszystko całokształt życia domowego ulegał zmianom. Ubyła młodzież, pozostali tylko znajomi. Trudno było pogodzić z tym rodzicom. To był już twardy sygnał przechodzenia w starszy wiek. Trzeba było znaleźć nowe zainteresowania, nowe zajęcia aby mieć pełnie pożytecznego człowieka. Poza normalną pracą zawodową nasz major skupił się na pracy w ogrodzie. Dawało mu to przyjemność i pożytek. Poprawił kulturę ziemi w ogrodzie, posadził nowe drzewa owocowe a było ich około trzydziestu i dopięćdziesiąt szlachetnych róż. Cały front budynku do róże, często podziwiane przez przechodniów. Czas jednak nieubłaganie kroczył. Zbliżał się okres emerytalny. Kończył 65 lat. Bez wahań postanowił przejść na emeryturę. Od stycznia 1970 roku stał się emerytem. Nastąpiła nowa

okres życia. Jeszcze przez jakiś czas pracował dodatkowo aby uzupełnić dochody emerytalne ale w końcu zdecydował całkowicie wycofać się z pracy zarobkowej. Sprzedał posiadany samochód który był bardzo użyteczny w pracy, ale trzymał kółkiem przez trzydzieści lat, to aż nadto aby zniechęcić się do ~~prowadzenia samochodu~~ zasiadania przy kierownicy. Mając już dużo wolnego czasu często wracał myślą do swego dzieciństwa i nie opuszczała go myśl aby odwiedzić miejsce swojego dzieciństwa i dowiedzieć się jakie losy spotkały jego rodzinę. Przez tak długie lata nie miał z nimi kontaktu. Od dzieciństwa szedł zawsze sam, znikąd jakiejkolwiek pomocy, nawet moralnego poparcia. Przebijał się przez życie sam, czuł ten ciężar. Rodzina to jedna trzecia sukcesu. On tę rodzinę stracił z chwilą śmierci matki. To była wielka strata w jego życiu. Ten ból ciężył na nim stale. Nieustająca myśl odwiedzenia tamtych miejsc, zobaczyć te pola i lasy, które pozostawały w jego pamięci, otaczała się pragnieniem. Wyjazd tam zawsze odkładał, zawsze znalazły się przyczyny pilniejszych zajęć a ponadto przywiązanie do codziennego planu robót. Postanowienie jednak było trwałe. Nadarzyła się taka okazja. Córka przyjechała do Warszawy w sprawach służbowych i ze względu na brak zajęć nie mogła przyjechać do Wrocławia. Prosiła o przyjazd do Warszawy. Nasz major zgodził się natychmiast i postanowił wykorzystać

tę okazję aby odwiedzić strony rodzinne. Niby decyzja prosta ale w mózgu zareagowały wszystkie komórki w który zakodowane były przeżycia dzieciństwa. Ciekaw wrażeń i przeżyć jak będzie reagował uczuciowo na te tak mocno utrwalone obrazy z przeszłości. Po spotkaniu z córką i jej odlocie do Belgradu, udał się na stację autobusową i pierwszym odchodzącym samochodem udał się do Pułtuska. Trasę tę znał bardzo dobrze, przynajmniej tak mu się zdawało. Z okien autobusu, patrzył na mijane okolice, starał przypomnieć sobie szczegóły, ale nic mu się nie zgadzało. Wreszcie Pułtusk i stacja autobusowa. Tu przecież jako chłopiec spędził siedem lat, znany mu był każdy zakątek, to jego miasto, to najtrudniejszy okres życia ale najbardziej beztroski w porównaniu z tym co przeżył w dalszym swoim życiu. To jego miasto, teraz wydało mu się obce, to nie to samo miasto tętniące życiem młodzieży. Trzy średnie szkoły, parę tysięcy młodzieży kształcącej się tutaj, miasto schludne, uśmiechnięte znajome twarze. Dzisiaj to inne ulice, smętne oblicza ludzkie, chodniki pozapadane. Śmieci pędzone wiatrem, przelatują rynek z końca do końca. Sklepy mizerne, lokali użyteczności ogólnej, brak. Dawny teatr amatorski zamieniony na jakiś inny użytek, sal kinowych nie widać a wtedy, były dwa kina. Udaje się na miejsce swojej szkoły. Ma trudności z ustaleniem

budynku, częściowo rozebrany a w pozostałości szkoła zawodowa, widać przez okna maszyny do szycia. Wszystko wydaje się mizernie zaniedbane. Główna ulica spacerów niedzielnych młodzieży gimnazjalnej, tu znajdowała się apteka, kawiarnia, dzisiaj nie istnieje. W swoim dzieciństwie nalicę tą przechodził parę razy dziennie. Zatrzymywał się czasem przed oknem wystawowym kawiarni, tu ciastka, torty, sękacze których nie znał smaku, ale wszystko to wabiło oczy barwami. Udaje się do zabudowań gimnazjum męskiego. Paru uczni kręci się przed szkołą. Dawniej, dość obszerny dziedziniec, wrzał życiem młodzieży. Teraz trzeba odwiedzić tę naszą Narew. Spędzał dużo czasu nad tą rzeką. Tu niema zmian. Płynie spokojnie w dawnym swoim korycie, brak tylko mostu w dawnym miejscu, przeniesiony został na drogę do Wyszkowa. Teraz tutaj jest tylko podwieszona kładka, dla pieszych. Ileż to razy stał na tym moście wiosną, kiedy płynęła kra, kroiły ją i zbiec, wydawała zgrzyty, przewracała się, płynęła dalej. Latem kręciły się łódki, w nich młodzież. Czasem flisacy z pasmami tratew. Dziś na tej rzece cisza, a przecież to okres lata. To miasto w którym kształciła się młodzież przez przeciąg wieków, gdzie kształcił się Piotr Skarga gdzie kształciła się młodzież zagraniczna, dzisiaj jest kopciuszkiem w naszej Polsce. To już czas udać się na stację autobusową i w drogę do Gródka. Odległość nie duża, około 14 km,

Ileż to razy, prze siedem lat zimą i latem, przemierzał tę trasę pieszo. Znał każdy dom przydrożny, każde drzewo a nawet kamień na którym odpoczywał. Czasem tylko ktoś uczynny lub znajomy zabierał go na furmankę ale sam się nigdy nie wpraszał, taki już był. Wieczorem docierał do domu. Teraz na tej trasie droga asfaltowa. Autobus zatrzymuje się na swoich przystankach. Tu zmian nie wiele, przybyło trochę nowych zabudowań ale stare wciąż jeszcze istnieją. A oto już Gródek. Pierwsze domy, tu stały trzy krzyże, teraz ich już nie ma. Na miejscu dawnego folwarku parę zabudowań i parę samodzielnych zagród. Teraz most nad płytką strugą płynącą leniwie wśród drzew i bagien. Tu zaczynała się parcela karczemna. Kilkadziesiąt metrów dalej stały zabudowania karczemne. Nie poznaje tego miejsca, ale tu przystanek autobusu. Jeden z podróżnych, z którym w czasie drogi nawiązał rozmowę mówi: - To już Gródek, poznaj pan? - Trochę się waha ale wysiada razem z nim. Poznaje parcelę, zarys pozostał ten sam, chociaż zabudowania są inne. Rozpoznaje pozostałe jeszcze drzewa owocowe, które sadził razem z ojcem. Potężne jabłonie obsypane owocem. Ileż one mają lat, liczy, około sześćdziesiąt, jeszcze stoją i rodzą owoce. Opiera się o płot i patrzy na nie z podziwem. Widzi je jako małe drzewka otaczające zabudowania, sam zrywał z nich pierwsze owoce.

Cały obraz dzieciństwa się jak film, film od którego nie można oderwać oczu, film jego własnego życia. Napływają mu łzy do oczu. Ścisnęło coś w gardle. Powstał wielki żal, że to tak kochane miejsce, przeszłość w obce ręce, że nie może tu wstąpić i dotykać tego co dawniej go otaczało. Budzi się żal do ojca, że marnotrawił to co otrzymał od swoich rodziców, że dzieci rozestał w świat. To ciężkie przeżycie, czy należy otworzyć, czy być pobłażliwym, czy może tłumaczyć tę rodzinną tragedię przyczynami obiektywnymi, które przyszły z zewnątrz. Przedwczesna śmierć matki, wojna jedna, druga, trzecia które nawiedziły te tereny, lecz mimo wszystko nie może znaleźć wytłumaczenia. Przecież tyle innych zagród stoi na tych samych miejscach, tyle innych rodzin utrzymało swoją egzystencję i powodzi im się dobrze. Przechodnie przyglądają mu się, to ktoś obcy przyjechał z jakimś interesem. Dowiadują się od przygodnego znajomego z podróży, że to właśnie jest ten Piotrek syn Andrzeja, który poszedł do szkół. Słuchy chodziły, że został zabity na wojnie. Już trzy razy był uśmiercany a on wciąż żyje. Poniektórzy myśleli, że to ktoś obcy, a tylko z jakimś celu podaje się za Piotrka, może chce odebrać ziemię po Andrzeju. Wypytuje się o różnych rówieśników, oni już nie żyją. Jego pokolenie prawie całkowicie wymarło. W tym momencie poczuł się starym człowiekiem, bardzo starym,

chociaż był jeszcze w pełni sił. Uwolniwszy od spotkanych ludzi, poszedł przez wieś do drugiej części dawnej posiadłości, leżącego w głębi wsi. Przypomina sobie poszczególne zabudowania, nazwiska właścicieli, tylko niektóre wypadły z pamięci. Gdzie niegdzie domy nowe nawet murowane. Widać dostatek. Światło elektryczne w zagrodach, anteny telewizyjne na dachach, odzywa się charakterystyczny warkot ciągnika. To już nie ta sama wieś drewniana kryta strzechą i oświetlona lampą naftową. Te pięćdziesiąt lat zmieniły wieś na korzyść. Czy zmieniły ludzi, tego jeszcze nie mógł stwierdzić. Stara się przypomnieć w których budynkach była szkoła, przychodzi mu to z trudnością. Dochodzi do dawnej własności, zchodzi z drogi na małe wzniesienie z kąd łatwiej obserwować. Tu właśnie przed wiekami stał ten mały gródek, potwierdzony wykopaliskami starej zbroi. Nie może dokładnie odtworzyć dawnych granic, zostały pozmieniane ale na horyzoncie widzi las, ten który zakładał jego dziadek. Z pagórka widać tylko wierzchołki sosen, widoczność przesłania olszyna, ta sama która dawniej tu była. Udaje się w stronę lasu, dróżką między zbożami. Jak dawniej łany żyta, muskane wiatrem, kołyszą się zmieniając barwy, cicho szumi to zboże, śpiewa swoistą pieśń powtarzaną co lato. Tak to wszystko trwa już przez wieki od czasu kiedy zostały

wykarczowane białe brzozy, tworzące Puszczę Białą. W tym sielskim i podniosły nastroju dociera do lasu, dzisiaj to duże drzewa, w jego dzieciństwie były jeszcze zagajnikiem. Aby odpocząć, usiadł na pierwszym pniu dawno już ściętego drzewa. – Tak, to mój dziadek gdzieś w tym miejscu również sobie przysiadł – myślał – zasnął. Sen był nazbyt długi, ziemia wilgotna został sparaliżowany, pół ciała na pół władne pozostało. Potem poruszał się przy pomocy laski. Siedząc tak, cały czas myślał aby nie zasnąć aby nie spotkały go te same konsekwencje. Zasnął. Czas między świadomością a snem trwał zapewne chwilę. Kontury drzew rysowały się co raz to łagodniej, zatracała się barwa, aż do szarych cieni, których kłębowiska tworzyły fantastyczne kształty. W tej masie rysowały się kształty ludzi, zwierząt, domów, jakieś pola i fragmenty widzianych wypadków. A oto jakiś człowiek. Kształ jego rysuje się co raz wyraźniej, zbliża się, oparty na lasce porusza się z trudem. To jego dziadek. Tak, rozpoznaje go już wyraźnie. Wyciąga władną rękę w jego stronę. Słyszy już głos. Z początku nie wyraźny, rozróżniał tylko niektóre wyrazy, w końcu całe zdania. – Czekałem na ciebie – rzekł. – Długo czekałem, musi to być już lat sześćdziesiąt. Pilnowałem cię w każdym niebezpieczeństwie. Tyle czasu. Wreszcie tu chcę ci przypomnieć dzieje naszego rodu. – Tu podniósł rękę

do poziomu, jakby chciał wskazywać miejsca historii. – Patrz, to pola Grunwaldu. – Wzrok utkwił gdzieś daleko. – Widzisz to pole pełne ludzi i koni, to bitwa. A oto on, chłop tęgi i silny, obraca się w tej ciżbie, obok niego towarzysze, prę do przodu, za nimi pozostaje pokot jak poręba w lesie, docierają końca. Widzisz go, patrzy na swoje żniwo. Ale oto zabiega mu krzyżak konny. Zbliża się kłusem, będzie atakował, przyśpiesza tempo konia, miecz gotowy do cięcia. On stoi na rozwartych nogach, tarcza przed sobą, dzida lekko cofnięta, wzrok utkwiony w przeciwnika. Śledzi każdy jego ruch i jego zamiar. Koń już w pełnym pędzie, już przy nim. Odskakuje w bok. Miecz krzyżaka nawet nie dotknął wysuniętej tarczy. Krzyżak osadził konia, zawraca, teraz już wolniejszym tempem zbliża się ponownie. Najeżdża. Popatrz on stoi w miejscu, jakby czekał, ale oczy błyszczą jak u wilka. Jest na wprost końskiej głowy, jeździec chce go ciąć, skacze pod szyję konia. Popatrz, złapał konia za uzdę, silny, osadził go na miejscu. Krzyżak nie może ciąć, stara się kłuciem go dosięgnąć ale miecz ślizga się po tarczy. Koń szarpnięty za wędzidła, cofa się i siada na zadzie. Krzyżak chwyta się łęg siodła, ten moment wystarczył aby pchnąć go dzidą i zwalić z siodła. Ciężko zbrojny krzyżak ~~zwalił się~~

runął na ziemię aż błachi zbroi zadźwięczały. On jednym skokiem dopadł opancerzonego jeźdźca, kolanem przyciska pierś a lewą ręką z mieczem. Uderza dzidą w przyłbicę. Otwarta się. Przerażone zaczerwienione oczy wroga, błagają o litość. Na próżno. Dzida zamurza się w otworze z całą siłą. Pojedynek skończony. Bitwa nie cicha. Nieprzyjaciel rozproszony ginie lub ucieka. On zdejmuje zbroję ~~z pokonanego~~ z pokonanego, zabiera konia, powraca do swoich. Przyjmowany owacyjnie w śród współtowarzyszy. Bitwa skończona, sekretarz królewski czyta listę nobilitowanych. Tak! jest on, założyciel rodu szlacheckiego herbu Lubicz, Chełchowski z Chełch. Ród przyjął na siebie obowiązki szlachty a jego życie związane zostało z historią Polski. Prawie każde pokolenie brało udział w pospolitych ruszeniach, lub zaciągało się do wojsk królewskich. Żadna z większych krucjat nie ominęła rodu. Bitwy z Tatarami, Turkami, wyprawy na ~~Kato~~ Kotoszczyznę. Wielu ginęło, niektórzy sadowili się na innych obszarach i tam zakładali rodziny. — Dziadek przerwał opowiadanie, opuścił rękę, jakby chciał odpocząć. Gdy znowu zaczął swoje opowiadanie. — Patrz, Psków. Batory przyjmuje hołdy bojarów. Jeden z rodu stoi w pierwszym szeregu jazdy królewskiej ale to dalekie pokolenie. Teraz Wiedeń z Sobieskim i powrót po zwycięstwie. Obrazy mkną błyskawicznie.

- Radość w rodzinie i powitanie zwycięzców. Zabawa w domu. Gra kapela żydowska. Mazur. Najpiękniejszy taniec polski. Tańczą cztery pary. Rozstawieni w rogach izby. Z pierwszym taktem muzyki, pierwsze kroki do środka a potem zmiana miejsc. Popatrz jaki piękny krok, niby skoczny ale posuwisty, pełen gracji, tylko wyłogi kontuszy czasem się podnoszą ~~to~~ jak skrzydła, to znów opadają. Ileż to figur, trudno policzyć. - Tu znów przerwał, cień smutku rysował się na twarzy, ~~a~~ Ciągnął dalej. - Nadeszły złe czasy. Rozbiory, upadek morale, umiejętne niszczenie przez wroga najbardziej wartościowej warstwy narodu. W naszym rodzie nigdy nie zabrakło patriotyzmu i ofiarności dla ojczyzny. Ciąg tej ofiarności nigdy się nie kończył. Raszyn, Dubienka, Ostrołęka. Tu czwarty pułk ułanów. Ojciec i synowie w jednym szwadronie. Na polach Ostrołęki szarża, szwadrony rozwinięte, jeźdźcy pochyleni w siodłach, cwałem uderzają na nieprzyjaciela. Błyska w słońcu biała broń. Starcie, czy widzisz, ojciec baczy na najmłodszego, aby nie odniósł krzywdy. Prowadzi szwadron ale stara się być w jego pobliżu. Wyszli cało. A to jeden ze smutnych rozdziałów. Powstanie Styczniowe w nim twój pradziadek. Puszcza Biała w kompanii Bartułta, to już tu gdzie dzisiaj jesteśmy. Potyczki, ukrywanie się,

w tym również mój udział skromny. W końcu pług i kosa. Znam twoje przejścia — Tu zwrócił się w jego stronę. — Spełniłeś swój obowiązek. Podtrzymałeś tradycję rodu. Przekaż ją dalej, czyń swoją powinność. — Cień zaczął blednąć, jeszcze słychać powtarzane ostatnie zdania. Cień znikł. Obudził się. Pierwszy odruch to sprawdzenie rąk i nóg, czy są władne, czy aby nie podzielił losów dziadka. Uspokojony, zastanawiał się jak długo trwał ten sen, to musiała być chwila. Słońce jest w tym samym miejscu, gdyż cień sosny padał mu na twarz kiedy siadał na tym pniaku i ten sam cień pada na niego teraz. A las szumiał swoją bezkresną pieśń, dla wszystkich pokoleń jednakowo. Do wsi wracał tą samą dróżką. Łany zbóż falowały wciąż tak samo. Przy lekkim podmuchu wiatru mieniły się odcieniami barw. Nie opuszczały go myśli ostatniego przeżycia. Nie chodziło mu już o samo zjawisko, lecz o całą historię z nim związaną. — A swoją drogą, — myślał, — jak patriotyczną była szlachta i jak wielkie poczucie swoich obowiązków. To tylko za jeden przywilej, zwolnienie od pańszczyzny. Przecież w owym czasie nie było komisji poborowych, lekarzy kwalifikujących stan zdrowia. Każdy sam jeden wszystko to oceniał. Nie było dziedzińców koszarowych, magazynów uzbrojenia i żywności. Przed każdą wyprawą i na

codzień, wszystko to musiało być przygotowane we własnej posiadłości. Młodzież od najmłodszych lat nieustannie ćwiczyła w ćwiczeniach władania bronią na własnych podwórkach, pod okiem domowych instruktorów, ojców lub starszych braci. Jazda konna to kunszt pielęgnowany przez każdego szlachcica. Konie, broń i wszelkie oporządzenie, to własna chodowla lub nabyte za własne pieniądze. Szlachta tworzyła silny trzon państwa. Tak długo jak trzon ten nie został zniszczony, tak długo państwo nie było naruszone. Zaborcy doskonale zdawali sobie z tego sprawę. Aby zniszczyć państwo polskie, trzeba było zniszczyć szlachtę. To też niszczono ją wszelkimi sposobami. Przekupstwo z pierwszych rzędów, kiedy nie dawało efektów, uciekano się do jej fizycznego wyniszczenia. W zaborze rosyjskim, tysiącami wywożono na Syberię, w zaborze austryjackim, płacono siedem koron za zabicie szlachcica a pięć za zranienie, w zaborze niemieckim niszczono szlachtę ekonomicznie lub administracyjnie. Ta martyrologia trwała więcej jak wiek, czyli cztery pokolenia. Z dawnej szlachty pozostały szczątki. Znaczna część zrównała się z chłopem. Wiele cech poczucia narodowego szlachty, przeszło do warstwy chłopskiej. Chłop żyjący najbliżej szlachty z racji swojego zawodu, przejął tę pałeczkę narodowego patriotyzmu. Świadczy o tym odrodzenie po pierwszej wojnie światowej. - Nawet nie

spostrzegł się kiedy stanął na drodze wiejskiej. Spotkanych ludzi zapytał o rodzinę. Gdyż w autobusie dowiedział się, że żyje jeszcze najmłodsza siostra i mieszka na Mazurach. Chciał jednak mieć bliższe dane, chciał dowiedzieć się gdzie mieszka. Podano mu, że mieszka w Giżycku i ma trzech synów, ~~do wszystkich~~ i nazywa się Łada. To wszystko co mógł osiągnąć. — To dużo, dalej dam sobie radę, — myślał. Postanowił sobie ich odszukać. Druga myśl, czy wogóle nawiązywać kontakt, jak oni ustosunkują się do niego. Zapewne okaże żal, i nie odbędzie się bez wymówek, że nie pomogą im w najcięższych czasach. Dzisiaj to wszystko wydaje mu się uzasadnione. Tłumaczenie byłoby puste. Ciężar który dźwigał sam, nie był dostatecznym argumentem, zresztą nie chciał i nie myślał o usprawiedliwianiu się, na to nie ma argumentów dostatecznie silnych, a przynajmniej w ich oderwaniu. W pewnym sensie, winę ponosi również żona. Nierodzima w swoich odruchach, nie rozumiała pragnień męża. Po przez Pułtusk, Warszawę, wraca do Wrocławia. W czasie drogi ani na chwilę nie opuszczają go myśli ostatnich przeżyć. Przecież całe swoje życie dziecinne widział teraz powtórnie. Życie do którego tęsknił w swoich marzeniach, romantyk. — A może do wogóle mój błąd, że wogóle tam jechałem, — myślał, — to zbyt ciężkie przeżycie dla mnie, —

Zaczyna myśleć, jak złagodzić ten wstrząs. To może pozostawić na psychice zbyt głęboki ślad. W takim stanie rozterki powróci do domu. Pewnego dnia, jakiś tydzień po jego pobycie w ośrodku, otrzymuje telefon z biura. Rozmówca przedstawia się jako siostrzeniec. Objaśnia go, że w tym samym czasie co on, był w ośrodku i dowiedział się że mieszka we Wrocławiu. Zaciekawiony, przejrzał książkę telefoniczną i efektem jest ten telefon. Upewnił się tylko, czy to on jest tym Piotrkiem z ośrodka. Otrzymane wyjaśnienia zadowoliły go całkowicie. — Teraz oddaję słuchawkę mamie — rzekł. Chwilę cisza, słychać tylko szloch, a dalej słowa które nie śmiały uwierzyć
— Piotrek, to ty jesteś ten nasz Piotrek, słyszeliśmy że zostałeś zabity na wojnie — Tak, to jestem ja, ten sam jeśli go pamiętasz i jeszcze wciąż żyję. — Ustalili spotkanie i podali swoje adresy. Siostra Kandzia nie mogła długo wytrzymać by zaspokoić swoją ciekawość i po tygodniu wraz z najstarszym synem Ryszardem przyjechali do Wrocławia. Pierwsze spotkanie, bo tak to można nazwać, było najważniejszym momentem. Myślał o tym aby wyszło ono jak najbardziej naturalnie i jak najbardziej ciepło. Aby ta więź rodzinna przyszła ponownie, przerwana przez tyle lat, odżyła w swojej jak najlepszej formie. Siostra weszła do domu. Przez chwilę patrzyły obcje na siebie, chcąc porównać obrazy jakie pozostały im w pamięci. Trudno odszukać podobieństw, to zbyt odległe czasy, rozstali się

jako małe dzieci. Siostra już starsza kobieta, mocno spracowana, ale pełna energii. Nasz major przywitał ją serdecznie. Z początku rozmowę przebiegała ostrożnie. Po pierwsze siostra chciała się przekonać, czy rzeczywiście jest tym za kogo się podaje a jeżeli to się będzie zgadzać, to następnie, czy nie będzie wykazywał swojej wyższości, jako człowiek stojący wyżej intelektualnie. Nasz major postarał się te wszystkie obawy usunąć. Kontakt rodzinny dał się szybko nawiązać i po paru chwilach rozmawiali tak jakby ta przerwa czasu nie istniała. Dla majora był to fakt dobry bieg jego życia w miejscu gdzie fizycznie nie przebywał. Siostra użalała się na swoje trudy życia jakie znosiła, czyniła im zarzuty, że zerwał kontakt z rodziną, że nie dał im pomocy. Major poczuł gorzko swoją winę, miał na wszystko usprawiedliwienie tylko wobec siebie. Ona tego zrozumieć nie mogła. Po obszernych, czasem drobiazgowych opowiadaniach kto i jak żył, kiedy umarł, jacy potomkowie z rodziny zostali, przeszli na tematy bliższe. Siostra jakby od niechcenia zagaiła: - No cóż, w tej chwili materialnie jesteśmy w dobrych warunkach, nie brakuje nam pieniędzy. Prowadzimy nie dużą gospodarkę ale dochodową. Ja ponadto umiem zakandlować, więc to co wyprodukujemy jest należycie wykorzystane

Mam trzech synów, wszyscy żonaci i mają swoje rodziny. Jeszcze są ze mną dwie siostrzenice po Marysi, które po wojnie zabrałam ze sobą na „mazury". Mój brat wraz z Marysią i obydwie siostrzenice, jeszcze wówczas małe dziewczynki, byliśmy wywiezione na roboty do Niemiec. Po wojnie szczęśliwie powróciliśmy do Grodka. Marysia znowu wyniszczona fizycznie na robotach u niemców zmarła zaraz po powrocie. Z moim obecnym mężem, utrzymywaliśmy bliskie stosunki jeszcze przed wojną, on był w niewoli, po jego powrocie, wyjechaliśmy na „mazury", objęliśmy gospodarkę i tam wzięliśmy ślub. Chłopcy rośli, trzeba było wysłać ich do szkoły, na miejscu szkół nie było, więc postanowiliśmy przenieść się bliżej miasta. Posiadana gospodarka była za duża na nas dwoje, nie dawaliśmy sobie rady. Sprzedaliśmy ją i kupiliśmy mniejszą w Ciszycach. Synowie już na siebie pracują i nieźle im się powodzi, chociaż od czasu do czasu trzeba zasilić ich gotówką aby mogli sobie kupić samochody. Najstarszy, który przyjechał ze mną, jest najbardziej przedsiębiorczy i zdążył już wybudować willę w Ciszycach. — Major opowiedział swoje przejścia, prawie chronologicznie znane już z tych opowiadań. Wspomniał o swoich dzieciach i ich osiągnięciach.

Nawet o wnukach nadmienił, którzy już rozpoczęli lub niedługo rozpoczną naukę na wyższych uczelniach. Przy pożegnaniu siostra usilnie zaprosiła aby ją odwiedzić i poznać jej rodzinę. Zreasumujmy pokrótce opowiadanie siostry o zmarłych członkach rodziny. Po śmierci matki i odejściu naszego majora jako chłopca z domu, ojciec ożenił się jeszcze dwa razy. Po drugiej żonie pozostała jedna dziewczynka a po trzeciej dwie. Brat Stanisław i Czesław zmarli na gruźlicę jeszcze przed wojną, siostra Maria zmarła po powrocie z robót przymusowych w Niemczech, pozostawiając dwie dziewczynki Irenę i Zofię. Siostra Maria rozwiedziona z mężem, sama utrzymywała dziewczynki, które po śmierci matki przeszły pod opiekę Wandzi. W międzyczasie nasz major pojechał z rewizytą. W domu siostra i szwagier witali go serdecznie i ze łzami w oczach, wyczuwał wielką radość dla obojga. Zaprezentowali swój dom, swoje gospodarkę swoje synowe i wnuki. Siostrzeńcy zjawili się dopiero wieczorem, byli na wyjeździe w poszukiwaniu samochodów. Trzeba było ułożyć plan wizyt poszczególnych rodzin pozostałych po perypetiach wojennych. Rodzina gwałtownie się powiększyła, major musiał sporządzić listę, aby mógł zapamiętać kto kim i imiona a nawet nazwiska, siostrzeńcy byli już żonaci i posiadali swoje rodziny.

Poza domem siostry, gdzie mieszkały również rodziny dwóch młodszych synów, pierwszą wizytę złożył u najstarszego syna Ryszarda, który mieszkał już we własnym domu. Przebieg wizyty serdeczny a nawet huczny. Tu zebrała się cała rodzina. Rysiek był liderem całej rodziny, takie odczucie miał major. Żona jego Barbara postarała się reprezentować do godnie a nawet z przepychem jak na ówczesne stosunki. Ogólna radość że mają wujka i mogą go u siebie przyjmować. Zresztą wujek przyjechał też nie z pustymi rękami. Siostrzeniec prezentował swoje osiągnięcia, wypracowane własnymi rękami. Trzeba przyznać, że osiągnięcia były nie liche. Własny dom całkowicie urządzony i wyposażony do tego dwoje dzieci, Mariola zdolna dziewczyna i Andrzej rozpoczynający naukę w szkole podstawowej. Następna wizyta, na drugi dzień, u siostrzenicy Ireny, córki Marysi, obecne nazwisko Gnich, wyszła za chorążego wojska polskiego. W rodzinie syn i dwie córki, uczęszczające do szkoły średniej. Dom urządzony i wzorowo utrzymany. Tu znowu przyjęcie i zebrana cała rodzina, atmosfera miła i rodzinna. Drugiej siostrzenicy Zofii Molesta nie było w domu, znajdowała się na wczasach. Zawiadomiona telefonicznie, przyrzekła wstąpić do wujka

we Wrocławiu po zakończeniu wakacji.
Przy odjeździe z Giżycka, cała rodzina żegnała go na stacji kolejowej, major był rozczulony. Siostrzenica Zosia, której jeszcze nie poznał, zawiadomiła telefonicznie, kiedy przyjedzie i jak mają się spotkać na dworcu we Wrocławiu. Spotkanie odbyło się bez trudności, jakby wiedziona instynktem, mimo dużej ilości ludzi, kierowała się wprost do ~~~~ wujka. Oczywiście zabrał ją do domu i starał się jak najmilej ją ugościć. Zosia do dnia przylepkę do wujka zwraca się wujeczku z całej jej osobowości emanuje radość życia, ale w jej opowiadaniu jej przeżycia są bardzo ciężkie, czasem tragiczne. Może gdzieś pod sercem są jakieś łzawienia ale tego nie okazuje zewnętrznie ~~jest nawet~~ Opowiada swoje przeżycia od dzieciństwa, czasem nawet z humorem ale cień smutku przemawia się po twarzy, to wujek spostrzega. Zaczyna opowiadanie przebiegu całego swojego życia. — Wujeczku, jako dwie małe dziewczynki, jak Irka, wychowywane byłyśmy tylko przez matkę. Ojciec ożenił się powtórnie, bez otrzymania rozwodu, popełnił popełnił bigamię, za co odpowiadał sądownie. Matka tylko własnym wysiłkiem nas wychowywała. Jako małe dzieci żyłyśmy w trudnych warunkach materialnych, bez ojca. Mojego tatę ordynacja została wywieziona na roboty przymusowe do Prus. Po przejściu frontu z różnymi

trudnościami przywędrowałam do domu. Matka umiera w tym czasie. Pozostajemy z Jaką na utrzymaniu ciotki, aż do wieku dojrzałości. Wychodzę za mąż, dwie ciężkie operacje po porodzie syna. Wkrótce mąż ginie tragicznie, kiedy wydawało mi się, że życie zaczyna układać się pomyślnie. W czasie wekendu wybraliśmy się na wyspę ze znajomymi. Ja pojechałam samochodem, mąż popłynął łodzią motorową, lubił ten środek lokomocji. Na miejscu stwierdziliśmy brak chleba prze zapomnienie. Na to mąż: to żadna trudność, zaraz przywiozę. Wsiadł do łodzi i odjechał. Zaginął. Po poszukiwaniach odnaleziono łódź i obok jego zwłoki w wodzie. Wypadł z łodzi i utonął, taka ogólna ocena. Lekarz jednak stwierdził zawał serca i zanim wpadł do wody już nie żył. Łódź zaraz sprzedałam aby nie przypominała mi tej tragedii. Samochód zatrzymuję, to jedyna moja przyjemność. Za mąż powtórnie już nie wyjdę. - A może? nie wyrzekajsie - zagadnął wujek - Nie, to ostateczna moja decyzja - Na twarz jej powróciła pogoda, mały uśmiech, powróciła do równowagi po tym opowiadaniu pasma swoich przeżyć, jakże ciężkich. Przeszli na tematy ~~życia~~ rodziny w Biżycku. W czasie rozmowy zwraca się do wujka: - Wujeczka,

jak wyczułam z rozmowy, ty pewno nie wiesz, że Rysiek jest nieślubnym dzieckiem ciotki i nosi nazwisko Chełchowski, wychowywał się u dziadka i mimo propozycji wuja Adama, nie chciał się zgodzić na nazwisko Łada - To zaskoczyło majora, chwilę myślał, ten wypadek nie mógł zmienić jego stosunku do sióstry. Nie był bigotem. - Wiesz Zosiu - zaczął - Większą sympatią będę darzył Ryśka niż dwóch pozostałych siostrzeńców, on jest pokrzywdzony i będę starał się służyć mu radą, aby stworzyć namiastkę ojca. To dzielny i przedsiębiorczy człowiek. - Och tak wujeczku ja też tak oceniam - odpowiedziała - on każdemu pomoże, on wszystko załatwi. - Odprowadził siostrzenicę na dworzec, serdecznie ją pożegnał i dziękował za wizytę. Był bardzo zadowolony z tego spotkania. Z Ryśkiem utrzymywał stały kontakt listownie lub telefonicznie. Stale interesował się postępami Marioli, która kończyła szkołę średnią, pilnował aby skierowano ją na wyższe studia. Zdała egzamin na politechnice w Gdańsku, ~~na~~ wybrała informatykę. To już rodzinna grupa informatyków. Nie namawiał jej na ten kierunek studiów, to trudny przedmiot wymaga dużej inwencji, ponadto w naszych warunkach rozwoju technicznego, trzeba jeszcze długo czekać aby stał się atrakcyjnym.

Cofnijmy się dorazu kiedy Janek przeniósł swoje mieszkanie do własnego domu. Pracował wówczas jako dyrektor liceum elektrotechnicznego. Ze względu na odległość do pracy i zainteresowania przeniósł się do zakładów elektronicznych ELWRO, na stanowisko kierownika zespołu handlu zagranicznego. W tym czasie zakład ten wszedł w okres intensywnego rozwoju. Wkładał dużo wysiłku i inwencji aby produkcja weszła na rynki zagraniczne. To powodowało częste wyjazdy do kontrahentów. Podróże te stały się normalną pracą. Każda z nich ~~part~~ wymagała przygotowania, mając na uwadze interesy zakładu ale również wymagała przygotowania osobistego dotyczącego znajomości kraju do którego się udawał. Często sięgał do literatury, lub korzystał z doświadczeń ojca, który wiele tych krajów znał. Wyjazdy a właściwie loty do krajów socjalistycznych, były normalną rutyną pracy. Z czasem przyszły wyjazdy do państw kapitalistycznych a nawet do innych części świata jak: USA, Egipt, Indie, Japonia. Z każdej z tych podróży przywoził drobne upominki, charakterystyczne dla danego kraju. Po każdym powrocie z poza europejskich krajów, zbierała się rodzina aby usłyszeć relacje z wrażeń odniesionych z tych odległych od nas terytoriów. Najbardziej wszystkich interesowała Japonia. Być może dla

nich to kraj egzotyczny. Jurek trzy krotnie latał do Japonii. A oto jedna z relacji: - Latałem już wiele razy ale do tak długiego lotu nie byłem przygotowany. Człowiek zamknięty w tym pudle, nie ma możności większych obserwacji terenów nad którymi się przelatuje, oczywiście mam na myśli tylko dobrą widoczność. To też z reguły słucha się informacji stuardesy i wówczas wygląda się przez okienko. Najgorsza jest noc, trudno zasnąć ze względu na światła, do okularów zaciemniających, trzeba się przyzwyczaić. Do tego nie wziąłem ze sobą książek do czytania ani nawet kart do rozkładania pasjansa, jedna nuda. Z Holandii lecimy trasą północną ponad biegunem. Poza bielą na dole, nic nie widać. W pewnym momencie stuardesa oznajmia - jesteśmy nad biegunem północnym - Tu nas jeszcze nie było - wtrąca ojciec. - Ogólne ożywienie w samolocie, ten i ów wygląda przez okno ale poza bielą lodów, nic nie widać. W zamian za tę nudę, wyżywienie wspaniałe, ponadto często podają posiłki, nie stosując się do normalnych czasów dobowych. Z tymi czasami to też kołomyjka, kilka razy trzeba było przestawiać zegarek. Lądujemy na Alasce, tu też nas nie było. Uzupełnienie paliwa i odlot do Japonii. Po kilkunastu

godzinach lotu nad oceanem, rysują się wyspy japońskie, zieleń, oczy odpoczywają, po tych długich godzinach światła. Schodzimy do lądowania, lotnisko Tokio. Stewardessa awizuje - zapiąć pasy, lądujemy - koła dotykają ziemi, jeszcze kołujemy, silniki stopnia. To już Japonia. Na lotnisku przedstawiciele firm japońskich, odjazd do hotelu i po krótkim odpoczynku, rozmowy handlowe. Na następny dzień zaproszenie do zwiedzenia zakładów produkcyjnych. Zwiedzamy jeden z zakładów mechanicznych. Uderzająca czystość, hale fabryczne, maszyny i pracownicy. Po jednej stronie okna z rozwieszonymi kwiatami, po drugiej maszyny, obrabiarki, środkiem czyściutki parkiet jak w mieszkaniu w tych miejscach gdzie wióry strugarek lub tokarek od czasu do czasu wyskakują na parkiet, natychmiast są usuwane. Pracownicy w białych fartuszkach i białych rękawiczkach na głowach firmowe czapeczki. Po zakończeniu pracy, wszystkie maszyny doprowadzane są do idealnej czystości, wyglądają tak jakby dopiero przyszły z fabryki. Zwiedzamy jeszcze inne zakłady. Wszędzie ten sam porządek i taka sama rutyna pracy. Aklimatyzacja bez zarzutu, pozycja na halach jest takie same jak na zewnątrz zakładu.

Po południu mamy czas na załatwianie
własnych spraw i poznanie miasta.
Na każdym niemal kroku rzucają się w oczy drobiazgi.
Dla przykładu, w domu handlowym przy ruchomych
schodach na ich końcowym stopniu, stoi kobieta
ze ~~szczotką~~ ścierką nasyconą płynem odkażającym
i od czasu do czasu przecziera biegnące taśmy
do trzymania rękami przez wędrujących ludzi.
Wogóle wyczuwa się przyjazny stosunek człowieka do człowieka. Nawet mali chłopcy
w stosunku do siebie zachowują przy powitaniach, formy starszych. Charakterystyczny
jest sposób trzymania, podciągają się nie
w pasie lecz w biodrach. Interesował mnie
w sklepach sprzęt elektroniczny, do raj
dla amatorów osiągalny każdej chwili, oczywiście, jeśli dysponuje się gotówką. Załatwiamy
jeszcze, z przedstawicielami firmy, sprawy
handlowe. Wieczorem otrzymujemy zaproszenie
na kolację w domu prywatnym. Odczuwamy
musielibyśmy zapoznać się z formami jakie
obowiązują w takich okolicznościach i odpowiednio się przygotować. Z takich ciekawostek
których nie stosuje się na innych kontynentach,
jest wejście do domu. Uświęconym zwyczajem
jest, że w przedpokoju zdejmuje się buty
i cały czas pobytu w domu jest się w skarpetkach.
Kolacja trochę europejska trochę japońska
i niezbędny instruktaż posługiwania
się pałeczkami, nawet przyniosłem je sobą.

Przed odlotem, dyskretnie otrzymujemy drobne pamiątki charakterystyczne dla tego kraju. - A jak lokale, gejsze, - zapytał ojciec. - W lokalach nie bywaliśmy, poza normalnymi posiłkami a gejsze to zbyt kosztowne przedsięwzięcie jak na nasze kieszenie. - A jak z językiem - znowu zapytał ojciec - Wszędzie można porozumieć się angielskim i to bez trudności. Powrót do kraju mieliśmy tą samą trasą. - W czasie jednej z takich podróży do Japonii, została zakupiona lincencja na produkcję kalkulatorów elektronicznych. Zjednoczenie miało zastrzeżenie co do tej tranzakcji, Jurkowi czyniono zarzut co do słuszności tej tranzakcji; ba nawet chciano uczynić z tego aferę. Kiedy produkcja poszła i nastąpił run na te kalkulatory, sprawa wstydliwie ucichła a nawet uważano to za duże osiągnięcie. Oczywiście zasługi, to my zjednoczenie. Jurek zawsze uważał, że głównym zawalidrogą w rozwoju zakładów jest zjednoczenie i że taka instytucja, jest wogóle nie potrzebna. Ten dział handlowy w ELWRO rozwijał się po najlepszej linii, dlatego stał się solą w oku dla zjednoczenia. Powstała decyzja aby przenieść go do Warszawy. Koterie działały. Czemu jakaś tam prowincja ma korzystać z wyjazdów zagranicznych a może i korzyści

z Francuzkiej handlowych. My tu w Warszawie mamy swoich ludzi niech oni korzystają za to będziemy mieć poparcie z ich strony. Dział przeniesiono. Sprawa ciągnęła się jeszcze jakiś czas. Kiedy Jurek zorientował się, że nie da rady utrzymać tej placówki, zrezygnował ze stanowiska. W tym czasie zaproponowano mu zorganizowanie ośrodka komputerowego na Akademii Ekonomicznej. W okresie pobytu w ELWRO wszedł w zagadnienia informatyki i znał się już dobrze na sprzęcie komputerowym. Jakiś czas wahał się co do zmiany miejsca pracy, włożył tu dużo swojego wysiłku i inwencji i związał się z tym zakładem, mimo że poniósł duże własne szkody. W czasie jednej ze swych podróży do Moskwy, niebezpiecznie przeziębił się, zapalenie płuc co pociągnęło za sobą operację i utratę jednej piątej płuca. W Polsce było ciepło w Moskwie był mróz, nie zabrał ze sobą odpowiedniej odzieży, to spowodowało groźne przeziębienie. Zrozumiały jest rzeczą, że przeżycia rodzinny i kłopoty z tym związane były bardzo duże, mimo że operacja przebiegła pomyślnie. W rozważaniach rodzinnych tak ojciec jak i żona Barbara namawiali za zmianą miejsca pracy. Rysowały się możliwości pracy naukowej dającej pewne perspektywy a przy tym bardziej spokojne, przy nadwyrężonym zdrowiu.

Jurek zdecydował się na zmianę miejsca pracy, przeszedł do Akademii Ekonomicznej i rozpoczął organizację ośrodka komputerowego. Jak zwykle w istniejących warunkach, trudności finansowe, lokalowe i sprzętowe a nastąpna kolejność to przygotowanie personelu. Zajęło to sporo czasu i pracy. Dzięki tylko temu, że był wprowadzony w te zagadnienia i znał drogi załatwiania tych spraw, ośrodek komputerowy został uruchomiony, można powiedzieć w rekordowym czasie. Profesorowie nazelni wysunęli propozycję opracowania doktoratu. Jurek doceniał tę propozycję ale nie odniósł się do niej z entuzjazmem. - To ciężka praca na parę lat - mówił. Rodzina usilnie namawiała aby podjął to zadanie, szczególnie Barbara. - Doktorat to przyszłość dla ciebie - argumentowała. Temat ten nie schodził z jej uwagi. W końcu Jurek powziął decyzję i rozpoczął pracę doktorską. Same opracowanie trwało długie miesiące, trzeba było przestudiować szereg literatury fachowej nie tylko dość skąpej krajowej ale i zagranicznej. Nadszedł wreszcie dzień obrony pracy. Ojciec pragnął uczestniczyć w tej wspaniałej wymarzonej uroczystości. Barbara oczywiście również. Uczelnia Akademii Ekonomicznej. Duża sala audytoryjna. Komisja profesorska i słuchacze obserwatorzy. Przewodniczący komisji otwiera doktorat i prosi petenta o przedstawienie swojej pracy.

Jurek miał trochę tremy ale oswojony z występach przed gremium, Jadwo przeprowadził całą analizę. Dalej nastąpowały pytania profesorów i jego odpowiedzi. Przewodniczący kończy dyskusję. Doktorat przyznano. Następują gratulacje ze strony profesorów i znajomych obecnych na sali. Znajomi zaproszeni do ośrodka komputerowego, gdzie jego pracownicy przyjmują gości tamtejszą szampana. Pragnienie ojca i Barbary zostało spełnione. Czas biegł. Mijały już lata. Marek kończył szkołę średnią i trzeba było podjąć decyzję o wyborze zawodu. Sam Marek nie mógł się zdecydować co go najbardziej interesuje, ale namawiany przez rodziców, zdecydował się na informatykę w Akademii Ekonomicznej. myślał zapewne o pomocy ze strony ojca. Do pracy zbytnio się nie przykładał ale wszystkie egzaminy składał w wyznaczonym czasie, żadnego roku nie powtarzał. Ukończył szczęśliwie z dyplomem magistra ekonomii i pozostał tamże jako asystent na wydziale informatyki. Jak zwykle każdego młodego człowieka, tak i jego interesował samochód i odpowiednie zarobki. Dostał trochę pieniędzy w spadku po rodzicach matki, ale to nie wystarczało na nabycie samochodu, to też w okresach wakacji wyjeżdżał na zachód aby coś nieco zarobić i złożyć sobie na kupno samochodu. - Ojciec ma samochód, dlaczego ja nie mam mieć - mawiał do dziadka. Nawiązał kontakt ze studentami zagranicznymi i udał się

samodzielnie na wyprawę w nieznane. Obracał się w Danii, Szwecji i Niemczech Frankfurcie zachodnich. W tych ostatnich znalazł pracę zarobkową, nawiązał znajomości i nauczył obracać się w tym środowisku. W następne wakacje, wyjechał do przygotowanych miejsc. Pracował ciężko ale w ciągu miesięcy zarobił tyle ile za cały rok na uczelni jako asystent. Oczywiście po powrocie kupił samochód, nie wiele dołożyli rodzice. Odczuł, że teraz już jest samodzielny. Ze swoich wrażeń lubił zwierzać się dziadkowi, chociaż z jego strony spodykał się zawsze z jedną uwagą - Najważniejszą jest wiedza, tego się nie straci, tego nikt nie ukradnie, aby mieć znaczenie w środowisku ludzkim musi się mieć wiedzę, aby mieć pieniądze musi się mieć fach, dobrze opanowany. - Nie bagatelizował tych uwag. Opanował język angielski, studiował w swoim przedmiocie wydawnictwa zagraniczne, nawet je tłumaczył dla potrzeb uczelni. Uważnie interesował się przeżyciami dziadka i chętnie zaglądał do jego pamiętnika. W tym też czasie również Belgradzka uczennica majora również ukończyła szkołę średnią i wybrała wydział ochrony środowiska na politechnice w Belgradzie. Jej koledzy dziwili się, że wybrała tak trudny wydział z przewagą chemii i matematyki. To ją nie odstraszało. Wykazywała duże zdolności w przedmiotach ścisłych, szczególnie w matematyce.

Zwykle tak bywa, że ci którzy mają zdolności w przedmiotach ścisłych są słabi w językach obcych. U niej to szło w parze, języki obce nie przedstawiały dla niej trudności, poza językiem serbskim, mówiła poprawnie po polsku, ze względu na matkę i opanowała w stopniu wysokim, język angielski. Przez przeciąg tego okresu ustalił się taki zwyczaj w rodzinie, że każdego lata, wszyscy spotykali się w domu wrocławskim. Najczęściej przy rozpoczęciu urlopów letnich. Wtedy dom zapełniał się gwarem. Samochód z Belgradu przyjeżdżał wypełniony po brzegi. Wychodził Dusan, wysoki i przystojny mężczyzna, przyjemny w towarzystwie i miły w obejściu, Hanka reprezentacyjna kobieta i główny organizator wyprawy oraz Jadranka jeszcze wtedy dziewczynka wchodząca w wiek dojrzałości. Góra nieodzownych prezentów dla każdego domownika. Powitania, komplementy, słowa zachwytu jak: dobrze wyglądasz nie postarzałeś się, czy nie postarzałaś się lub wspaniale macie urządzone mieszkanie, ocena nowych mebli, lub nowych nabytków w domu. Rozgoszczenie się wyznaczenie miejsc do spania i posiłek. Do stołu zasiadało osiem osób, w największym pokoju w domu. Jeśli dzień był ciepły i słoneczny, posiłki spożywano na tarasie. Pies Astor rasy bokser okazywał swoją radość z powodu gości i darzył Jadrankę specjalną sympatią.

W godzinach porannych, kobiet udawały się do miasta aby poczynić zakupy a po powrocie prezentacja swoich sukcesów. Wieczorem zbierano się w domu lub na tarasie przy wieczornym posiłku zwykle podejmowano jakiś temat dyskusji. Zwykle Barbara podejmowała tematy handlowe, co i gdzie kupić i jak sprzedać. Przez parę lat z rzędu w okresach urlopowych wyjeżdżali za granicę, objechali prawie całą Europę, więc miała ona dużo spostrzeżeń, i znała intratne wymiany handlowe. Mogła się pochwalić, że po każdym urlopie powracali z zyskiem, nie przekraczając ograniczeń celnych. Dalej wchodziły tematy ogólno-ekonomiczne, społeczne i polityczne, tu już głos zabierała przeważnie strona męska. Podejmowano tematy konkretnych przemian w Polsce i w Jugosławii. W Polsce wyłaniały się już dość ostro tematy polityczno społeczne, oczekiwano oczekiwano jakichś przemian radykalnych, mimo pozorów spokoju. Taki porządek dnia przebiegał prawie zawsze przez okres pobytu gości. W czasie jednego z takich dni, siedząc na tarasie, nasz major pogrążył się w zamyśleniu. Marek to natychmiast uchwycił - o czym myślisz dziadziu - zapytał. - Widzisz mój dziadek, kiedy uczył swoje dzieci czytać i pisać często napominał, - uczcie się, uczonymi wy już nie będziecie ale może wasze

dzieci a może dopiero wnuki, będą mogły się poszczycić nauką. - Od tego czasu upłynął prawie wiek, to jest cztery pokolenia. Dzisiaj patrząc na tę gromadkę, mogę się dotierzyć jeden inżynier, jeden doktor, czterech magistrów i jeden magister w drodze. To poważne osiągnięcie. - Nikt nie jest dużą twoją zasługą - podkreślił Marek. Major ciągnął swoją myśl dalej, - musisz pamiętać aby nie utracić tego dorobku. - Przed odjazdem gości omawiano plany wakacyjne. Onszanowie planowali wybrać się nad Adriatyk. Jurkowie na Bałkany, Jugosławia Grecja. Po drodze mieli zatrzymać się w Belgradzie. Jurek zaopatrował swoją pomoc w zapewnieniu mieszkania. Marek z narzeczoną Teresą Onopiak wybierał się do Niemiec Zachodnich, z zamiarem zarobkowym. Marek zawsze koncentrował swoją uwagę na zarobkach. - Nauka nauką, ale pieniądz jest podstawą egzystencji - mawiał. Przyszło pożegnanie, drodzy Ter i uścisków, oraz przyrzeczenie przyjazdu w przyszłym roku. Życie domowe wracało do normalnej rutyny. Były już trudności z zaopatrzeniem, kolejki się wydłużały, trzeba było stać w nich godzinami aby kupić ograniczony kawałek mięsa lub dostać kilogram cukru. Na szczytach władzy państwowej zmiany. Ujawniano co raz to nowe nadużycia finansowe i nadużycia władzy. Ujawniano całe kliki i bezpodstawne bogacenie się. Rozpoczęły się aresztowania opozycji, co powodowało protesty.

Dnia 16-ego października 1978 roku, papieżem został wybrany, kardynał Karol Wojtyła. Jest to pierwszy polak papież w dziejach kościoła katolickiego. Przed konklawe rozchodziły się pogłoski, że papieżem może zostać Polak ale nikt w to nie wierzył i nie przyjmował poważnie tych pogłosek. Reakcja naszego narodu była spontaniczna. Rozmowy toczyły się tylko wokół tego tematu. Zaczęto żywić pewne nadzieje poprawy polskiego życia politycznego. Nadzieje na zelżenie nacisku rosyjskiego, który stał się już nieznośnym. a czasem zagrażający naszej niepodległości. Nasz major, w tym emerytalnym stanie, często odwiedzał kawiarnie. Miał pewne grono znajomych kwiarnianych z który się stale spotykał. Spotkania ożywione dyskusjami szczególnie politycznymi, które dla takiego wieku są najbardziej atrakcyjne. Właśnie w czasie wyboru papieża, o czemże dyskutować oczywiście o konklawe. Zaczął major, - Proszę panów już od dłuższego czasu mamy w kraju spokój, ale jest on ~~zbyt~~ jakiś wyczekujący, na wypadki których nie można przewidzieć. Narasta potencjał potrzeb zmian. Myśle, że muszą one nastąpić. Nowa klasa, nadużycia prominentów, to bardzo denerwuje świat pracy. - Aby tylko nie rewolucja - zauważył jeden z kolegów - Zbyt długo trwa ewolucja, która nic nie daje, wręcz odwrotnie ~~pogłębia~~

pogłębia rozdźwięki, chociaż w takich okolicznościach, wszystko jest możliwe - ciągnął major - Do tych zmian obecnie, są najbardziej korzystne warunki polityczne światowe. Dwóch wybitnych polaków jest w czołówce światowej, na eksponowanych stanowiskach. Kościół ma wpływy na całym świecie. Może wywierać różnego rodzaju naciski a przypuszczam, że papież będzie chciał przysłużyć się naszemu narodowi. Drugim jest doradca prezydenta USA dr. Brzeziński o dużym autorytecie politycznym, który napewno krzywdy nam nie zrobi. Nie wiele będzie w tym przesady jeśli powiem, że polacy rządzą światem. - To prawda - odrzekł inny rozmówca - ale ci ludzie będą bronić przede wszystkim interesów swoich środowisk, a nasze sprawy pójdą na dalszy plan. Ja to też tak rozumiem - argumentował major, - ale tak czy inaczej, ten szczęśliwy układ, zapewne w jakiejś formie wpłynie na bieg naszej historii. - Oby tylko skończyło się to szczęśliwie - dodał przedmówca. Wypiwszy kawę, rozeszli się do domów podniesieni na duchu. Takich przed obiadowych kaw z dyskusjami, dużo wypili, nim papież w następnym roku złożył wizytę w Polsce. Co prawda Wrocławia nie odwiedził, ale cała Polska żyła przegem tych uroczystości. W narodzie powstało pewne odprężenie, w przenośni mówiąc, wyprostował kręgosłup, poczuł się przynależnym do spólnoty europejskiej

Przyszły niezależne związki zawodowe „Solidarność". O ich powstaniu zapisano tony papieru, i nie jest naszym zadaniem rozwijanie tego tematu. Dyskusje kawiarniane trwały stale w tym temacie. Wszyscy jednak pragnęli aby tym razem odnowa przebiegła pomyślnie. Nawet strajki komunikacji miejskiej nie wywoływały sprzeciwu, wręcz odwrotnie, wywoływały radość, poparcie społeczeństwa. Nikt z domowników nie brał udziału w działalności związków, byli tylko uczestnikami tych zmian, jak każdy inny obywatel. Jurek nie dawał wiary aby to się mogło udać. Marka nie interesowały te sprawy, on myślał już o swoich wyprawach na zachód. W tym okresie Jurek opuścił uczelnię i ponownie przeniósł się do ELWRO z którym łączyły go zawsze więzy ~~sympatii~~ włożonej tam największej swojej pracy twórczej. Marek wciąż pozostawał na uczelni jako asystent. Dodatkowo ukończył kurs programowania i zajął się tematem małych komputerów. W lecie, okres wakacji, 1980 rok wraz ze swoją narzeczoną własnym samochodem udał się do Niemiec zachodnich, aby jak zwykle zarobić trochę waluty twardej /jak mówiono wówczas/ Prawdopodobnie już wówczas myślał pozostać tam na dłuższy czas, ale z tym się nie zdradzał. Zaangażował się tam do pracy w swoim zawodzie, narzeczona również jako pianistka. Warunki ułożyły się pomyślnie, egzystencja zapewniona. Decydują się pozostać na

na dłuższy czas aby powrócić z większym zapasem gotówki. Marek zwrócił się do uczelni o roczny urlop argumentując, że chce zapoznać się z zachodnimi tendencjami rozwoju informatyki. Uczelnia odmówiła urlopu. Wobec takiej sytuacji, poprosił o zwolnienie zwracając należności związane ze studiami. W domu decyzję tę przyjęto z różnymi odczuciami. Jurek był przeciwny tej decyzji, Barbara popierała. Dziadka ogarnął żal, że wnuk oddalił się od rodziny a tak wielkie nadzieje w nim pokładał, że będzie dalszym kontynuatorem tradycji rodzinnych i wciąż miał nadzieję, że to się jakoś jeszcze ułoży. Nie uważał sprawy za zamkniętą. Powstał okres wyczekiwania na dalszy rozwój sytuacji. W całym tym układzie wypadków, zaważyła sytuacja wypadków społeczno politycznych. Oficjalnie walka szła o niezależne związki zawodowe, ale faktycznie, o czym każdy wiedział, chodziło o uniezależnienie się od Rosji, a przynajmniej aby uzyskać pewien zakres niezależności. Poza różnego rodzaju konferencjami dyskusjami w środkach masowego przekazu, walka ta wychodziła na ulicę. W mieście krążyły różnego rodzaju ulotki, niecenzurowane pisma „Solidarności". Na murach lub za szybami okien pojawiały się plakaty z żądaniami, często w formie wierszy lub sloganów. Nierzadko plakaty rysunkowe krytykujące

prominentów. Milicja plakaty te zrywała. Pojawiały się nowe. Aby trudniej było zerwać taki plakat, klejono je bardzo elektrodnie i to specjalnymi klejami. Wobec tego milicja zastosowała system zamalowywania tych plakatów. Ale inwencja jest, opozycja pomimo to malowanie kaset na murach i chodnikach, o dużych rozmiarach. Z tym rodzajem kaset, milicja miała dużo roboty i nie zawsze do się nadawała. Ta walka plakatowa trwała parę tygodni. Ulice i ściany domów wyglądały rozpaczliwie. Swoją drogą, te kasety plakatowe miały dużą pomysłowość i trafiały w istotę sprawy. Mimo wszystko „Solidarność" nie dopuszczano do środków masowego przekazu. Opozycja zastosowała inny system przekazu. Samochody z głośnikami, stawały w kilku miejscach miasta i nadawały swoje audycje. W tych programach przedstawiano fałszywie podawane wiadomości, często ciężkie krytyki przeciwko ludziom z opozycji z władzy. Ludzie obiegali te wozy, ~~[illegible]~~ od czasu do czasu wybuchali śmiechem. Nawet powstał zwyczaj, że w tych miejscach, gdzie były te audycje, ludność zbierała się w oczekiwaniu na przybycie samochodów rozgłośni. Milicja nie interweniowała albo reagowała bardzo dyskretnie aby nie sprowokować czynnej reakcji społeczeństwa, co było całkowicie zrozumiałe. Tak [illegible] biegły dnie walki robotników polaków o swoje prawa robotnicze i narodowe.

Nasz major wciąż jednak zastanawiał się, co mogło skłonić Jurka do zmiany miejsca pracy. - W dzisiejszych warunkach, - analizował, - każde stanowisko dyrektorskie jest bardzo odpowiedzialne i śliskie. Nie można się narazić robotnikom, ale również nie można narażać się władzom, a to jest niemożliwe. To są dwa przeciwstawne stanowiska. Jedna zastanawiała go sprawa, dlaczego Jurek nie zdradził się ze swoim zamiarem, a ~~postawił go w stan~~ powiadomił go o stanie faktycznym. Zwykle podobne sprawy, były omawiane w gronie rodzinnym, przed powzięciem decyzji. Nawet Barbara zwykła zawsze zasięgać opinii teścia, w tym wypadku, ukryła tę sprawę. Bieg czasu pokaże, czy była to słuszna decyzja. Jak na razie, nie można się spodziewać łatwego życia na tym stanowisku. Rozumieć można, że z tym zakładem łączyły go pewne więzy, ale to nie wystarczy aby podejmować ryzyko. - Major nie chciał dociekać istotnych przyczyn, czekał że sym sam je wyjawi, powinien to uczynić. Jurek powrotną swoją pracę podjął z entuzjazmem. Znał wszystkie jej tajniki i nie potrzebował wprowadzania. Załoga zakładu przyjęła go ciepło, przecież to stary znajomy, który dużo przyczynił się do rozwoju zakładu. Nawet po paru latach nieobecności, wciąż jeszcze na warsztatach produkowano jeszcze ~~za~~ urządzenia z zakupionych przez niego licencji.

z kraju napływały alarmujące wiadomości o katastrofie gospodarczej. Nie było nikogo kto mógłby postawić program możliwy do przyjęcia przez społeczeństwo. Władze centralne co jakiś czas ulegały zmianom ale żaden z kreowanych do rządzenia nie potrafił ~~potrafił~~ przyjść do społeczeństwa i go podarować. Nastąpował przedział między władzą a społeczeństwem. Utarło się pojęcie „Władza" nie tylko w rozmowach prywatnych ale również w środkach masowego przekazu a nawet przez przedstawicieli tej władzy. Nikt jednak nie wiedział, kto to jest ta ukryta władza. Rząd, partia, wojsko, milicja a może jeszcze ktoś więcej. To jednak wygodny zwrot, bo za niepowodzenia nikt nie odpowiadał a więc decyzje można podejmować lekkomyślnie bez należytego przygotowania i głębokości. Taką władzę może być każdy, nawet prostak ale za to płaci całe społeczeństwo a koszta płacić będą nawet przyszłe pokolenia. - Jaki ci ludzie mają odwagę forsować się na stanowiska do których są nie przygotowani - myślę majorczy utracili wszelką kontrolę nad swoimi możliwościami, czy dla zajmowanych foteli godowi się poświęcić dobro państwa. A może to są ludzie wyzbyci wszelkiej moralności. To też jest możliwe. - ~~Przy tym~~ Takie

rozmyślania ~~ch~~ snuł często, kiedy przebywał w swoim ogrodzie. Chodził po ścieżkach lub między grzątkami, przysiadał na studni znajdującej się wśrodku ogrodu. Tu karmił swoje oczy zielenią i podgrzewał, już starzec swoje ciało, promieniami słońca. To znowu zbliżał się do tarasu aby odtworzyć sobie obraz, przebywającej tu ~~całej~~ zebranej całej rodziny. - Czy zdołam zebrać ją tutaj jeszcze raz, - myślał, - czy pozwolą na to warunki polityczne. Oni przecież rozeszli się po całej Europie. Może przybliżamy się do okresu, kiedy będziemy mówić, że jesteśmy Europejczykami polskiego pochodzenia. A swoją drogą nie byłaby to zła myśl. Europa bez wojen. Unia europejska, bo taką formę można tylko przyjąć. Inne formy byłyby nie możliwe. Dużo narodów o wielowiecznych tradycjach, różnicach kulturowych, trudne byłyby do zlania w takiej formie jaka istnieje w Ameryce ale narody te mogą przecież żyć ze sobą w zgodzie. W takich ~~ch~~ układach nie można będzie używać już straszaka położenia geopolitycznego, który ciąży wciąż nad Polską. Ten układ geopolityczny stałby się dla Polaków szczęściem. Polska mogłaby być kanałem Suezkim między wschodem a zachodem, między północą a południem. To są rozważania układów idealnych. Nawet przy układach gorszych ale dających niezależność, przy jakichś

formach neutralności, posiadając wykształcone i dynamiczne społeczeństwo, ~~dość~~ dużo surowców, dość dobrze rozwinięty przemysł oraz rolnictwo które mogłoby zabezpieczyć wyżywienie kraju, stalibyśmy na wysokim poziomie rozwoju ekonomicznego, a co za tym idzie, również znaczenia politycznego. Aby jednak można to osiągnąć trzeba mieć liderów narodu o nie pośledniem znaczeniu a na nich czeka się czasem wiekami. Do obecnej sytuacji naszej, pasuje pewne powiedzenie: „lepiej jest ~~kiedy~~ jeśli lew ~~jest~~ stoi na czele stada baranów, a niżeli baran na czele stada lwów." – Tą myślą zakończył swoje rozważania, zebrał narzędzia ogrodnicze i udał się do domu. Zapadał wieczór. W mieszkaniu rzucił okiem na obrazy. – Brakuje mi jeszcze wnuków. To muszę jeszcze załatwić. Chcę mieć uczucie, że są oni wciąż zemną. – Otworzył album, przerzucał kolejno jego karty, to jego historia życia od młodości, od lat chłopięcych do ostatnich lat. – Trzeba będzie kupić nowy album, ten już zapełniony zdjęciami do ostatniej strony a przecież będzie jeszcze ich przybywać – pomyślał. Jeszcze przed snem wyjął karty do gry i rozłożył pasjansa. To był dla niego przymusowy czas odpoczynku. Również czas na słuchanie komunikatów i wiadomości radiowych z całego świata.

W okresie emerytalnym, major nie miał spokojnej ustabilizowanej formy bytowania. Żona, pechowa osoba, miała dość często różnego rodzaju wypadki. Po wypadku drogowym, przebywała w szpitalu, tracąc znaczny procent sprawności fizycznych. To też major musiał przejąć na siebie szereg czynności domowych a w pierwszym rzędzie zakupy w mieście. Po załatwieniu spraw, dla odpoczynku zachodził do kawiarni początkowo „Stylowej" a po jej zlikwidowaniu, kawiarni „Monopol", aby wypić kawę, przeczytać gazetę, czy spotkać się ze znajomymi. Zwykle zajmowano odrębny stolik. Byli to ludzie starsi również emeryci, byli również ludzie jeszcze czynnie pracujący stosunkowo jeszcze młodzi. Przekrój intelektualny i zawodowy bardzo różny. W śród nich: byli dyrektorzy zakładów, inżynierowie, dziennikarze, aktorzy i ludzie wolnych zawodów. Wszyscy się znali, znali ~~swo~~ kolegów przeszłości i ich poglądy polityczne. To też dyskusji nie maskowano. Czasem poglądy się ścierały ale nie powodowały animozji. Utarł się zwyczaj, że rozmowy rozpoczynano od nowin politycznych i komentarzy prasy zachodniej, szczególnie radia „Wolna Europa", w której audycjach można było usłyszeć sprostowania kłamstw oraz przeinaczeń, naszych środków masowego przekazu.

Każdy z tej kompanii, preferował odrębne zagadnienie. Wachlarz zagadnień bardzo szeroki, począwszy od zagadnień polityki światowej, poprzez wewnętrzną naszą sytuację, do prac w ogródkach działkowych i co gdzie można kupić. Zdarzali się i opozycjoniści, ale tych ignorowano. Zdarzały się również osoby unikalne, trudne do rozszyfrowania, które starannie ukrywały swoje alibi. Jeden z takich panów, krępy niski, ubierał się w gruby czerwony sweter, z rzadka się przysiadał, udawał a może był matematykiem. Podobno układał egzaminacyjne zadania matematyczne, coś w tym prawdy mogło być znał się na matematyce i na fizyce, ale jak głęboko znał te przedmioty trudno było określić. Z majorem często zaczynał dyskusje na tematy wojskowe, ale nie był to szczęśliwy jego wybór tematu. Major przyłapywał go na bladze. Przypuszczalnie opierał się tylko na przeczytanych książkach. Pierwsza wpadka przyszła z łodziami podwodnymi. Słuchacz mógł przypuszczać, ~~że p~~ z jego opowiadań że pływał na łodziach podwodnych. Po paru pytaniach majora okazało się, że nie zna rozkładu wewnętrznego łodzi podwodnej. Druga wpadka przy omawianiu pracy sztabów konkretnie dotyczyło łączności, właśnie specjalności majora i tu skapitulował.

Zorjentował się, że za daleko poszedł w swojej władzy. Dlatego też nie starał się dotrzeć do tego grona. Ale w każdym razie był to bystry ciekawy człowiek o niezwykłej przeszłości. Siadał prawie zawsze przy odległym stoliku bez towarzyszących osób. Zamawiał flaszkę wina, kawę i ciastko. Co jakiś czas wychylał łyk wina, mlaskając i smakując je językiem. Podnosił kieliszek równomiernym ruchem, przyglądał się zawartości i popijał. Tak długo siedział w kawiarni aż wypił pełną zawartość flaszki. Widza mogło kilka dni, rachunek wynosił około tysiąca złotych a ceremoniał ten odbywał dość często. Normalne a nawet wysokie zarobki nie mogły na to wystarczyć. W okresie działalności „Solidarności" tematem zasadniczym przy stoliku kawiarnianym, dotyczyły faktów rozgrywających się na terenie całej Polski.
– Co pan major myśli o tych prowokacjach naszych władz – zapytał jeden z kolegów. – To jeszcze normalna działalność – odpowiedział major. – Myślę, że szukają drogi do skompromitowania „Solidarności" za wszelką cenę. Władze chcą użyć jeszcze bardziej radykalnych środków aby osiągnąć swój cel. Weźcie panowie pod uwagę sprawę grobów żołnierzy sowieckich, przecież to dostarczy władzom radzieckim na pewno dowodów nacisków i gróźb interwencji. Co nasi

prominenci, są gotowi pogrążyć naród nawet w cierpienia aby utrzymać się na swoich fotelach. Ich umysłowość jest przerażająco niska, otoczona murem doktryny i żadna logika do nich nie dotrze. Jak można rozmawiać z ludźmi o takim ograniczonym myśleniu. Oni są tak przyklejeni do swoich foteli, że poza nimi nie widzą, oni utracili cechy ludzkie. Może to twarde określenie, ale to przykra prawda, oni przed niczym się nie cofną aby uzyskać swój cel, tj. mnie że sprowadzeniem armii radzieckiej, do pomocy. Proszę wziąść pod uwagę, że działalność tego związku zawodowego, nie ogranicza się wyłącznie do praw świata pracy ale to jest równość działalność niepodległościowa, działalność obejmująca cały naród, wszystkie warstwy społeczne i co ciekawsze, że wszystkie nacisk niepodległościowe wychodzą z dołów związkowych. To może być ciężka i długa walka. Jedna strona włada tylko słowem, druga posiada potężnie uzbrojoną armię. Tu niema żadnej równowagi. Zaś na jej wyniki będziemy czekać jeszcze bardzo długo. — A jak pan major myśli, czy „Solidarność" będzie miał jakieś osiągnięcia? — zapytał inny rozmówca. — Możemy analizować to zagadnienie na krótką metę i na przyszłość — odpowiedział major — Na krótką metę,

jeśli coś osiągną, to niewiele, albo nic.-
-To nie możliwe, przy tak masowym ruchu?-
zagadnął jesze inny rozmówca.- Siła przed
prawem - odpowiedział krótko major.- Ale
na długą metę, pozostaną trwałe osiągnięcia.
Przede wszystkim powstaje rozdział między
władzą a całym narodem, rządzenie państwem
bez narodu, nie może trwać zbyt długo.
Muszą nastąpić jakieś ustępstwa inaczej
może powstać wewnętrzny konflikt zbrojny
a to tragedia dla narodu i dla rządzących.-
- Z tego widzę że pan jest pesymistycznie nasta-
wiony na obecną rzeczywistość.- Zagadnął jeszcze
inny rozmówca.- W mojej psychice - odpowiedział
major, - jest jakaś przekora, jak się wszyscy cieszą
ja się smucę, jak się wszyscy ~~cieszą~~ smucą, ja
się cieszę. W tym miejscu ja się cieszę,
nasuwają mi się tutaj słowa, jeszcze starożytnego
filozofa: Walka o wolność gdy się raz zaczyna,
w pokolenia, z ojca przechodzi na syna.- Czy
jesteśmy zdolni wytrwać w długiej walce, cechuje
nas słomiany ogień - zauważył pierwszy rozmówca.-
- To jest ważne zagadnienie, - potwierdził major,-
ale do tego ognia będą dorzucać drewna same
władze. Ponadto w samym założeniu trzeba
się nastawić na długą walkę.- Jaką ewentualność
przewiduje pan w naszej walce o niepodległość?
zauważył ten sam rozmówca.- Tu major trochę się
namyślał, i zaczął: - Gdybym ja wiedział - zrobił
przerwę w wypowiedzi.- Ale można rozpatrywać
kilka wariantów. Pierwszy z nich dla nas najbardziej

to trudności wewnętrzne Związku Radzieckiego, chociaż najmniej prawdopodobny. Naród rosyjski przyzwyczajony jest do bata i inaczej nie wyobraża sobie życia a więc na wszelkie odmiany z jego strony nie można liczyć. Druga ewentualność, to rozbudzenie świadomości narodowych, poszczególnych narodów wchodzących w skład imperium, ale to jeszcze długi proces. Trzecia możliwość, to wojna, zapewne światowa. Rosja takiej wojny się boi. W każdej wojnie nie można być pewnym wygranej. Niepowodzenie w jednym miejscu, może rozłożyć całą strukturę koncepcji. Rosja nie jest monolitem, przewaga ludności nie rosyjskiej, może stanowić problem zasadniczy. Czwarta ewentualność, to przypadek którego ani ja ani nikt przewidzieć nie może. — A nasi gospodarze? — wysunął jeden z rozmówców. — Nie jestem ekonomistą — odparł major. — Rosja jest samowystarczalna, duże zasoby naturalne, dobrze rozwinięty przemysł, słabe rolnictwo. Jeśli zabraknie zboża, zmniejszy się porcje chleba na przykład o trzydzieści procent. Z tego powodu narody radzieckie nie będą protestować, wytrzymają, za to dostaną propagandę. — Ale jeszcze jedna kwestia które nie poruszyliśmy — zauważył jeden z rozmówców. — Wielu naszych prominentów, dawniej nie lub wprost, ostrzega przed inwazją sił zbrojnych radzieckich, na to mamy dowody manewrów ostrzegawczych. Jaka jest pańska ocena uderzą czy nie uderzą? — Proste pytanie

odparł major.- W tym momencie wyjął nieodzowną fajkę, zaczął nabijać powoli, w końcu zapalił. Starał się uzyskać czas do namysłu. Zaczął swój wywód jakby od niechcenia, szukając porównań a może nawet faktów historycznych, którym libił się posługiwać. - Żołnierz na froncie, boi się, a idzie i walczy, nie ważąc na fakty, zwycięży, czy nie zwycięży. W moim rodzie walczono tak przez sto lat, dopiero moje piąte pokolenie otrzymało wolność, nie mógłbym zmarnować tego dorobku i przypuszczam, że takie stanowisko zająłby cały naród, w wypadku jawnej interwencji. Wchodząc jednak w merytum zagadnienia, możemy rozważać argumenty za interwencją zbrojną i przeciwko niej. Argumenty logicznie uzasadnione, że interwencja jest bezsensowna, że grozić może różnego rodzaju katastrofami, nie znaczy, że strona przeciwna będzie traktować tak samo. Imperializm rosyjski ma swoje zasady postępowania znany tylko ich władcom. Nawet my sąsiedzi tego zrozumieć nie możemy. My jesteśmy już europejczykami. Jakiekolwiek nasze analizy w sprawie interwencji i zajmowanie jakiegokolwiek stanowiska, byłoby bezcelowe. To możnaby umieścić w sferze wróżby.- A jak pan wróży?- - zapytał jeden z obecnych.- Ja nie wróżę, mimo że jako żołnierz, obciążony jestem przesądami, ja posługuję się tylko faktami, czasem opieram się na historii, chociaż ona nigdy nie powtarza się tak samo, bo to już nie te same czasy.-

- Ale panowie, trzecia godzina, płacimy, czas obiadu się zbliża.-

DOPISKI

część I

1 dopisek

Wstęp /część I/

Przystępując do napisania sagi rodzinnej, miałem na celu podtrzymania tradycji rodzinnych, które dotychczas przetrwały tylko w opowiadaniach ustnych, które z czasem mogły zaginąć. Jestem pewny, że wiele ich zaginęło, biorąc pod uwagę tylko powstanie Listopadowe. Nawet w zapiskach historycznych odnalazłem fakty, które powinny przetrwać w opowiadaniach rodzinnych, a jednak zaginęły. Nastąpiło to prawdopodobnie na skutek odejścia od pnia rodzinnego tej gałęzi z której się wywodzę. Opisana tu rodzina, jest przeciętną rodziną wiejską pochodzenia szlacheckiego. Nie znajdujemy tu wybitnych intelektualistów, lub ludzi na wysokich stanowiskach na skalę narodową. Są przeciętni ludzie czy rodziny jak wiele w Polsce. Jedna rzecz która ją cechowała, to zachowanie tradycji narodowych i dążenie do posiadania niepodległości. W zapiskach niniejszych, okres do pierwszej wojny światowej, jest odtworzony na podstawie opowiadań rodzinnych. Okres od pierwszej wojny światowej i parę lat wstecz jest opisany na podstawie obserwacji i przeżyciach własnych. W opowiadaniach tych niema jakiejkolwiek przesady a są podane tak

jak ja widziałem osobiście. Niektóre fakty, może nawet są pomniejszane aby uniknąć oceny samochwalstwa, lub kreowania się na bohatera. Wszystkie nazwiska podane w treści, są autentyczne. Są to ludzie z którymi spotykałem się osobiście i do których odnosiłem się przyjaźnie lub z szacunkiem. Za wyjątkiem paru osób do których odnosiłem się krytycznie. Zapisałem ~~koniec~~ to jest część pierwsza kończe na roku 1981, gdyż uważam, że od czasu nadchodzi jakaś nowa era w naszym życiu a w rodzinie przychodzi do znaczenia nowe moje pokolenie.

Olechowski P.

Wrocław 1981 rok

Piotr Chełchowski

SAGA RODZINNA

część II

Wstęp

Nie wiem jak długo będę zdolny kontynuować tę sagę a właściwie będzie to już opis faktów bieżących o niewiadomej przyszłości, ale chciałbym zachować ten sam jej charakter. Z domu rodzinnego we Wrocławiu rozchodzą się dwie drogi. Jedna do Jugosławii miasto Belgrad gdzie znajduje się córka Hanna oraz zięć Dušan i wnuczka Jadranka Drljača. Drugi kierunek, to Niemcy Zachodnie rejon Hamburga gdzie znajduje się wnuk Marek syn Jurka i Barbary oraz żona wnuka Teresa. Ja, to znaczy autor, z żoną Konstancją oraz syn Jerzy i Synowa Barbara, to ta podstawowa rodzina, mieszka we Wrocławiu przy ulicy Okrężnej 8. To stanowi podstawę wyjściową dalszego opisu, a ma to ułatwić, ewentualnemu czytelnikowi, zrozumienie biegu wydarzeń. Opisy zasadniczo dotyczyć będą rodziny, lecz z konieczności muszą obejmować wypadki polityczne, przemiany społeczne, które będą tłem dla jej egzystencji. Mam nadzieję, a właściwie jest to moim pragnieniem, aby w przyszłości, pojawił się w rodzinie literat i zechciał w dalszym ciągu prowadzić te zapisy a może nawet stworzyć z nich powieść. Każdy z dalszych zapisów będzie notowany z pewnym opóźnieniem aby uzyskać czas na wyrobienie sobie poglądu na przebieg wydarzeń lub przemian społecznych a nawet politycznych.

Wrocław 1982 r.

Chełchowski

Wojna polsko polska.

Fabuła opisywana w pierwszej części, prowadzona będzie w dalszym ciągu w tej drugiej części. Rozpoczyna się ona od pnia rodzinnego. Ród ten, od pamiętnych czasów, prześladuje pewne fatum. Trzecie pokolenie opuszcza gniazdo rodzinne z jakichś powodów, lub nawet bez powodów. Major liczył się z takimi możliwościami dlatego też wszystko układał tak aby to się nie powtórzyło w dalszej egzystencji rodu. Wydawało mu się, że cel ten osiągnął. Na to składało się wykształcenie potomnych i stan materialny w jakim mogli rozpoczynać swoje życie. Marek prze parę lat wyjeżdżał na zachód aby zarobić trochę waluty twardej. Potrafił już obracać się w tamtych środowiskach i znał możliwości zarobków. Tak właśnie i w tym roku 1981, wybrał się na zachód własnym samochodem ze swoją narzeczoną, na okres urlopowy. Po paru miesiącach i po otrzymaniu intratnego zajęcia, zdecydował się pozostać w Niemczech zachodnich, na cały rok. Liczył nawet na możliwości otrzymania doktoratu na uczelniach niemieckich. Z tego powodu prosił o urlop roczny własną uczelnię we Wrocławiu. Wyniki tej manipulacji znamy z części pierwszej. Rodzice jego Jurek i Barbara, chcąc mu ułatwić bytowanie w nowym miejscu pracy i bytowania, postanowili zawieźć mu szereg niezbędnych rzeczy jak odzież, pościel,

książki techniczne z jego specjalności oraz dokumenty naukowe. Całość tej wyprawy przygotowali starannie, nawet studiując wiadomości meoroligiczne, bo to przecież zima, i dnia 13 grudnia 1981 roku o bardzo wczesnych godzinach rannych wyjechali samochodem na tę wyprawę, oczywiście nawet im do głowy nie przyszło aby o tych godzinach słuchać komunikatów radiowych. Major nawet nie wychodził ich pożegnać, nie lubił tej ogólnie uznawanej pechowej daty. Sam również nie miał w zwyczaju słuchać komuniktów radiowych porannych. Po śniadaniu, wychodził do miasta, ale już za bramą, sąsiedzi pośpieszyli z wiadomością: - Jaruzelski wydał wojnę Polakom. - Stanął i nie wiedział co ma powiedzieć, o nic się nie pytał. Jego jaźń stała się nie czuła na wszelki bodźce. Jedyna rzecz na co reagował umysł, czy Jurkowi i Barbarze udało się przekroczyć granicę? Jeszcze nie dokończył tej analizy, kiedy ich samochód ukazał się na ulicy i zajechał przed bramę. Pierwsze słowa Jurka, - zawrócili nas z granicy, w tamtą stronę mieliśmy drogę pustą, co nawet nas dziwiło, W drodze powrotnej, już na drogach pojawiły się kolumny pancerne z wojskiem i milicją. - No cóż - odrzekł Major - wprowadzajcie wóz i chodźmy posłuchać komunikatów.

Na ekranie telewizyjnym, spikerzy w mundurach wojskowych, czytają nie kończące się zarządzenia stanu wojennego. To wszystko stanowiło przerażający obłęd. Major zwykle chodził spać o późnych godzinach, ale tej nocy nie mógł zasnąć. Położył się na swoim posłaniu, na którym wisiał jego obraz w wozie pancernym z czasów wal na zachodzie. Patrzył tylko na ten obraz i myślał nad tym obłędem. Nic się nie łączyło w jakąś całość sensowną. Wygasił światła i próbował zasnąć, lecz sen nie przychodził. Utkwił wzrok w obrazie, wydawało mu się, że przybrał on trójwymiarowe kształty. Światła uliczne poprze firankę sączone, pogłębiały to wrażenie. Odwrócił się, głupota pomyślał, to przecież nie możliwe. Ponownie ~~spoj~~ skierował wzrok w tę stronę i odniósł to samo wrażenie, prawie krzyknął:

- Tylko nie najedź tu na mnie. - wydało mu się, że usłyszał głos.
- Co, boisz się? a pamiętasz jak pięciu niemców przejechałeś w zagajniku ~~na~~ w rowie przydrożnym, nawet ręka nie drgnęła ci na kierownicy, pozostało pięć placków o niezachęcającym widoku. Nie musiałeś tego zrobić, mogłeś zabrać ich do niewoli.
- To odruch, refleksje przychodzą później, ~~Widział~~ ale i refleksje potwierdziły słuszność decyzji. Widziałeś te pancerfusty leżące za nimi?

Drobna nieuwaga a któryś z nich chwyciłby granat i rąbnąłby w to twoje cielsko, zostałbyś wrakiem a ja znalazłbym się między aniołkami. Z ciebie byłby jeszcze pożytek, a ze mną św. Piotr miałby tylko kłopot.

- Masz tyle grzechów na sumieniu?
- Nie, ale ze wszystkiego trzeba się rozliczyć.
- Wiele razy ochroniłem cię od podobnych kłopotów.
- Tak to prawda, widziałem te ślady na twoim cielsku.
- Dowiozłem cię do końca wojny ale zostałem porzucony, nasze drogi się rozeszły. Wróciłeś do kraju a ja odjechałem do kwaśnego piecа. Szkoda, że nie odjechałeś razem z tobą, jeszcze mogłem dać dużo rady. Widzę, że jesteś teraz w kłopotach. Czy żałujesz, że powróciłeś do kraju?
- Nie, zresztą nad tym nigdy się nie zastanawiałem, moja decyzja była jednoznaczna. Nie mogłem zaprzepaścić wysiłków i poświęceń moich przodków. Ale teraz zaczynam się zastanawiać.
- Nad czym?
- Nad tą wojną. Zdrajcy chwycili za oręż aby pokonać naród. Jak się bronić bez broni. Co przeciwstawić. Przecież to katastrofa narodowa, do której nie można dopuścić. Gdzie jest wyjście z tej sytuacji? Czym się bronić? Sytuacja

w której, gdyby nawet część wojskowych zdawała sobie sprawę z tej tragedii, nie ma uzasadnienia, ~~aby~~ nie ma jakiejkolwiek logiki. Jeden ze znanych polityków światowych powiedział: „Wojna jest zbyt poważnym przedsięwzięciem aby mogli ją prowadzić wojskowi." A tutaj, nie tylko, że prowadzą wojnę ale również chcą rządzić państwem. Mentalność wojskowego nabyta przez lata służby, jest zamknięta w zwartym cyklu gospodarczym na prymitywnym obiegu. To znaczy, on wie, że ma pobrać w bazie 120 gr. mięsa, czy jakąś dozę amunicji, i ma ją rozprowadzić na poszczególnych żołnierzy, i on potrafi to zrobić, ale jaki jest cykl i przebieg całej produkcji aby te materiały doszły do bazy, ta sprawa go nie obchodzi. On wie tylko, że ma wszystko dostać. Jeżeli tę mentalność przeniesiemy teraz na skalę rządzenia państwem, co z tej sytuacji na miejsce, dokompletuje tragedia. Globalnie biorąc, po jakimś czasie, wyczerpią się zapasy gromadzone latami i nastąpi katastrofa gospodarcza.

— Więc co myślisz?

— Trzeba ratować to co się da uratować. Jedna rzecz, które mamy jeszcze możność uratować, to kultura narodowa. Jeśli da się uratować kulturę narodową, uratuje się naród. Jeśli uratuje się naród, uratuje

się naród, traci się niepodległość. Przeciwnik wie o tym również dobrze i będzie czynił wysiłki, ale nie będzie mógł użyć broni.

– To trzeba żyć na długi czas okres, a twoje życie dobiega końca.

– Chciałbym się doczekać, przynajmniej chwili kiedy będę widział, że moje najbliższe potomstwo osiągnie te perspektywy.

– To długo trzeba będzie czekać.

– Tak, trzeba czekać aż przeciwnik znajdzie się w słabości. Dla nas to ~~dłu~~ może być długi czas, dla historii, to nie duży wycinek czasu.

– Jak chcesz walczyć z tą hunta wojskową z tą siłą zbrojną, do nich nie bardzo można przemawiać oni są głusi na wszelkie słowa rozsądku, na wspólnotę narodową są nie czuli. Oni tylko słuchają protektora rosyjskiego.

– To prawda ale to będzie trwało tylko do pewnego czasu, sam również wzbudzi się poczucie wspólnoty narodowej, przecież to są ludzie z tego samego środowiska i żyją w tym środowisku, mimo pewnej izolacji. Czasem trafnie wypowiedziane zdanie, niweczy tysiące artykułów propagandowych a to przesiąka w głąb mózgu ludzkiego. Tak to czyniłem ja i tysiące innych ludzi a że dało to efekt, świadczy o tym obecne

i dawne zrywy, wspominając się o niepodległość.

– Jesteś romantykiem a życie jest twarde.

– Całe życie byłem romantykiem ale w stosunku do siebie zawsze byłem twardym. I nie zmieniłem swojego postępowania. Wyrosłem w trudach i znoju, byłem na wozie i pod wozem ale w każdej sytuacji pozostawałem sobą. Zawsze czekałem na pomyślny koniec, może i teraz się doczekam tego pomyślnego końca. Żadna dyktatura nie utrzymuje się zbyt długo. To potwierdza historia. Co prawda nie zawsze powstaje się dostownie ale końcowy wynik jest taki sam.

Już dniało. Major zdążył jeszcze analizować wypadki, czasem ordynarnie przeklinał, ale te złorzeczenia nie dawały ulgi. Wreszcie wstał, zrobił kilka ćwiczeń gimnastycznych, położył się ponownie. Tym razem zasnął. Gdy się obudził koło południa, wzrok wpierwszym momencie skierował na obraz. Ten w całej swojej okazałości wisiał na swoim miejscu nad jego posłaniem. Komunikaty napływały z całej Polski. Własne środki przekazu, bagatelizowały wypadki lub ogólnie ich nie podawały. Korespondencje zagraniczne przez Wolną Europę dawały najczęściej wiadomości ścisłe. Wiadomości z przebiegu zajść miejscowych, podawane przez świadków naocznych, są tragiczne. Pałowy niszczone maszyny i urządzenia przez własne erotyki.

Bitwy w zakładach pracy. Robotnicy strajkują, milicja rozwala załogi zakładów. Milicja bije pałkami bez opamiętania, stosuje gazy, armatki wodne przodując w tym wszystkim żołnierz. Wojsko patroluje lub pomaga milicji. Orgia bicia bezbronnych bez opamiętania, szpitale się zapełniają, dużo rannych, niektórzy kaleki na całe życie, są zabici. Karetki więzienne kursują bez przerwy. Wywożą aresztowanych do więzienia lub do specjalnych obozów. Na ulicach pełno milicji, legitymują, niektórych zatrzymują na przesłuchanie. Tak było w dniu pierwszym i wielu następnych. Napływają wiadomości z innych miast. Przebiegi zajść podobne, więcej zabitych. Ograniczona swoboda poruszania się i wydalania się poza miasto, na drogach posterunki kontrolne. Telefony wyłączone. Jeden wielki obóz koncentracyjny. Z przebiegu tej akcji wszystko wygląda, że cała ta operacja przygotowywana była od wielu miesięcy. W pierwszym momencie naród doznał szoku, wróciły czasy okupacyjne. Taki przebieg trwał miesiącami. W końcu naród otrząsnął się z tego szoku i zaczął sobie radzić w tej trudnej sytuacji. Zarządzenia wojenne spotykały zawsze ale ludność ignorowała te nacisk, przestała się ich bać. Zajmowała stanowisko biernego oporu. Produkcja narodowa zamarła. Straty gospodarcze, straszne straty, które muszą odrabiać całe pokolenia.

Czwartego dnia stanu wojennego Jurek nie powrócił z pracy do domu. Z zakładu pracy dom został zawiadomiony o zabraniu go przez milicję. Przyczyna niewiadoma. Na drugi dzień Major udał się na komendę milicji. Stwierdził, że samochód jego znajduje się na ulicy przed komendą milicji. Wszedł do budynku, a zapytany przez dyżurującego milicjanta, w jakiej sprawie przychodzi, odpowiedział: - Zginął mi syn, jego samochód jest tutaj na ulicy a więc przypuszczam, że i on tu się znajduje. Chciałem się dowiedzieć, jakie zarzuty są mu stawiane? - Milicjant ~~gdzieś~~ za zapytał o nazwisko i gdzieś zadzwonił, podając treść życzenia ojca. Po rozmowie objaśnił: - To jest sprawa do wyjaśnienia, prawdopodobnie jutro a może nawet dziś zostanie zwolniony. - I tak właśnie Major powrócił do domu. Rzeczywiście na drugi dzień po tej wizycie, Jurek powrócił do domu i udał się do pracy. Sprawa została wyjaśniona. Jeden z jego pracowników złożył niezgodny niezasadniony donos. To wystarczyło do aresztowania. Dopiero po sprawdzeniu, że w tej inwestycji nie było prawdy zwolnionego. Ale donosiciel za to nie odpowiadał, przez odwrotnie czuł się zadowolony, że tak dba o dobro państwowe. Podobne wypadki były nagminne. Aresztowano za byle co i tłoczono ludzi do wypełnionych po granice możliwości aresztów milicyjnych.

Taki stan trwał do początku 83r. Bardzo dużo rodzin przechodziło swoje tragedie gdzie ojcowie lub matki, lub ktoś z rodziny zostali zamknięci w więzieniu lub obozie. Poprostu był to stan okupacji. W pierwszej połowie roku, stan wojenny został zawieszony. Sejm rozpoczął orgię ustaw które ograniczały życie narodu w takim stanie, że nie było różnicy z okresem stanu wojennego. Każdy milicjant, bez jakichkolwiek powodów mógł zamknąć obywatela w areszcie jeśli mu się tylko niepodobał z tych lub innych względów. Taki sejm przejdzie do historii narodu jako ciało ustawodawcze terroru państwowego. Społeczeństwo po pierwszym szoku, przyszło do przytomności i przyjęło formę oporu w stosunku do nowych władz wojskowo-policyjnych. Opór przybierał różne formy, jak bierny opór, bojkoty różnych imprez, uchylanie się od prac społecznych. Wojsko utraciło jakikolwiek szacunek. ~~Ta~~ Wojsko ~~ta~~ w poczuciu Polaka, było jego tarczą i źródłem ruchów niepodległościowych, dzisiaj stało się jego wrogiem. To najbardziej bolesny element w odczuciu każdego Polaka. Powstało odczucie bezsilności narodu. To wielki zawód, przy takim szacunku tradycji narodowych. Na szczytach wojskowych

nie znalazł się nikt, kto zająłby odmienne stanowisko w tej grupie czołowej wojska, to byli ludzie wyprani z uczuć narodowych. Zajmowanie wysokiego stanowiska, było ważniejsze i wygodniejsze aniżeli zaszczytny patriotyzm narodowy. To historia również zapisze a przyszłe pokolenia będą się dziwić, że taka sytuacja mogła zaistnieć, będą szukać przyczyn aby nie uczynić podobnego błędu.
W czerwcu tegoż roku, Papież Jan Paweł II przybył powtórnie do Polski. We Wrocławiu, główne uroczystości związane z jego pobytem odbyły się 21 czerwca na polu wyścigowym na Krzykach. Na tę uroczystość Major otrzymał kartę wstępu. W tym czasie zdrowotnie nie czuł się zbyt dobrze ale droga nie daleka, mieszkał przecież w pobliżu pola wyścigowego, więc wybrał się pieszo. Dzień był wprost gorący i z trudnością dotarł na miejsce uroczystości. Już od rana wczesnego, a nawet już wieczorem dnia poprzedniego, ciągnęły ulicami masy ludzi na plac. Ulice ubrane flagami narodowymi i papieskimi. Na trybunach placu wyścigowego, ołtarz a całe pole podzielone na sektory dla odpowiednich dzielnic Dolnego Śląska. Całe pole szczelnie zapełnione ludźmi a wciąż jeszcze przybywały różne grupy.

Całe pole wyścigowe zapełnione szczelnie ludźmi. Gdzie niegdzie transparenty z hasłami „Solidarność". W przewidzianym czasie nadleciały 3 helikoptery, w jednym z nich znajdował się papież. W tym czasie porządek na tym polu utrzymywały straże organizacji kościelnych. Milicja była poza rejonem zebranych uczestników, zachowując się biernie. Papież po przybyciu objechał samochodem cały ten rejon i wszedł na stopnie ołtarza. Rozpoczęła się ceremonia kościelna transmitowana przez głośniki. Po wygłoszeniu homilii przez papieża, spontanicznie wybuchł śpiew - Boże coś Polskę - z refrenem - ojczyznę wolność racz nam wrócić Panie. Las rąk podniesionych w górę z rozstawionymi palcami „V" to znak walki „Solidarności". Przez całe pole widoczne były tylko ręce, żarliwie wypowiadane każde słowo pieśni, naród się modlił. Gdzie niegdzie spływały łzy po policzkach. Ściśnięte serca, skupione twarze, przysięgały dalszą walkę o swoją wolność, mimo, że „Solidarność" została zakazana i rozwiązana przez władze państwowe. To była w swoim rodzaju masowa przysięga.

Marek z Teresą zdecydowali pozostać w Niemczech zachodnich na czas dłuższy. Zamieszkali w -2364 LANGSTEDT, USTER-GAARD 29-, blisko granicy duńskiej. Zamieszkali w willi dwurodzinnej, urządzonej dość luksusowo, zajmując mieszkanie na piętrze. Rozpoczęli prace w swoich wyuczonych zawodach. Marek w dziedzinie informatyki - usługi komputerowe, Teresa jako muzyk przyjęła pracę nauczycielki muzyki. Można określić, że zabezpieczyli sobie warunki egzystencji. Jak na pierwsze kroki w środowisku obcym, to duże osiągnięcie. W lutym 1983 r. Marek i Teresa zawarli formalnie ślub tworząc nową parę małżeńską. W tym czasie Barbara matka Marka była u nich z wizytą i uczestniczyła w tej ceremonii. Odkryło się również przyjęcie ślubne przygotowane przez Barbarę co podniosło rangę tej ceremonii. Barbara głęboko przeżyła ten moment gdyż marzyła sobie, że ta uroczystość odbędzie się we Wrocławiu we własnym domu, że odbędzie się huczne w gronie rodziny, przyjaciół i znajomych. To też po powrocie do domu, przez dłuższy czas powracała do tego tematu. Doceniała dawniejsze warunki i sytuację, mając nadzieję, że Marek da sobie radę w tym

obcym środowisku. Marek jeszcze będąc w domu we Wrocławiu zawsze marzył o założeniu własnego przedsiębiorstwa. Wymyślał różne kombinacje aby do osiągnąć ale w naszych warunkach było to problematyczne albo wogóle niemożliwe na ten temat często wszczynał dyskusje z Dziadkiem, który sceptycznie odnosił się do takich możliwości. Sam o tym kiedyś po powrocie do kraju marzył ~~i~~ i w końcu przekonał się, że to nie ma sensu, bo system ustrojowy kraju na to nie pozwala. To też i w tych dyskusjach zajmował stanowisko z dużą rezerwą, ale nie hamował jego inicjatywy. Te nowe warunki w jakich Marek znalazł się w Niemczech stwarzały pewne możliwości zaspokojenia jego marzeń. Trzeba było jednak wszystko zaczynać od początku, nie mając na miejscu żadnej bazy. To duża trudność. Mimo wszystko postanowił kontynuować swoje pragnienia. Po pierwszych serwisowych dorywczych pracach, wchodził w zagadnienia w swoim zawodzie jak również uzgadniania założenia własnego przedsiębiorstwa. Zrealizował swoje marzenia. Wspólnie z Niemcem założył firmę usługową w dziedzinie usług komputerowych. A oto nazwa: COMPUTER UND SOFTWAR SHOP EDE-BERATUNG, ANNE STOFFERS-MAREK CHELCHOWSKI NORDERSTR 37 2390 FLENSBURG - VERTRIEBSPARTNER DER

Kiedy jego rodzice odwiedzili go ponownie, chwalił się już swoim nowym lokalem firmowym. To rezultat dwuletniej pracy. Stosunki w środowisku niemieckim ułożył sobie pomyślnie. Ba, nawet spotykał się z pewnymi ułatwieniami. W tym miejscu mogą nawet dziwić te osiągnięcia, że tak młody człowiek poczynił tak dojrzałe posunięcia. Swoboda inicjatywy i swobodę działania wyzwalają siły twórcze i dynamizm działania. Brak tych możliwości w swoim środowisku, szuka się ich w obcym, a we fekcie jest to strata dla własnego narodu. Dla Majora było to poważne zagadnienie. Sam przebywał w obcym środowisku i zdawał sobie sprawę z jego tęsknoty do kraju, to stała kandra jaka trapi człowieka, ale wówczas była wojna istniały uzasadnione argumenty pozostawania na obczyźnie, lecz on tych argumentów nie posiada, sam wybrał tę drogę. Wszystko to byłoby łatwe do zniesienia, gdyby mógł przyjeżdżać do Polski w dwolnym czasie. Możliwość ta nie istniała. Gdyby przyjechał nie było możliwości ponownego wyjazdu do Niemiec, mimo posiadania ważnego paszportu. Sprawy te regulowali niewiadomi ludzie i nie wiadome zarządzenia.

Żałoba

Żona Majora Konstancja Chełchowska, z domu Zgliczyńska, zmarła 8. XI 1983 r. pochowana na cmentarzu Grabiszyńskim sektor 38 A we Wrocławiu. Pogrzeb odbył się wedłuk wszelkich zasad katolickich. Na pogrzeb przyjechała córka z Belgradu. Marek został zawiadomiony z pewnym opóźnieniem gdyż obawialiśmy się jego ryzyka przyjazdu do Polski, co mogło całkowicie zdezorganizować jego dotychczasowy dorobek, zabrano by mu paszport. Siłą rzeczy, codzienne życie Majora ulegało zmianom. Pozostał sam. Co prawda na parterze mieszkał syn i synowa ale dalsze stosunki rodzinne trzeba było ułożyć na nowo. Całe zagadnienie trzeba było przemyśleć. Szczęściem jego było, że syn i synowa przyszli z dużą pomocą, zdecydowali się dawać obiady. To było dużym ułatwieniem życia. W przygotowaniem śniadań i kolacji dawał sobie radę. Życie domowe układało się pogodnie, bez jakichkolwiek konfliktów, to wielkie szczęście dla niego w jego końcówce życia.

Ciężka stabilizacja